

*David Wilkerson*

# *Krzyż i sztylet*



*Instytut Wydawniczy Agape  
Warszawa 2005*

***Tytuł oryginału:***  
The Cross and the Switchblade

***Autor:***  
David Wilkerson

***Współautorzy:***  
John i Elizabeth Sherrill

Copyright © 1962 by David Wilkerson

***Przekład:***  
Joanna Sosulska i Ludmiła Sosulska

***Projekt okładki:***  
Monika Myszkal

**Copyright for the Polish edition**  
© 2000, 2005 by Instytut Wydawniczy AGAPE  
ul. Sienna 68/70, 00-825 Warszawa, Poland  
tel. (022) 729 13 07; e-mail: agape@kz.pl

***Cytaty biblijne zaczerpnięto:***  
• Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,  
Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1997  
• Pismo Święte Nowego Testamentu i Psalmy  
– Przekład Ekumeniczny na Trzecie Tysiąclecie  
Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 2001

***Wydanie drugie***

ISBN 83-85427-53-8

***Przygotowanie, druk i oprawa:***  
ARKA Wydawnictwo i Poligrafia, Cieszyn  
e-mail: arka@arkadruk.pl; www.arkadruk.pl  
Printed in Poland

*Mojej żonie Gwen poświęcam*

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 1

Cała ta niezwykła przygoda zaczęła się pewnego wieczoru, kiedy to siedząc w swoim gabinecie i czytając czasopismo *Life* przewróciłem kartkę i spojrzałem na kolejną stronę. Na pierwszy rzut oka nie było tam nic interesującego. Widniał na niej rysunek przedstawiający rozprawę sądową odbywającą się w odległym o 350 mil Nowym Jorku. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku i nigdy nie miałem zamiaru tam jechać, chyba tylko po to, żeby zobaczyć Statuę Wolności.

Już miałem pójść dalej, kiedy moją uwagę przykuł wzrok jednej z postaci tego rysunku. Był to chłopak, jeden z siedmiu sądzonych za morderstwo. Rysownikowi udało się uchwycić w jego rysach wyraz takiego zagubienia, nienawiści i rozpacz, że rozłożyłem czasopismo, żeby lepiej mu się przyjrzeć. I wtedy nagle zacząłem płakać.

– Co się ze mną dzieje! – powiedziałem na głos ocierając pośpiesznie łzę. Uważnie przyjrzałem się rysunkowi. Wszyscy chłopcy byli nastolatkami, członkami gangu o nazwie „Smoki”. Poniżej rysunku przedstawiono całe to wydarzenie. Opisywano jak poszli oni do Parku Highbridge w Nowym Jorku, napadli tam na piętnastoletniego Michaela Farmera, ofiarę heinemediny, i brutalnie go zabili. Zadali Michaelowi siedem pchnięć nożem w plecy, a potem bili go po głowie wojskowymi pasami. Odchodząc wycierali zakrwawione ręce w swoje włosy i mówili: „Aleśmy go urządzili!”.

Bardzo mnie to wzburzyło. Zrobiło mi się wręcz niedobrze. W naszym małym górskim miasteczku takie rzeczy na szczęście wydawały się być czymś zupełnie niemożliwym. Tym bardziej więc osłupiałem, kiedy nagle w mojej głowie pojawiła się ta myśl – zupełnie znienacka, jakby pochodziła z zewnątrz, nie ode mnie samego.

„Jedź do Nowego Jorku i pomóż tym chłopcom”.

Roześmiałem się. „Ja mam jechać do Nowego Jorku? Wiejski kaznodzieja ma się pakować w sytuację, o której nie ma zielonego pojęcia?”

„Jedź do Nowego Jorku i pomóż tym chłopcom”. Ta myśl, całkiem jasna i czytelna, uporczywie tkwiła w mojej głowie, najwyraźniej zupełnie niezależna od moich własnych odczuć i opinii.

– Wyjdę na idiotę. Nic nie wiem o takich dzieciakach. Nie chcę nic o nich wiedzieć.

Nic z tego. Dziwna myśl nadal nie dawała mi spokoju: miałem jechać do Nowego Jorku, co więcej, miałem tam jechać natychmiast, póki jeszcze trwa proces.

Aby zrozumieć jak bardzo szalony był to pomysł, trzeba wiedzieć, że dopóki nie przewróciłem tej kartki, moje życie biegło utartym torem, bez żadnych niespodzianek. Było przewidywalne, ale satysfakcjonujące. Niewielka kongregacja w Philipsburghu w stanie Pensylwania, której służyłem, rosła powoli, ale nieustannie. Mieliśmy nową kaplicę, nową plebanię, coraz większy budżet misyjny. Cieszył mnie ten rozwój, bo gdy cztery lata wcześniej przyjechalismy z Gwen do Philipsburgha po raz pierwszy (byłem jednym z kandydatów na wakujące stanowisko pastora), kongregacja nie miała nawet własnego budynku. Ta pięćdziesięcioosobowa wspólnota zbierała się na parterze czyjegoś domu, podczas gdy piętro było przeznaczone na służbowe mieszkanie.

Pamiętam, że kiedy rada kościelna oprowadzała nas po tym domu, obcas buta Gwen utknął w szparze podłogi owej „plebanii”.

– Coś niecoś trzeba tu naprawić – przyznała jedna z członkiń, mocno zbudowana kobieta w kretonowej sukience. Do dzisiaj pamiętam liczne czarne bruzdy na jej dłoniach świadczące o pracy w gospodarstwie rolnym.

– Teraz tu panią zostawimy, proszę się spokojnie rozejrzeć.

Tak więc Gwen sama kontynuowała swój obchód piętra domu. Już po sposobie, w jaki zamykała drzwi mogłem poznać, że jest nieszczęśliwa. Jednak najgorsze nastąpiło w chwili, kiedy otworzyła szufladę szafki w kuchni. Usłyszałem jej krzyk i natychmiast pobiegłem po schodach na górę. W szufladzie biegło bezładnie siedem czy osiem wielkich, tłustych, czarnych karaluchów.

Gwen zatrzasnęła szufladę.

– Nie, Dawidzie, po prostu nie mogę! – wykrzyknęła.

I nie czekając na moją odpowiedź szybko wyszła na korytarz i głośno stukając obcasami zbiegła po schodach. Pośpiesznie przeprosiłem członków rady kościelnej i śladem Gwen udałem się do hotelu – jedyne hotelu w Philipsburghu – gdzie czekała na mnie z dzieckiem.

– Przepraszam, kochanie – powiedziała. – To bardzo mili ludzie, ale ja się śmiertelnie boję karaluchów.

Zdażyła się już spakować. Było jasne, że jeśli chodzi o Gwen, to Philipsburgh w Pensylwanii musi sobie znaleźć innego pastora.

Jednak stało się inaczej. Nie mogliśmy wyjechać przed wieczorem, bo właśnie na wieczornym niedzielnym nabożeństwie miałem wygłosić kazanie. Nie pamiętam, czy było to dobre kazanie, ale musiało być w nim coś, co poruszyło pięćdziesięcioro członków tej małej domowej kongregacji. Kilku z tych siedzących przede mną rolników o spracowanych dłoniach sięgnęło po chustki do nosa. Skończyłem właśnie kazanie i w myślach już oddalałem się z tego miejsca. Widziałem siebie wsiadającego do samochodu i odjeżdżającego z Philipsburgha wiodącą wśród wzgórz drogą, gdy nagle, jeszcze w czasie nabożeństwa, pewien starszy człowiek wstał i zapytał:

– Pastorze Wilkerson, czy zechce Pan zostać naszym duszpasterzem?

Było to raczej niespotykane posunięcie i zaskoczyło wszystkich obecnych, łącznie ze mną i z moją żoną. Członkowie tej małej kongregacji Zgromadzeń Boga już dość długo starali się dokonać wyboru pastora. Poznali już kilku kandydatów, od tygodni jednak tkwili w martwym punkcie, aż tu nagle starszy pan Meyer przejmuje inicjatywę i tak po prostu, z sali, składa mi podobną propozycję. Jednak nie wywołał tym ogólnego oburzenia, przeciwnie, wiele osób potakująco kiwało głowami, odezwały się nawet głosy popierające ten pomysł.

– Proszę pójść i porozmawiać o tym z żoną – powiedział pan Meyer. – Za chwilę do was dołączymy.

Kiedy znaleźliśmy się już w samochodzie i siedzieliśmy w nim nie zapaliliśmy światła, Gwen po prostu milczała. Na tylnym siedzeniu spała w swoim wiklinowym koszyku Debbie, a obok niej leżała nasza spakowana i gotowa do drogi walizka. Milczenie Gwen było jej cichym protestem przeciwko karaluchom.

– Gwen, potrzebujemy pomocy – powiedziałem pośpiesznie. – Myślę, że powinniśmy się pomodlić.

– Spytaj też o te karaluchy – odpowiedziała posępnie.

– Dobrze, to właśnie zamierzam zrobić.

Pochyliłem głowę, by w ciemności, w pobliżu miejsca zgromadzeń tej małej kongregacji, po raz pierwszy przeprowadzić eksperyment z takim rodzajem modlitwy, która ma na celu poznanie woli Boga poprzez otrzymanie od Niego znaku. Nazywa się to „położeniem przed Panem runa”, ponieważ tak właśnie zrobił Gedeon, kiedy starał się poznać Bożą wolę

dotyczącą jego życia. Poprosił, by Bóg dał mu znak w ten właśnie sposób. Położył owcze runo na ziemi i prosił, by rosa pokryła wszystko oprócz runa. Rankiem cała ziemia dookoła była obficie zroszona, ale runo Gedeona pozostało suche: Bóg dał mu znak.

– Panie – powiedziałem na głos – chciałbym teraz położyć przed Tobą runo. Jesteśmy gotowi pełnić Twoją wolę, jeśli tylko będziemy ją znali. Panie, jeśli chcesz, żebyśmy zostali w Philipsburghu, prosimy, żebyś nam to pokazał, sprawiając, że rada zagłosuje na nas jednomyślnie. Niech też sami z własnej woli zdecydują się zaopatrzyć plebanię w porządną lodówkę i piec...

– I jeszcze, Panie – weszła mi w słowo Gwen, bo właśnie wtedy otworzyły się drzwi budynku i członkowie rady skierowali się w naszą stronę – niech sami się zobowiążą, że pozbędą się tych karaluchów.

Wszyscy wierni wyszli wraz ze swą radą na zewnątrz i otoczyli kołem nasz samochód, przy którym stanąłem wraz z Gwen. Pan Meyer odchrząknął. Kiedy do nas mówił, Gwen w ciemności ścisnęła mi rękę.

– Państwo Wilkerson – na chwilę zamilkł, po czym ciągnął dalej. – Bracie Dawidzie, siostrze Gwen. Przeprowadziliśmy głosowanie i wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że chcemy, żebyś był naszym nowym pastorem. W stu procentach. Jeśli się na to zdecydujesz, zaopatrzymy plebanię w nowy piec i inne rzeczy, a ponadto pani Williams mówi, że dom trzeba też będzie dezynfekować.

– Żeby się pozbyć karaluchów – dodała pani Williams patrząc na Gwen.

W świetle padającym na trawnik z otwartych drzwi kaplicy zobaczyłem, że Gwen płacze. Później, w hotelu, po tym jak już z wszystkimi dookoła wymieniliśmy uścisk dłoni, Gwen powiedziała mi, że jest bardzo szczęśliwa.

I rzeczywiście byliśmy szczęśliwi w Philipsburghu. Życie wiejskiego kaznodziei bardzo mi odpowiadało. Większość wiernych stanowili rolnicy i górnicy, ludzie uczciwi, bojący się Boga i szczerzy. Przynosili dziesięcinę z żywności w postaci puszek, masła, jajek, mleka i mięsa. Byli to pełni inwencji, szczęśliwi ludzie. Ludzie, których można było podziwiać i od których można się było uczyć.

Kiedy byłem tam już nieco ponad rok, kupiliśmy leżące na skraju miasta stare boisko do bejsbola, gdzie grywał kiedyś Lou Gehrig. Pamiętam jak któregoś dnia stałem na wysokości bazy mety, patrzyłem na pole bramkowe i prosiłem Pana, by właśnie tam stanął nasz nowy budynek kościelny z kamieniem węgielnym na miejscu bazy mety i kazalnicą na wysokości shortstopu. I tak się właśnie stało.

Tuż obok kaplicy wybudowaliśmy plebanię i dopóki Gwen była panią tego domu, żadne robactwo nie miało szans. Był to niewielki pięciopokojowy różowy bungalow z widokiem na wzgórze z jednej strony i na biały krzyż kaplicy z drugiej.

W Philipsburghu Gwen i ja pracowaliśmy ciężko i odnosiliśmy swego rodzaju sukcesy. Z początkiem 1958 roku nasza „parafia” liczyła już 250 osób, łącznie z Bonnie, naszą małą córeczką.

Z czasem jednak zacząłem odczuwać jakiś niepokój, pewnego rodzaju duchowe niezadowolenie, którego nie mogły zaspokoić ani widok nowego budynku kościelnego postawionego na pięciu akrach ziemi na szczycie wzgórza, ani rosnący budżet misyjny, ani ścisk w kościelnych ławkach. Pamiętam dokładnie wieczór, kiedy się do tego sam przed sobą przyznałem, tak jak się pamięta ważne daty ze swojego życia. Było to 9 lutego 1958 roku. Tamtego wieczoru postanowiłem sprzedać telewizor.

Było późno, Gwen i dzieci już spały, a ja siedziałem przed odbiornikiem oglądając „Late Show”. W przedstawianą tam historię w jakiś sposób wpleciono występ rewiowych tancerek, które przemykały przez ekran w ledwie widocznych kostiumach. Nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest to jałowe.

– Starzejesz się, Dawidzie – oznajmiłem sam sobie.

Jednak, choć starałem się jak mogłem, nie potrafiłem na nowo skupić się na banalnej historyjce o dziewczynie – która to z nich była? – której obecność na scenie miała budzić żywiołowe zainteresowanie widza.

W końcu wstałem, przekręciłem gałkę telewizora i patrzyłem jak dziewczyny znikają z ekranu zmieniając się w małą kropkę na jego środku. Z salonu przeszedłem do swojego biura i usiadłem w skórzanym brązowym obrotowym fotelu.

– Ile czasu spędzam przed tym ekranem każdego wieczoru? – zastanowiłem się – Co najmniej parę godzin. Co by było, Panie, gdybym sprzedał telewizor i spędzał ten czas na modlitwie?

I tak byłem jedyną w rodzinie osobą oglądającą telewizję.

Co by było, gdybym każdego wieczora spędzał dwie godziny na modlitwie? Pomysł bardzo mi się spodobał. Zamieńmy oglądanie telewizji na modlitwę i zobaczymy, co się stanie.

Natychmiast przyszły mi na myśl różne kontrargumenty. Wiezorami byłem zmęczony. Potrzebowałem relaksu i zmiany tempa życia. Telewizja to część naszej kultury, więc nie jest dobrze, gdy duchowny nie ma kontaktu z tym, co ludzie oglądają i o czym rozmawiają.

Wstałem z fotela, wyłączyłem światło i stanąłem przy oknie. Patrzyłem na oświetlone światłem księżyca wzgórze. Wtedy położyłem przed Panem następne runo, które miało zmienić moje życie. Utrudniłem Bogu zadanie. Przynajmniej tak mi się zdawało, bo tak naprawdę nie chciałem rezygnować z telewizji.

– Jezu – powiedziałem – potrzebuję pomocy w podjęciu tej decyzji, więc proszę Cię o następującą rzecz. Dam w gazecie ogłoszenie o moim telewizorze. Jeśli to Ty stoisz za tym pomysłem, niech nabywca pojawi się natychmiast. Niech się zgłosi w ciągu godziny... w ciągu pół godziny... po ukazaniu się gazety.

Kiedy następnego ranka powiedziałem Gwen o mojej decyzji, nie zrobiło to na niej zbytniego wrażenia.

– Pół godziny! – powiedziała. – Coś mi się wydaje Dawidzie Wilkerson, że ty wcale nie masz ochoty na tę codzienną modlitwę.

Gwen miała sporo racji, ale i tak dałem ogłoszenie do gazety. Kiedy już się ukazała, w naszym salonie rozegrała się zabawna scenka. Siedziałem na kanapie, z jednej strony stał odbiornik telewizyjny, z drugiej patrzyła na mnie Gwen z dziećmi, ja zaś wpatrywałem się w tarczę wielkiego budzika stojącego obok telefonu. Minęło dwadzieścia dziewięć minut.

– No, Gwen – powiedziałem – wygląda na to, że masz rację. Chyba nie będę musiał...

Zadzwoił telefon. Patrząc na Gwen wolno podniosłem słuchawkę.

– To pan sprzedaje telewizor? – zapytał męski głos.

– Zgadza się. Marki RCA, w dobrym stanie. Dziewiętnastocalowy ekran, dwuletni.

– Ile pan za niego chce?

– Sto dolarów – odpowiedziałem szybko. Do tej pory w ogóle nie zastanawiałem się nad ceną.

– Wezmę go – powiedział po prostu mężczyzna.

– Nie chce go pan nawet obejrzeć?

– Nie. Niech będzie gotowy za piętnaście minut. Przyniosę pieniądze.

Od tamtej chwili moje życie zmieniło się radykalnie. Każdego dnia o północy, zamiast wciskać kolejne guziki, szedłem do swojego gabinetu, zamykałem drzwi i zaczynałem się modlić. Z początku czas mi się dłużył i niecierpliwiłem się. Potem wprowadziłem do mojego modlitewnego życia systematyczne czytanie Biblii: nigdy wcześniej nie przeczytałem Biblii od początku do końca łącznie ze wszystkimi rodowodami. Zrozumiałem też jak ważna jest w modlitwie równowaga między proszeniem a uwielbieniem. Jak wspaniale jest spędzić bitą godzinę po prostu na dziękowaniu! Daje to naszemu życiu zupełnie inną perspektywę.

Właśnie w czasie jednego z tych długich modlitewnych wieczorów wziąłem do ręki czasopismo Life.

Przez cały wieczór byłem dziwnie niespokojny. Byłem w domu sam – Gwen z dziećmi pojechała do Pittsburgha w odwiedziny do dziadków. Wcześniej długo się modliłem. Czułem wyjątkową bliskość Boga, a jednocześnie, z przyczyn których nie rozumiałem, odczuwałem też ciężar jakiegoś ogromnego smutku. Spłynął na mnie nagle i zastanawiałem się, co by to mogło oznaczać. Wstałem i zapaliłem światło. Byłem jakiś niespokojny, zupełnie jakbym otrzymał jakieś polecenie, nie wiedząc właściwie jakie.

– Co mi chcesz powiedzieć, Panie?

Chodziłem w kółko po gabinecie starając się zrozumieć, co się ze mną dzieje. Na moim biurku leżał egzemplarz Life’u. Sięgnąłem po czasopismo i już je miałem wziąć do ręki, kiedy pomyślałem: „Nie, nie wpadnę w tę pułapkę, nie będę czytał gazety, kiedy powinienem się modlić”.

Znowu zacząłem krążyć po pokoju i za każdym razem, kiedy przechodziłem obok biurka, moją uwagę przykuwało to czasopismo.

– Panie, czy jest tam coś, co chcesz mi pokazać? – powiedziałem na głos, a moje słowa zadudniły w pustym domu.

Usiadłem w moim brązowym skórzanym obrotowym fotelu i z bijącym sercem, jak gdybym stał u progu czegoś niepojętego, otworzyłem gazetę. Chwilę później patrzyłem na szkic przedstawiający siedmiu chłopców, a z moich oczu płynęły strumieniem łzy.

Następnego dnia wieczorem miało być nasze środowe spotkanie modlitewne. Postanowiłem powiedzieć zgromadzeniu o tym, co przeżyłem podczas modlitwy za dwie drugą nad ranem i o dziwnym pomysle, jaki się wtedy pojawił w mojej głowie.

Środowy wieczór był zimny i śnieżny. Zjawilo się niewiele osób; prawdopodobnie rolnicy obawiali się, że śnieżnica zatrzyma ich w mieście. Z kolei te kilkadziesiąt osób spośród mieszkańców miasta, które się pojawiły, przyszły późno i zajęły raczej ostatnie ławki, co dla kaznodziei jest złym znakiem – oznacza, że przemawia do „chłodnego” zgromadzenia.

Nawet nie próbowałem wygłosić żadnego kazania. Kiedy stanąłem za kazalnica, poprosiłem wszystkich, żeby się do mnie zbliżyli: „Bo chciałbym wam coś pokazać” – powiedziałem. Otworzyłem numer Life’u i pokazałem go wszystkim obecnym.

– Przyjrzyjcie się dobrze twarzom tych chłopców – rzekłem. A potem opowiedziałem im o tym, jak się rozplakałem i jak dostałem jasne polecenie, żeby pojechać do Nowego Jorku i spróbować pomóc tym chłopakom. Moi parafianie patrzyli na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. Zupełnie nie mogłem do nich dotrzeć i rozumiałem tego przyczynę. Naturalną reakcją w stosunku do tych chłopców byłaby raczej niechęć, nie współczucie. Sam nie rozumiałem swojej reakcji.

Stało się jednak coś niesamowitego. Powiedziałem wiernym, że chcę jechać do Nowego Jorku, ale nie mam na to pieniędzy. Mimo że było tak niewiele osób, mimo że nie rozumieli tego, co chciałem zrobić, tamtego wieczoru moi parafianie w milczeniu jeden po drugim wychodzili naprzód i kładli na komunijnym stole swoje datki. Ofiara wyniosła siedemdziesiąt pięć dolarów, akurat tyle, żeby samochodem dojechać do Nowego Jorku i powrócić.

We czwartek byłem gotów do wyjazdu. Wcześniej zadzwoniłem do Gwen i wyjaśniłem jej – obawiam się, że raczej bez większego powodzenia – co zamierzam zrobić.

– Naprawdę czujesz, że to Duch Święty tak cię prowadzi? – spytała.

– Tak, kochanie.

– No to nie zapomnij wziąć ciepłych skarpetek.

Wczesnym rankiem we czwartek wgramoliłem się do mojego starego samochodu razem z Milesem Hooverem, pełniącym w naszym społeczeństwie funkcję duszpasterza młodzieży, i zjechałem z podjazdu. Nikt nie widział jak odjeżdżamy, co było kolejną oznaką zupełnego braku zainteresowania dla tej wyprawy. Co więcej, dawał się on odczuć nie tylko ze strony innych. Sam w sobie również nie znajdowałem entuzjazmu. Ciągle zastanawiałem się nad



tym, po co w ogóle jadę do tego Nowego Jorku z tą jedną wyrwaną z Life’u kartką. Bez przerwy głowiłem się nad tym, czemu za każdym razem, kiedy tylko spojrzę na twarze tych chłopców, coś mnie ściska w gardle.

– Boję się, Miles – wyznałem w końcu, kiedy jechaliśmy autostradą.

– Boisz się?

– Że może postępuję nierozsądnie. Chciałbym się jakoś upewnić, że to naprawdę Boże prowadzenie, a nie tylko mój zwariowany pomysł.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

– Miles...

– No?

Patrzyłem przed siebie, bo byłem zbyt zmieszany, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Chciałbym, żebyś coś zrobił. Wyjmij Biblię, otwórz ją na chybił trafił i przeczytaj pierwszy fragment, na jaki natrafisz palcem.

Miles spojrzał na mnie tak, jakby chciał mnie oskarżyć o jakieś zabobonne praktyki, ale zrobił to, o co go poprosiłem. Sięgnął na tylne siedzenie i wyjął swoją Biblię. Kątem oka widziałem jak zamyka oczy, odchyła do tyłu głowę, otwiera Biblię i pewnie stawia palec na którejś stronie.

Po cichu przeczytał, potem spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział.

– No i?

Był to psalm 126, werset piąty i szósty.

– „Ci, co sięją zapłakani – czytał Miles – zbierać będą radośni! Kto idzie z płaczem, niosąc worek ziarna, ten powróci z radością, niosąc swoje snopy”.

Była to dla nas ogromna zachęta w tej naszej drodze do Nowego Jorku. I dobrze, bo była to ostatnia zachęta, jaką mieliśmy otrzymać przez bardzo długi czas.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 2

Do przedmieść Nowego Jorku dojechaliśmy drogą nr 46, łączącą autostradę z New Jersey z mostem Jerzego Waszyngtona. I znowu rozum zaczął mi podsuwać różne obiekcje. Co zrobię, kiedy już przejadę przez most na drugą stronę? Tego nie wiedziałem.

Potrzebowaliśmy benzyny, więc zaraz po zjechaniu z mostu stanęliśmy przy stacji benzynowej. Miles został w samochodzie, a ja wziąłem artykuł z Life'u, poszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do biura okręgowego prokuratora, którego nazwisko wymieniono w artykule. Kiedy w końcu połączono mnie z właściwym numerem, starałem się możliwie najlepiej zaprezentować jako dostojny pastor wypełniający powierzoną mu przez Boga misję. Na moim rozmówcy z biura prokuratora nie zrobiło to wrażenia.

– Prokurator nie życzy sobie żadnego ingerowania w tę sprawę. Życzę miłego dnia.

Usłyszałem brzęk odłożonej słuchawki.

Wyszedłem z budki i stałem chwilę obok piramidy ułożonej z pojemników z olejem, starając się na nowo wzbudzić w sobie poczucie misji. Byliśmy 350 mil od domu i zaczynało się ściemniać. Zacząłem odczuwać znużenie, zniechęcenie i jakby cień strachu. Czułem się taki samotny. Gdy tak stałem o zmroku na stacji benzynowej w świetle neonów, po tym jak spotkałem się z odmową, co było zresztą do przewidzenia, wskazówki, które otrzymałem w zaciszu mojej górskiej plebanii nie wydawały mi się już tak wyraźne.

– Hej, Dawidzie – zawołał Miles – blokujemy wyjazd.

Wyjechaliśmy na autostradę. Natychmiast utknęliśmy w gigantycznym korku. Nie mogliśmy zawrócić nawet gdybyśmy chcieli. Nigdy nie widziałem tylu samochodów naraz, a wszystkim się śpieszyło. Wyprzedzały mnie i trąbiły, słyszeliśmy rozlegający się wokół syk hamulców ciężarówek.

Ten most – cóż to był za widok! Po prawej stronie – rzeka czerwonych świateł – to tylne światła samochodów przed nami, do tego oślepiający blask reflektorów pojazdów nadjeżdżających z naprzeciwka, przed nami zaś wyłaniała się z ciemności ogromna sylwetka mostu. Nagle uświadomiłem sobie, jaki ze mnie prowincjusz.

– Co teraz zrobimy? – zapytałem Milesa, gdy dojechaliśmy do końca mostu, gdzie tuzin zielonych znaków wskazywał różne autostrady, których nazwy nic nam nie mówiły.

– Jeśli masz wątpliwości, jedź za samochodem, który jest przed tobą – odpowiedział.

Jadący przed nami samochód skręcił i skierował się w stronę górnego Manhattanu. Zrobiliśmy to samo.

– Patrz! – powiedział Miles, kiedy już dwa razy zdążyliśmy przejechać na czerwonym świetle i omal nie przejechaliśmy policjanta, który patrzył teraz za nami kręcąc głową. – Znam tę nazwę! Broadway!

Sławna nazwa ulicy była jak dobrze znana twarz wyłowiona spojrzeniem spośród tłumu obcych ludzi. Pojechaliśmy Broadwayem mijając kolejne tablice z numerami ulic, od numeru 200 do numerów poniżej 50, i nagle znaleźliśmy się na Times Square. Kiedy Miles odczytywał napisy na szyldach: „Nagie sekrety”, „Miłość bez miłości”, „Nieletnia piękność wieczoru”, „Wstyd”, przypomniały nam się spokojne wieczory w Philipsburghu. Nad jednym z teatrów widniał biały napis „Tylko dla dorosłych”, a tuż poniżej człowiek w czerwonym

uniformie starał się zapanować nad tłumem zniecierpliwionych, przepychających się nastolatków.

Kilka przecznic dalej natrafiliśmy najpierw na sklep sieci Macy, potem – na Gimbels. Na ten widok serce zabiło mi radośnie. Znałem te nazwy. Gwen zamawiała stamtąd różne rzeczy: ciepłe skarpetki, które obiecałem nosić, pochodziły chyba właśnie z Gimbelsa. Był to kawałek jakiejś starej i dobrze znanej rzeczywistości. Chciałem pozostać w pobliżu tych sklepów.

– Poszukajmy hotelu w tej okolicy – zaproponowałem Milesowi.

Po drugiej stronie ulicy był hotel „Martynique” – zdecydowaliśmy się tam zanocować. Wtedy z kolei pojawił się problem parkingu. Był jeden niedaleko hotelu, ale kiedy stróż powiedział „dwa dolary za noc”, szybko cofnąłem się na ulicę.

– To dlatego, że jesteśmy nietutejsi – powiedziałem Milesowi odjeżdżając stamtąd z prędkością, która – miałem przynajmniej taką nadzieję – świadczyła o moim oburzeniu.

– Wydaje im się, że jeśli nie jesteś stąd, to mogą sobie pozwolić na wszystko.

Pół godziny później z powrotem znaleźliśmy się na tym samym parkingu.

– No dobrze, wygrał pan – powiedziałem stróżowi, który się nawet nie uśmiechnął. Za kilka minut byliśmy już w naszym pokoju na dwunastym piętrze hotelu „Martynique”. Długo stałem przy oknie patrząc na ludzi i samochody w dole. Podmuch wiatru przywiewał co chwilę zza rogu tumany śmieci i stare gazety. Po drugiej stronie ulicy kilku nastolatków skupiło się wokół ognia. Było ich pięciu. Podrygiwali z zimna, wyciągali ręce w stronę płomienia i zapewne zastanawiali się, co będą dzisiaj robić. Dotknąwszy w kieszeni wyrwanej z Life’u kartki pomyślałem o tym, jak kilka miesięcy wcześniej siedmiu innych, być może podobnych do nich zamroczonych nudą i złością chłopców, podczas swej włóczęgi trafiło do Parku Highbridge.

– Spróbuję jeszcze raz zadzwonić do biura okręgowego prokuratora – powiedziałem Milesowi. Ku mojemu zdziwieniu ktoś tam jeszcze był. Wiedziałem, że się naprzykrzam, ale nie widziałem innego sposobu dotarcia do tych chłopców. Dzwoniłem jeszcze dwa razy, a potem trzeci. W końcu ktoś miał już mnie tak dosyć, że udzielił mi informacji.

– Niech pan posłucha – powiedziano mi zwięźle – jedyną osobą, która może dać panu pozwolenie na widzenie z tymi chłopcami jest sam sędzia Davidson.

– A jak mogę się skontaktować z sędzią Davidsonem?

Znudzony głos odrzekł:

– Będzie jutro rano na rozprawie. Court Street, numer 100. A teraz już do widzenia, pastorze. Proszę tu już więcej nie dzwonić, naprawdę nie możemy panu pomóc.

Wykonałem jeszcze jeden telefon, tym razem do sędziego Davidsona, jednak centrala poinformowała mnie, że jego telefon jest wyłączony. Telefonistka powiedziała, że jej przykro, ale nie istnieje żadna możliwość skontaktowania się z nim.

Położyliśmy się do łóżek, ale nie mogliśmy – w każdym razie ja nie mogłem – zasnąć. Moje nienawykłe do miejskiego gwaru uszy w każdym dobiegającym z ulicy odgłosie wietrzyły pogrozkę. Następných kilka godzin spędziłem po części na zastanawianiu się nad tym, co ja tu w ogóle robię, a po części na dziękczynnych modlitwach za to, że cokolwiek się dzieje, na pewno nie zatrzyma mnie tu zbyt długo.

Następnego ranka, gdzieś po siódmej, obaj wstaliśmy, ubraliśmy się i wymeldowaliśmy się z hotelu. Nie zjedliśmy śniadania. Obaj instynktownie czuliśmy, że w całej tej sprawie nastąpi jakiś przełom, i że ten post dobrze robi zarówno naszej psychice jak i ciału.

Gdybyśmy lepiej znali Nowy Jork, pojechalibyśmy do sądu metrem. Ale nie znaliśmy tego miasta, więc odebraliśmy z parkingu samochód, zapytaliśmy o drogę do Court Street i ponownie skierowaliśmy się w stronę Broadwayu.

Court Street numer 100 to olbrzymi ponury gmach, do którego tłumnie zdążają rozgniewani i pałający żądzą zemsty ludzie. Dla setek innych jest to miejsce pracy, ale przyciąga ono również gapiów, którzy chcą – bez ryzyka – brać udział w tym spektaklu walki. Tamtego dnia

przed salą, w której miała być wznowiona rozprawa w sprawie o zabójstwo Michaela Farmera słyhać było zwłaszcza jednego z takich ciekawskich.

– Krzesło elektryczne to dla nich za mało – mówił do zebranych. Potem zwrócił się do stojącego przy zamkniętych drzwiach umundurowanego strażnika: – Trzeba dać tym śmieciom nauczkę. Niech to będzie przykład dla innych.

Strażnik wsadził kciuki za pas i odwrócił się do mówiącego plecami, dając jakby tym znać, iż od dawna mu wiadomo, że tylko w ten sposób można się obronić przed samozwańczymi strażnikami sprawiedliwości. Kiedy tam przyjechaliśmy – o ósmej trzydzieści – już czterdzieści osób czekało w kolejce, aby wejść na salę rozpraw. Później dowiedziałem się, że tego dnia dla publiczności przeznaczono czterdzieści dwa miejsca. Często później myślałem o tym, że gdybyśmy stracili czas na zjedzenie śniadania, wszystko, co mi się przydarzyło poczynawszy od tamtego ranka 28 lutego 1958 roku potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Przez półtorej godziny staliśmy w kolejce, nie śmiejąc jej opuścić, bo byli chętni na nasze miejsca. Raz, kiedy woźny przechodził wzdłuż kolejki, wskazałem na drzwi w głębi korytarza.

– Czy tam jest kancelaria sędziego Davidsona? – zapytałem.

Odpowiedział skinieniem głowy.

– Jak pan myśli, czy mógłbym się z nim zobaczyć?

Spojrzał na mnie i zaśmiał się. Nie odpowiedział, wydał tylko pomruk wyrażający jednocześnie pogardę i rozbawienie, po czym odszedł.

Okolo dziesiątej strażnik otworzył drzwi sali sądowej i weszliśmy rzędem do niewielkiego przedsionka, gdzie wszystkich nas pobieżnie zrewidowano. Musieliśmy unieść ręce; myślę, że szukali broni.

– Grożono sędziemu – powiedział znajdujący się przede mną mężczyzna odwrócony do mnie twarzą, kiedy go przeszukiwano.

– Gang Smoków. Powiedzieli, że go dopadną w sądzie.

Miles i ja zajęliśmy ostatnie dwa miejsca. Siedziałem obok człowieka, którego zdaniem sprawiedliwość powinna działać rychlej.

– Ci chłopcy powinni być już martwi, nie uważa pan? – powiedział do mnie nim jeszcze usiedliśmy, ale zanim zdołałem coś odpowiedzieć, odwrócił się, by to samo pytanie zadać swojemu drugiemu sąsiadowi.

Byłem zaskoczony rozmiarami sali sądowej. Spodziewałem się imponującego pomieszczenia z setkami miejsc, ale to moje wyobrażenie było chyba rodem z Hollywood. Połowę sali zajmowali właściwie pracownicy sądu, jedną czwartą – dziennikarze, zaś dla publiczności wyznaczono jedynie małą część z tyłu.

Mój sąsiad z prawej strony pośpiesznie objaśniał mi szczegóły sądowej procedury. Kiedy przez tylne drzwi sali weszła spora grupa mężczyzn, zostałem poinformowany, że są to obrońcy z urzędu.

– Jest ich dwudziestu siedmiu – powiedział mój rozmówca. – Muszą ich dać władze. Nikt inny nie broniłby tych wykolejeńców. Poza tym oni nie mają pieniędzy. To Latynosi, sam pan rozumie.

Nie rozumiałem, ale nic nie powiedziałem.

– Musieli wnieść o uniewinnienie. Według prawa stanowego to jest morderstwo pierwszego stopnia. Powinni dostać krzesło, wszyscy.

Weszli właśnie oskarżeni chłopcy.

Nie wiem czego się spodziewałem. Chyba mężczyzn. W końcu to była sprawa o morderstwo i nie mieściło mi się w głowie, że mogłyby je popełnić dzieci. Ale to były dzieci. Siódemka przygarbionych, wystraszonych, białych, chudych dzieciaków, których los zależny był od wyroku, jaki zapadnie w procesie o bezlitosne zabójstwo. Każdy z nich był przykut do

strażnika, a wszyscy ci strażnicy, przynajmniej tak mi się wydało, byli wyjątkowo krzepcy, jakby celowo ich tak dobrano, dla kontrastu.

Pod eskortą zaprowadzono chłopców do lewej części sali, gdzie ich posadzono i zdjęto im kajdanki.

– Tak się ich właśnie powinno traktować – powiedział mój sąsiad. – Nigdy za wiele ostrożności. Boże, jak ja nienawidzę tych chłopaków!

– Bóg jest chyba jedyną osobą, która ich nie nienawidzi – powiedziałem.

– Co...?

Rozległ się odgłos stukania w kawałek drewna, by przywołać salę do porządku, bo właśnie energicznym krokiem wchodził sędzia. Wszyscy wstali.

Przyglądałem się temu wszystkiemu w milczeniu, natomiast mój sąsiad przeciwnie. Zachowywał się tak głośno, że kilka razy ludzie odwracali się, by zobaczyć kto to. Tego dnia zeznania składała dziewczyna.

– To jest maskotka gangu – objaśniono mi z boku. Maskotka to taka nastoletnia dziwka.

Dziewczynie pokazano nóż i zapytano ją, czy go rozpoznaje. Przyznała, że z tego właśnie noża starła krew tego wieczora, kiedy popełniono morderstwo. Ustalenie tego prostego faktu zajęło cały ranek.

I na tym, zupełnie niespodziewanie, rozprawa się zakończyła. Tak byłem tym zaskoczony, że przynajmniej częściowo może to tłumaczyć moje późniejsze zachowanie. Nie miałem czasu na przemyślenie swego kolejnego kroku.

Widząc jak sędzia Davidson wstaje i ogłasza, że rozprawa zostaje odroczone, oczyma wyobraźni widziałem już jak opuszcza salę i na zawsze znika za drzwiami. Pomyślałem, że jeśli nie spotkam się z nim teraz, to nigdy już mi się to nie uda.

– Idę z nim porozmawiać – szepnąłem do Milesa.

– Zwariowałeś?

– Jeśli nie... – sędzia już zbierał poły swojej togi szykując się do wyjścia. Westchnąłem do Boga, prawą ręką chwyciłem swoją Biblię w nadziei, że będzie to jakiś dowód mojego duchownego stanu, przepchnąłem się do przejścia i pobiegłem w kierunku sędziego.

– Wysoki Sądzie! – zawołałem.

Sędzia Davidson odwrócił się; był zły, że ktoś narusza sądową etykietę.

– Wysoki Sądzie, czy udzieliłby mi Sąd, jako duchownemu, posłuchania?

Ale dopadli mnie już strażnicy. Myślę, że ich brutalność wynikała po części z faktu pogroźek wobec sędziego. Dwóch z nich chwyciło mnie pod ręce i ciągnęło przejściem między ławkami, podczas gdy fotoreporterzy z sektora prasowego jeden przez drugiego pchali się do wyjścia usiłując zrobić mi zdjęcie.

W przedśionku strażnicy przekazali mnie dwóm ludziom w niebieskich mundurach.

– Proszę zamknąć drzwi – rozkazał jeden z oficerów. – Niech nikt stamtąd nie wychodzi.

Następnie zwrócił się do mnie:

– Dobra, gdzie ten pistolet?

Zapewniłem go, że nie mam żadnego pistoletu. Ponownie mnie przeszukano.

– Z kim pan przyszedł? Kto tam jeszcze jest?

– Miles Hoover, nasz młodzieżowy duszpasterz.

Wprowadzono Milesa. Trząśł się cały, bardziej ze zdenerwowania i wstydu, niż ze strachu.

Kilku reporterom udało się dostać do pomieszczenia, gdzie przesłuchiwała nas policja. Pokazałem dokument stwierdzający, że jestem ordynowanym duchownym. Policjanci sprzeczali się między sobą na temat zarzutów, które by mi trzeba postawić. Sierżant powiedział, że pójdzie zapytać o zdanie sędziego Davidsona, a kiedy wyszedł, reporterzy zasypali mnie i Milesa pytaniami. Skąd jesteśmy? Czemu to zrobiliśmy? Czy trzymamy ze Smokami? Czy ukradliśmy lub podrobiliśmy te kościelne legitymacje?

Wrócił sierżant i powiedział, że sędzia Davidson nie zamierza wnosić na mnie skargi, i że tym razem puszcza mnie wolno, pod warunkiem, że nigdy już się tu nie pojawię.

– Proszę się nie martwić – powiedział Miles. – On tu już nie wróci.

Nie bawiąc się w żadne uprzejmości wyprawiono mnie na korytarz. Czekają tam kilku dziennikarzy. Stali w półkolu z wycelowanymi we mnie obiektywami aparatów. Jeden z nich zapytał:

– Hej, pastarze, co to za książka?

– To moja Biblia.

– Wstydzi się pan jej?

– Oczywiście, że nie.

– Nie? To czemu ją pan chowa? Proszę podnieść do góry, żebyśmy ją mogli zobaczyć.

Byłem na tyle naiwny, że to zrobiłem. Błysnęły flesze i naraz zdałem sobie sprawę jak to będzie wyglądało w gazetach: wymachujący Biblią rozczochrany wiejski kaznodzieja zakłóca proces o morderstwo.

Jeden, tylko jeden z reporterów był bardziej obiektywny. Był to Gabe Pressman z NBC News. Zadał mi kilka pytań, by się dowiedzieć, czemu interesuję się chłopcami, którzy popełnili tak ohydny zbrodnię.

– Czy kiedykolwiek przyjrzał się pan ich twarzom?

– Tak, oczywiście.

– I mimo to pan pyta?

Gabe Pressman lekko się uśmiechnął.

Rozumiem o co chodzi. Cóż, pastarze, w każdym razie na pewno nie jest pan taki, jak ci łowcy sensacji.

Rzeczywiście, byłem inny. Różniłem się na tyle, żeby myśleć, że mam do wykonania coś, co mi zlecił Bóg, podczas gdy po prostu robiłem z siebie błazna. Różniłem się na tyle, żeby przynieść wstyd mojej kongregacji, mojemu miastu, mojej rodzinie.

Kiedy tylko pozwolono nam odejść, natychmiast pośpieszyliśmy na parking, gdzie przyszło nam wydać kolejne dwa dolary. Miles nie odzywał się ani słowem. Gdy tylko wsiedliśmy do samochodu i zamknęliśmy drzwi, pochylilem głowę i przez 20 minut płakałem.

– Jedźmy do domu, Miles. Jedźmy stąd.

Kiedy w drodze powrotnej przejeżdżaliśmy przez most Jerzego Waszyngtona, odwróciłem się i raz jeszcze spojrzałem na rysującą się w oddali sylwetkę Nowego Jorku. Nagle przypomniał mi się fragment psalmu, który przyniósł nam tyle zachęty: „Ci, co sięją zapłakani, zbierać będą radości”.

Cóż to była za wskazówka? Zaczynałem już wątpić, czy w ogóle możliwe jest otrzymanie od Boga jakichś szczegółowych instrukcji.

Jak spojrzę w oczy swojej żonie, rodzicom, wiernym w kościele? Stałem przecież przed zgromadzeniem i powiedziałem, że to Bóg poruszył moje serce, a teraz muszę tam wrócić, by im wszystkim powiedzieć, że się pomyliłem, i że wcale nie znam Bożego serca.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 3

– Miles – powiedziałem, kiedy byliśmy już 50 mil od mostu – czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy pojechali do domu przez Scranton?

Miles wiedział do czego zmierzam. Tam właśnie mieszkali moi rodzice. Szczerze mówiąc, chciałem po prostu wypłakać się na ich ramieniu.

Zanim następnego ranka dojechalśmy do Scranton, cała historia trafiła do gazet. Już od jakiegoś czasu prasa szeroko rozpisywała się na temat procesu o zabójstwo Michaela Farmera, ale zaczynało jej już brakować materiału. Dogłębnie przeanalizowano wszystkie przerażające szczegóły popełnionego morderstwa i dosyć już zamieszczono wyrazów oburzenia, tak że temat został wyeksploatowany aż do granic możliwości. Trudno było wydusić z tego jeszcze choćby jedną kroplę okropności. Dawno już omówiono wszelkie psychologiczne, socjologiczne i prawne aspekty tej sprawy. I naraz, kiedy strumień atramentu groził właśnie wyschnięciem, ku radości wydawców, pojawiło się coś, co mogło ich ucieszyć, gazety wykorzystały to więc w pełni.

Dopiero gdy wjeżdżaliśmy na przedmieścia Scranton, zacząłem się zastanawiać, jak to wszystko przyjmą moi rodzice. Wcześniej myślałem, że pojawię się u nich po prostu jak mały, skrzywdzony chłopiec, ale gdy się już tam znalazłem, bałem się tego spotkania. W końcu nazwisko, które ośmieszyłem, było też ich nazwiskiem.

– Może jeszcze o tym nie wiedzą – powiedział Miles, kiedy wjeżdżaliśmy na podjazd.

Wiedzieli. Rozłożona na kuchennym stole gazeta była otwarta na stronie zamieszczającej skrót informacji z kraju agencji United Press. Było tam o wymachującym Biblią młodym kaznodziei z błędnym wzrokiem, wyrzuconym z rozprawy o zamordowanie Michaela Farmera.

Mama i tata przywitali mnie uprzejmie, niemal oficjalnie.

– Dawidzie – powiedziała mama – cóż za... miła niespodzianka.

– Witaj, synu – rzekł tata.

Usiadłem. Miles taktownie udał się na „mały spacer”. Rozumiał, że lepiej będzie, jeśli tych pierwszych kilka chwil upłynie mi w gronie najbliższych.

– Wiem, co sobie myślicie – ruchem głowy wskazałem gazetę – powiem to za was: Jak my się teraz pozbieramy?

– Widzisz, synu – powiedział mój ojciec – chodzi nie tyle o nas, ile o kongregację. I o ciebie, rzecz jasna. Mogłeś stracić swoją pastorską licencję.

Zrozumiałem, że bardzo się o mnie martwi i nic nie odpowiedziałem.

– Co zrobisz, kiedy wrócisz do Philipsburgha, Dawidzie? – zapytała mama.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

Podeszła do lodówki i wyjęła z niej butelkę mleka.

– Czy mogłabym dać ci pewną radę? – zapytała nalewając mi mleka do szklanki. (Zawsze usiłowała mnie podkarmić.) Zwykle nie czekała na moje przyzwolenie, kiedy chciała mi coś doradzić. Tym razem jednak, nadal z butelką mleka w ręku, zaczęła aż kiwnąć głową na znak, żeby mówiła dalej. Zupełnie jakby uznała, że tę bitwę muszę rozegrać sam i że mogę nie życzyć sobie matczynej rady.

– Kiedy wrócisz do domu, nie przyznawaj zbyt szybko, że to błąd. „Pan w tajemniczy nieraz sposób dokonuje swoich wielkich dzieł”. Możliwe, że wszystko to jest częścią planu, którego teraz jeszcze w całości nie znasz. Zawsze wierzyłam w twój zdrowy rozsądek.

Przez całą drogę do Philipsburgha zastanawiałem się nad słowami matki. Cóż dobrego mogło wyniknąć z tej porażki?

Odwiozłem Milesa do domu i podjechałem do plebanii od tyłu. Jeśli w ogóle możliwe jest wjechać chyłkiem na własny podjazd czymś tak dużym jak samochód, to tego właśnie dokonałem. Zamknąłem drzwiczki tak, żeby nie trzasnęły i niemal na palcach wszedłem do salonu. Siedziała tam Gwen.

Podeszła do mnie i mnie objęła.

– Biedaku – powiedziała. Dopiero po dłuższej chwili, w czasie której po prostu syciliśmy się wzajemną obecnością, zapytała:

– Co się takiego złego stało?

Opowiedziałem jej szczegółowo o wszystkim, co się wydarzyło od momentu, kiedy się ostatni raz widzieliśmy, a potem o tym, co powiedziała moja matka: że być może nic się złego nie stało.

– Bardzo trudno będzie ci przekonać o tym to miasto, Dawidzie. Telefon dzwoni bez przerwy. I dzwonił jeszcze kolejne trzy dni. Któryś z miejskich oficjeli zadzwonił, żeby na mnie nawrzeszczeć. Moi koledzy po fachu bez wahania uznali, że chodziło mi o tani rozgłos. Kiedy wreszcie zdobyłem się na to, żeby przespacerować się do śródmieścia, oglądali się za mną spotkani na ulicy ludzie. Pewien człowiek, któremu zawsze zależało na tym, by w mieście więcej się działo niż dotychczas, uściśnął mi dłoń, poklepał po plecach i powiedział:

– No, pastorze, dzięki tobie stary Philipsburgh stał się sławny!

– Najtrudniejsze było dla mnie niedzielne spotkanie z wiernymi w kościele. Zgromadzeni byli wobec mnie uprzejmi... i milczący. Stojąc tamtego dnia za kazalnica starałem się spojrzeć na całą sprawę tak uczciwie, jak tylko mogłem.

– Wiem, że wszyscy zadajecie sobie pewnie wiele pytań – powiedziałem zwracając się do dwustu osób siedzących przede mną z kamiennym wyrazem twarzy. – Przede wszystkim współczujecie mi i ja to naprawdę doceniam. Ale pewnie mówicie też sobie: „Cóż za egoista z tego naszego pastora! Czyżby mu się zdawało, że Bóg pozwolił mu robić cokolwiek mu przyjdzie do głowy?” I macie prawo tak myśleć. Najwyraźniej wygląda na to, że pomyliłem własne ambicje z Bożą wolą. Zostałem upokorzony. Dostałem nauczkę.

Jednakże powinniśmy zadać też takie pytanie: Jeśli rzeczywiście naszym zadaniem tu na ziemi jest wypełnianie woli Boga, to dlaczego nie mielibyśmy oczekiwać, że On nam ją w jakiś sposób objawi?

Twarze słuchaczy pozostawały bez wyrazu. Żadnego odzewu. Nie byłem zbyt dobrym przykładem na Boże prowadzenie.

Jednakże wszyscy byli dla mnie naprawdę mili. Większość obecnych stwierdziła, że ich zdaniem postąpiłem głupio, ale przynajmniej wiedzą, że mam serce na właściwym miejscu. Jedna z miłych pań wyraziła to w ten sposób:

– Chcemy, żeby pastor z nami pozostał, nawet gdyby nie chciano pastora nigdzie indziej – po czym dużo czasu zajęło jej wyjaśnianie, że nie chciała wcale, żeby tak to właśnie zabrzmiało. Później stało się coś dziwnego.

Podczas moich wieczornych sesji modlitewnych ciągle przychodził mi na myśl jeden werset. Po prostu nie dawał mi spokoju: „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują, to jest z tymi, którzy według postanowienia Jego są powołani”.

Oddziaływał na mnie bardzo mocno i jednocześnie był swego rodzaju potwierdzeniem, mimo że nadal nie było żadnych racjonalnych podstaw, żebym się poczuł uspokojony. Jednak wraz z nim pojawiła się też myśl tak nedorzeczna, że walczyłem z nią przez kilka kolejnych wieczorów.



Wracaj do Nowego Jorku.

Przez trzy noce z rzędu starałem się ją ignorować, ale ona tym uporczywiej wracała, więc postanowiłem się z nią rozprawić. Wiedziałem już co zrobić.

Po pierwsze, Nowy Jork to najwyraźniej nie była moja sprawa. Po prostu nie lubiłem tego miejsca i najwyraźniej nie byłem stworzony do tego, żeby tam mieszkać. Na każdym kroku wychodziła na jaw moja ignorancja, a sama nazwa „Nowy Jork” kojarzyła mi się z uczuciem zażenowania. Ponowne pozostawienie Gwen i dzieci po tak krótkim czasie byłoby ze wszech miar niewłaściwe. Nie będę jechał osiem godzin tam i kolejnych osiem z powrotem dla samej przyjemności wygłupienia się po raz drugi. Co zaś do tego, by znowu prosić o pieniądze na podróż, nie wchodziło to w rachubę. Ci rolnicy i górnicy i tak dawali więcej niż powinni. Jak mógłbym im to wyjaśnić, skoro sam jeszcze nie rozumiałem tego nakazu powrotu do miejsca, które było świadkiem mojej porażki? Nie miałem większej niż poprzednio szansy na spotkanie z tymi chłopcami. Co więcej, była ona nawet mniejsza, bo w oczach władz miasta uchodziłem za wariata. Za żadne skarby świata nie zwróciłbym się do moich wiernych z podobną propozycją.

A jednak ta nowa myśl była tak natarczywa, że we środę wieczorem znów stanąłem za kazalnica i poprosiłem moich współwyznawców o pieniądze na powrót do Nowego Jorku ...

Reakcja ludzi była naprawdę zadziwiająca. Znowu jeden po drugim wstawali, wychodzili naprzód i kładli swe ofiary na komunijnym stole. Tym razem ludzi było dużo więcej, może ze 150 osób. Ale, co ciekawe, ofiara wyniosła niemal dokładnie tyle samo, co poprzednim razem. Kiedy policzono już wszystkie monety i nieliczne banknoty, było tego akurat tyle, żeby znowu pojechać do Nowego Jorku. Zebrano siedemdziesiąt dolarów.

Następnego ranka Miles i ja przed szóstą byliśmy już w drodze. Pojechaliśmy tą samą trasą, zatrzymaliśmy się na tej samej stacji benzynowej, wjechaliśmy do Nowego Jorku przez ten sam most. Kiedy nim jechaliśmy, modliłem się tak: „Panie, nie mam najmniejszego pojęcia czemu pozwoliłeś, żeby wszystko potoczyło się właśnie tak, jak to było w zeszłym tygodniu, ani dlaczego znów do tego wszystkiego wracam. Nie proszę Cię o to, żebyś mi objawił swój zamysł, ale pokieruj moimi krokami”.

Ponownie znaleźliśmy się na Broadwayu i pojechaliśmy na południe jedyną znaną nam już trasą. Jechaliśmy wolno. Nagle ogarnęło mnie niewiarygodnie silne przeświadczenie, że właśnie teraz powinienem wysiąść z samochodu.

– Zaparkuję gdzieś tutaj – powiedziałem do Milesa. – Chciałbym się tu trochę rozejrzeć.

Znaleźliśmy wolne miejsce.

– Niedługo wrócę. Właściwie sam nie wiem, czego szukam.

Zostawiłem Milesa w samochodzie i ruszyłem ulicą przed siebie. Nie byłem jeszcze nawet w połowie drogi do następnej przecznicy, kiedy usłyszałem czyjś głos:

– Hej, Davie!

Nie obejrzałem się, myślałem, że to jakiś chłopak woła swojego kumpla. Ale wołanie rozległo się znowu.

– Hej, Davie! pastorze!

Tym razem się obejrzałem. Sześciu nastolatków podpierało ścianę budynku, na której widniał napis: „Zakaz włóczęgostwa. Policja ma prawo zatrzymywania podejrzanych osób”. Mieli na sobie wąskie spodnie i kurtki zapinane na błyskawiczny zamek. Wszyscy oprócz jednego palili papierosy i wszyscy wyglądali na znudzonych.

Siódmy chłopak odłączył się od grupy i siedł za mną.

Z sympatycznym uśmiechem na twarzy zagadnął:

– Czy to nie ty jesteś tym kaznodzieją, którego wywalili z procesu w sprawie Michaela Farmera?

– Tak. Skąd wiesz?

– Wszędzie były twoje zdjęcia. Masz twarz, którą łatwo zapamiętać.

– Dzięki.

– To nie komplement.

– Ty znasz moje imię, ale ja nie znam twojego.

– Mam na imię Tommy. Jestem szefem Buntowników.

Zapytałem Tommy'ego, przywódcę Buntowników, czy ci chłopcy pod napisem „Zakaz włóczęgostwa” to jego kumple, a on zaproponował, że mnie z nimi zapozna. Zachowali ten swój wystudiowany znudzony wyraz twarzy do czasu, gdy Tommy powiedział im, że miałem kłopoty z policją. Podziało zupełnie jak magiczne zaklęcie. Była to jakby moja przepustka. Tommy przedstawił mnie z wielką atencją.

– Hej, chłopaki – powiedział – to jest ten kaznodzieja, którego wykopali z procesu Michaela Farmera.

Jeden po drugim chłopcy odklejali się od ściany budynku i podchodzili, żeby mi się przyjrzeć. Tylko jeden z nich się nie ruszył. Otworzył z trzaskiem nóż i zaczął nim ryć na metalowej ramie znaku „Zakaz włóczęgostwa” nie nadające się do druku słowo. Podczas kiedy rozmawiałem z resztą chłopaków, dołączyło do nas kilka dziewcząt.

Tommy zapytał mnie o rozprawę, więc powiedziałem, że chciałbym pomagać nastolatkom, zwłaszcza tym z gangów. Wszyscy chłopcy oprócz tego z nożem słuchali mnie uważnie, kilku z nich rzuciło nawet uwagę, że jestem „jednym z nich”.

– Co macie na myśli mówiąc, że jestem jednym z was? – zapytałem.

Ich sposób myślenia był prosty: gliny mnie nie lubią, ich też, więc jedziemy na tym samym wózku i jestem naprawdę jednym z nich. Wtedy właśnie po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni, spotkałem się z podobnym sposobem rozumowania. Nagle przez mój umysł przewinęła się scena z sali sądowej – moment kiedy mnie wyprowadzano. Tym razem jednak zobaczyłem ją w zupełnie innym świetle. Odczułem ten sam dreszcz, który przebiega mnie zawsze, kiedy staję twarzą w twarz z doskonałością Bożych planów.

Nie miałem wtedy czasu dłużej się nad tym zastanowić, bo chłopak z nożem w końcu również do mnie podszedł. Jego słowa, choć był to język samotnego dziecka ulicy, raniły moje serce boleśniej, niż mógłby to zrobić jego nóż.

– Davie – powiedział unosząc ramiona tak, żeby kurtka bardziej przylegała do pleców. Zauważyłem, że na ten gest pozostali chłopcy odrobinę się cofnęli. Nieśpiesznym ruchem chłopak zamknął i znów otworzył swój nóż. Wyciągnął go i przejechał ostrzem od góry do dołu po guzikach mojego płaszcza. Nie odezwał się, póki nie zakończył tego małego rytuału.

– Davie – powiedział w końcu, po raz pierwszy patrząc mi w oczy. – Jesteś w porządku. Ale jeśli kiedykolwiek zabierzesz się za chłopaków z tego miasta...

Poczułem lekki ucisk noża na moim brzuchu.

– Jak masz na imię, młody człowieku?

Miał na imię Willie, ale powiedział mi to inny chłopak.

– Willie, nie wiem czemu Bóg przyprowadził mnie do tego miasta, ale pozwól, że powiem ci jedno. On jest po twojej stronie. To ci mogę zagwarantować.

Willie nadal nie spuszczał ze mnie wzroku, ale czułem że nacisk noża stopniowo słabnie.

Tommy zręcznie zmienił temat.

– Davie, jeśli chcesz się spotykać z gangami, to czemu nie zaczniesz tutaj? Ci tu faceci to wszystko Buntownicy, mogę cię też zaprowadzić do ZWG.

– ZWG?

– Zjednoczenie Wielkich Gangsterów.

Byłem w Nowym Jorku zaledwie od pół godziny, a już zapoznawano mnie z kolejnym ulicznym gangiem. Tommy tłumaczył mi jak dojść, ale nie do końca to rozumiałem.

– Rany, ależ z ciebie wieśniak! Nancy! – zawołał do jednej ze stojących w pobliżu dziewcząt.

– Zaprowadź pastora do ZWG, dobra?

ZWG spotykali się w piwnicy przy 134 ulicy. Żeby dojść do ich „klubu”, musiałem zejść wraz z Nancy betonowymi schodami i klucząc między przykutymi łańcuchami do ściany kubłami na śmieci, wychudzonymi kotami o sztywnej, zlepionej brudem sierści i stosami butelek po wódce, doszliśmy w końcu do drzwi, przed którymi Nancy zatrzymała się i zapukała dwa razy krótko i cztery razy długo.

Otworzyła je dziewczyna. W pierwszej chwili myślałem, że się wygłupia. Idealnie pasowała do stereotypowego wyobrażenia o włóczęgach. Była bez butów, w ręku trzymała puszkę piwa, z ust zwisał jej papieros, miała potargane włosy, a ramiączko jej sukienki było prowokująco zsunięte. Dwie rzeczy powstrzymały mnie od śmiechu: twarz dziewczyny w żadnym razie nie wyrażała rozbawienia; poza tym było to dziecko, nastolatka.

– Maria – powiedziała Nancy – możemy wejść? Chciałabym ci przedstawić jednego znajomego.

Maria wzruszyła ramieniem – tym, na którym trzymała się jej sukienka – i otworzyła szerzej drzwi. Pomieszczenie było ciemne i minęła dobra chwila, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że wypełniało je mnóstwo par. Chłopcy i dziewczyny w wieku licealnym siedzieli razem w tym zimnym i cuchnącym miejscu. Wtedy też z przejęciem uświadomiłem sobie – Tommy miał rację, byłem wieśniakiem – że przecież Maria nie zdjęła sobie butów ani nie opuściła ramiączka sukienki sama. Ktoś włączył słabe światło. Dzieciaki powoli poodklejały się od siebie i spojrzały w naszą stronę z wyrazem tego samego znudzenia, jakie widziałem już u Buntowników.

– To jest ten pastor, którego wywalili z procesu Farmera – powiedziała Nancy.

Natychmiast się mną zainteresowali. Co ważniejsze, zyskałem też ich sympatię. Tamtego popołudnia po raz pierwszy miałem okazję wygłosić kazanie do nowojorskiego gangu nastolatków. Nie starałem się przekazać im jakichś skomplikowanych prawd, a tylko to, że jest ktoś, kto ich kocha. Kocha ich takimi, jakimi są, tam, gdzie są, wśród butelek po wódce, znudzonych i uganiających się za seksem. Bóg wie, czego szukają, kiedy piją i igrają z seksem i bardzo chce im to dać: zachętę, radość i poczucie tego, że komuś na nich zależy. Ale nie chce, żeby czerpali to z butelki taniego napoju w zimnej piwnicy. Bóg ma dla nich coś o wiele lepszego.

Raz, kiedy na chwilę zamilkłem, jeden z chłopców powiedział:

– Wal dalej, pastor, trafiasz.

Po raz pierwszy słyszałem to wyrażenie. Znaczyło to, że docierałem do ich serc, a to był największy komplement dotyczący mojego kazania, jaki mogłem od nich usłyszeć.

Pół godziny później byłbym opuścił tę piwniczną kryjówkę bardzo zachęcony, gdyby nie jedno. Tam, wśród członków ZWG, po raz pierwszy zetknąłem się z narkotykami. Maria – która, jak się okazało, przewodziła żeńskiej części gangu ZWG – przerwała mi, kiedy powiedziałem, że Bóg może im pomóc zacząć nowe życie.

– Nie mnie, Dawid, nie mnie.

Odstawiła szklankę i naciągnęła na ramię opadającą sukienkę.

– Czemu nie tobie, Mario?

W odpowiedzi po prostu podwinęła rękaw i pokazała mi wewnętrzną stronę ramienia w okolicy łokcia.

Nadal nie rozumiałem.

– O co ci chodzi, Mario?

– Chodź tutaj – podeszła bliżej żarówki i podniosła ramię do światła. Zobaczyłem małe ranki, jakby jątrzące się ugryzienia komarów. Niektóre były stare i niebieskawe, inne znowu – świeże i sine. Nagle dotarło do mnie, co ta nastolatka usiłuje mi powiedzieć. Była narkomanką.

– Dawid, ja daję w kanał. Nie ma dla mnie nadziei, nawet Bóg mi nie pomoże.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, żeby sprawdzić, czy nie wyczytam w oczach pozostałych dzieciaków, że Maria dramatyzuje. Nikt się nie uśmiechał. To jedno krótkie spojrzenie w twarze siedzących wokół nastolatków uświadomiło mi to, co miałem później znaleźć w policyjnych statystykach i szpitalnych raportach: medycyna nie zna remedium na uzależnienie od narkotyków. Maria wyraziła opinię ekspertów: nie było praktycznie żadnej nadziei dla narkomana „dającego w kanał”, czyli takiego, który wstrzykuje sobie heroinę bezpośrednio do krwioobiegu.

Do takich właśnie zaliczała się Maria.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 4

Kiedy wróciłem do samochodu nadal zaparkowanego na Broadwayu, Miles wyraźnie się ucieszył.

– Bałem się już, że wplątałeś się w jakieś morderstwo, tym razem w roli denata – powiedział. Kiedy mu powiedziałem, że już w pierwszej godzinie po przyjeździe do Nowego Jorku spotkałem dwa młodzieżowe gangi, Milesowi przyszło do głowy to samo, co mnie.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że nigdy nie miałbyś u nich szans, gdyby cię nie wyrzucano z rozprawy i nie opublikowano twojego zdjęcia w gazetach?

Pojechaliśmy do centrum i tym razem osobiście pofatygowaliśmy się Rejonowej Prokuratury, nie dlatego, żebyśmy mieli jakiekolwiek złudzenia co do tego, jak nas tam przyjmą, ale dlatego, że tylko tak mogliśmy dotrzeć do siedmiu znajdujących się w więzieniu chłopców.

– Chciałbym bardzo, żebyście państwo w jakiś sposób się przekonali, że staram się o pozwolenie na widzenie z tymi chłopcami tylko ze względu na ich dobro – powiedziałem.

– Pastorze, gdyby nawet wszystko, co Pan mówi pochodziło prosto z tej pana Biblii, to i tak nie moglibyśmy pana do nich wpuścić. Mógłby się pan z nimi spotkać bez zezwolenia sędziego Davidsona tylko wtedy, gdyby miał pan pisemne pozwolenie od rodziców wszystkich chłopaków.

A więc była jeszcze jakaś możliwość!

– Czy mógłbym dostać ich nazwiska i adresy?

– Przykro mi, niestety nie możemy tego udostępnić.

Kiedy znowu znaleźliśmy się na ulicy, wyciągnąłem z kieszeni bardzo już sfatygowaną kartkę wydartą z Life’u. Było tam wymienione nazwisko przywódcy gangu: Luis Alvarez. Miles został w samochodzie, ja zaś poszedłem do sklepu, żeby rozmiąć pięciodolarowy banknot – niemalże ostatnie nasze pieniądze – na dziesięciocentówki. Potem zacząłem obdzwaniać wszystkich Alvarezów według wykazu książki telefonicznej. Na samym Manhattanie było ich ze dwie setki.

– Czy to mieszkanie Luisa Alvaréza, tego oskarżonego w sprawie Michaela Farmera? – pytałem.

W odpowiedzi pełne oburzenia milczenie, gniewne słowa, trzask odkładanej gwałtownie słuchawki. Zużyłem czterdzieści dziesięciocentówek i stało się jasne, że w ten sposób nigdy nie uda nam się dotrzeć do tych chłopców.

Wyszedłem z budki i dołączyłem do siedzącego w samochodzie Milesa. Obaj byliśmy zniechęceni. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co dalej robić. I właśnie tam, kiedy siedzieliśmy w samochodzie u stóp drapaczy chmur dolnego Manhattanu, pochyliłem głowę i pomodliłem się: „Panie, jeśli jesteśmy tu po to, by wypełnić Twoją misję, musisz nas poprowadzić. Wyczerpaliśmy już nasze własne pomysły. Pokaż nam, gdzie iść, bo my tego nie wiemy”.

Ruszyliśmy, nie mając konkretnego celu, w kierunku, w którym zwrócony był samochód – akurat była to północ. Utknęliśmy w gigantycznym korku na Times Square. Kiedy się w końcu z niego wydostaliśmy, zgubiliśmy się z kolei w Central Parku. Długo jeździliśmy w kółko, zanim się zorientowaliśmy, że wszystkie drogi stanowią zamknięty krąg. Wtedy skorzystaliśmy z pierwszego lepszego wyjazdu. Chcieliśmy tylko wydostać się z parku.

Znaleźliśmy się na ulicy prowadzącej do centrum Latynoskiego Harlemu. I wtedy nagle znów poczułem ten niezrozumiały impuls, aby wysiąść z samochodu.

– Zaparkujmy gdzieś tutaj – powiedziałem do Milesa.

Zaparkowaliśmy na pierwszym wolnym miejscu, które się nam trafiło. Wysiadłem z samochodu i zrobiłem kilka kroków. Przystanąłem w zakłopotaniu. Wewnętrzny mus zniknął. Na stopniu przed domem siedziało kilku chłopców.

– Gdzie mieszka Luis Alvarez? – spytałem jednego z nich.

Chłopcy spojrzeli na mnie ponuro i nic nie odpowiedzieli. Ruszyłem bez celu dalej. Wtedy dogonił mnie czarnoskóry chłopak.

– Szuka pan Luisa Alvareza?

– Tak.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Tego, który siedzi w więzieniu za tego kalekiego dzieciaka?

– Tak, znasz go?

Chłopak nadal uważnie mi się przyglądał.

– Czy to pana samochód? – zapytał.

Te jego pytania zaczynały mnie już męczyć.

– Tak, mój, a czemu pytasz?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Człowieku, zaparkowałeś dokładnie przed jego domem.

Poczułem, że dostaję gęsiej skórki. Wskazałem stary czynszowy dom, przed którym zaparkowałem.

– Tam mieszka? – zapytałem niemalże szeptem.

Chłopak skinął głową. Czasami miałem do Boga pretensje, czemu nie odpowiada na niektóre modlitwy, ale jeszcze trudniej było mi uwierzyć w modlitwę wysłuchaną. Poprosiliśmy Boga, by nas prowadził i oto postawił nas na progu domu Luisa Alvareza.

– Dzięki Ci, Panie – powiedziałem głośno.

– Co pan powiedział?

– Dziękuję – zwróciłem się do chłopca. – Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Nazwisko Alvarez widniało na skrzynce listowej, którą zobaczyliśmy na obskurnej klatce schodowej. Było to trzecie piętro. Wbiegłem schodami na górę. Korytarz trzeciego piętra był ciemny i cuchnął uryną i kurzem. Ściany były wyłożone ciemnobrązową blachą imitującą kafelki.

– Panie Alvarez? – zawołałem, kiedy już odnalazłem drzwi opatrzone tym nazwiskiem wypisanym wyraźnymi drukowanymi literami.

Z wnętrza mieszkania ktoś coś odkrzyknął po hiszpańsku. W nadziei, że było to zaproszenie do wejścia do środka, otworzyłem drzwi i zajrzałem do wnętrza mieszkania. Na czerwonym wyściełanym krześle siedział szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji z różańcem w ręku. Podniósł głowę znad różańca i jego twarz się rozjaśniła.

– To pan, Dawid – powiedział bardzo wolno. – Ten kaznodzieja. Gliny, oni pana wyrzucić.

– Tak – odpowiedziałem. Wszedłem do środka. Pan Alvarez wstał.

– Ja się modlę, żeby pan przyszedł – powiedział. – Pomoże pan mojemu chłopcu?

– Chciałbym, panie Alvarez, ale nie pozwalają mi się z Luisem spotkać. Muszę mieć pisemne pozwolenie od pana i od innych rodziców.

– Ja dam. – Pan Alvarez wyjął z kuchennej szuflady ołówek i kartkę. Powoli napisał, że wyraża zgodę, żebym zobaczył się z Luisem Alvarezem. Potem złożył papier i podał mi go.

– Czy zna pan nazwiska i adresy rodziców pozostałych chłopców?

– Nie – powiedział ojciec Luisa i lekko odwrócił głowę. – Widzisz, to jest ten problem. Nie mam za blisko kontaktu z moim synem. Bóg, On cię tu przyprowadził, On zaprowadzi do innych.

Tak więc, zaledwie kilka minut po tym jak całkiem na chybił trafił zaparkowaliśmy na jednej z ulic Harlemu, miałem już pierwsze pisemne pozwolenie. Wyszedłem z mieszkania pana Alvareza zastanawiając się, czy to możliwe, żeby Bóg skierował mój samochód pod właściwy adres w odpowiedzi na tę jego ojcowską modlitwę. Mój umysł szukał innego wytłumaczenia. Być może widziałem już ten adres gdzieś w gazecie i podświadomie go zapamiętałem.

Jednak kiedy schodząc po ciemnych schodach jeszcze nad tym rozmyślałem, wydarzyło się coś nowego, i tego nie można było wyjaśnić podświadomym zapamiętywaniem. Na półpiętrze prawie zderzyłem się z chłopcem w wieku około siedemnastu lat, który co sił w nogach biegł po schodach na górę.

– Przepraszam – powiedziałem nie zatrzymując się.

Chłopak spojrzał na mnie, wymamrotał coś pod nosem i ruszył dalej, ale kiedy znalazłem się bliżej światła, zatrzymał się i spojrzał na mnie jeszcze raz.

– Kaznodzieja?

Odwrociłem się. Chłopak podszedł do światła, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

– Czy to nie pan jest tym facetem, którego wyrzucili z procesu Luisa?

– Tak, jestem Dawid Wilkerson.

Chłopiec wyciągnął rękę.

– No, a ja jestem Angelo Morales. Jestem z gangu Luisa. Był pan u Alvarezów?

– Tak – powiedziałem Angelowi, że potrzebuję pozwolenia na spotkanie z Luisem. – I nagle w tym spotkaniu dostrzegłem palec Boży.

– Angelo! – powiedziałem. – Muszę mieć pozwolenia od rodziców wszystkich chłopców. Pan Alvarez nie wiedział, gdzie oni mieszkają, ale ty wiesz, prawda?...

Angelo objechał z nami cały Harlem w poszukiwaniu rodzin sześciu pozostałych oskarżonych w procesie Michaela Farmera. Po drodze opowiedział nam trochę o sobie: tamtej nocy, kiedy chłopcy „določyli Michaelowi”, byłby z nimi, gdyby nie ból zęba. Powiedział, że nie poszli oni do parku z jakimś konkretnym zamiarem, a tylko bez celu połązić.

– Gdyby nie trafili na Farmera, pewnie poszliby na rozróbę.

Okazało się, że „rozróbka” oznacza walkę gangów. Wiele się od Angela dowiedzieliśmy, potwierdziło się też wiele z tego, co podejrzewaliśmy. Chłopcy z tego właśnie gangu – czy wszyscy inni również? – byli znudzeni, samotni i trawiła ich złość. Szukali mocnych wrażeń, szli więc tam, gdzie mogli je znaleźć. Pragnęli towarzystwa, więc szli tam, gdzie mogli spotkać innych.

Angelo był szczery, nie miał zwyczaju niczego owijać w bawełnę. Był bystrym sympatycznym chłopakiem i chciał nam pomóc. Zgodziliśmy się z Milesem, że bez względu na to, jak się nam wszystko ułoży, pozostaniemy w kontakcie z Angelem Moralesem i postaramy się wskazać mu inną drogę życia.

Po dwóch godzinach mieliśmy już wszystkie podpisy, co do jednego.

Żegnając się z Angelem, wzięliśmy od niego adres i obiecaliśmy pozostać z nim w kontakcie. Pojechaliśmy z powrotem do centrum. Nasze serca śpiewały z radości. Właściwie to przedzierając się znowu przez ulice Broadwayu, sami śpiewaliśmy. Zamknęliśmy szczelnie okna i wyśpiewywaliśmy na całe gardło dobre, stare kościelne hymny, które znaliśmy od dzieciństwa. Niezaprzeczalny cud, który wydarzył się w ciągu ostatnich godzin przywrócił nam pewność, że jeśli zaczniemy działać ufając Bożemu prowadzeniu, staną przed nami otworem wszystkie drzwi.

Skąd mogliśmy wiedzieć, kiedy tak sobie jechaliśmy ze śpiewem, że w chwilę później drzwi zatrzaskną się przed nami z hukiem? Bo mimo posiadania tych podpisów nie pozwolono nam jednak spotkać się z tymi siedmioma chłopcami.

Okręgowy prokurator bardzo był zaskoczony tym, że tak szybko znowu się tam zjawiliśmy, a kiedy pokazaliśmy mu wymagane pozwolenia, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zadzwoił do więzienia i wydał instrukcję, by, jeśli chłopcy wyrażą na to spotkanie zgodę, nas tam wpuszczono.

To w więzieniu pojawiła się przed nami dziwna i zupełnie niespodziewana przeszkoda. Nie sprzeciwili się wizycie ani sami chłopcy, ani urzędnicy, tylko mój kolega po fachu. Więzienny kapelan, który miał tych chłopców pod swoją opieką najwyraźniej uznał, że pojawienie się kogoś nowego „zakłóciłoby ich duchowy spokój”. Wszyscy chłopcy podpisali formularz stwierdzający: „Zgadzamy się na rozmowę z pastorem Dawidem Wilkersonem”. Kapelan skreślił „zgadzamy się” i wpisał „nie zgadzamy się”. I żadne błagania nie mogły przekonać urzędników, żeby unieważniono tę decyzję.

Znowu wracaliśmy mostem Jerzego Waszyngtona – zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje. Czemu tak się to potoczyło, czemu otrzymaliśmy tak wspaniałą zachętę, jeśli droga, którą szliśmy okazała się być w końcu ślepym zaułkiem?

I dopiero późnym wieczorem, na pensylwańskiej autostradzie w połowie drogi do naszego miasteczka, nagle dostrzegłem światelko w tunelu.

– Ha! – powiedziałem głośno, wyrywając Milesa z drzemki.

– Co „ha”?

– To właśnie zrobię.

– Dobrze, cieszę się, że to sobie ustaliliśmy – powiedział Miles znowu układając się do snu i zamykając oczy.

Światelko w tunelu miało kształt człowieka, wyjątkowego człowieka: ojca mojego ojca. Cała nadzieja w tym, że pozwoli mi złożyć sobie wizytę, żebym mógł mu przedstawić swój kłopot.



# Krzyż i sztylet

## Rozdział 5

– Wiesz, co o tym sądzę? – spytała Gwen.

Siedzieliśmy sobie razem w kuchni przed moim wyjazdem na farmę dziadka popijając herbatę.

– Myślę, że trzeba ci poczucia przynależności do jakiejś wielkiej tradycji, świadomości, że nie jesteś w tym, co robisz zupełnie sam. Myślę, że potrzebujesz pewnego rodzaju powrotu do przeszłości, i wiesz, uważam, że masz rację. Sięgnij wstecz tak daleko, jak tylko możesz, Dawidzie. Tego ci właśnie teraz trzeba.

Zadzwoń do dziadka, żeby uzgodnić to spotkanie.

– Przyjeżdżaj zaraz, synku – powiedział. – Pogadamy sobie.

Mój dziadek miał siedemdziesiąt dziewięć lat i był nadal pełen energii. Dawniej znano go w całym kraju. W jego żyłach płynęła krew angielsko-walijsko-holenderska. Był synem, wnukiem, a może i prawnukiem kaznodziei. Ten łańcuch następujących po sobie pokoleń duchownych miał swój początek gdzieś w epoce wczesnych dziejów Reformacji w Europie Zachodniej i na Wyspach Brytyjskich. O ile mi wiadomo, od czasu kiedy tylko duchowni zaczęli się żenić, zawsze jakiś Wilkerson był zaangażowany w kościelną służbę, i często była to służba budząca kontrowersje.

Droga prowadząca z Philisburgha do jego farmy niedaleko Toledo w stanie Ohio, gdzie mój dziadek osiadł na starość, była długa.

Większość tej podróży spędziłem na – jak to określiła Gwen – wracaniu do przeszłości. Były to bardzo żywe wspomnienia, szczególnie wtedy, gdy pojawiał się w nich dziadek.

Dziadek urodził się w Cleveland, w stanie Tennessee. Kaznodzieją został zanim ukończył dwadzieścia lat. I dobrze, że był młody, bo nie pędził zbyt łatwego życia. Był kaznodzieją wędrownym, co oznacza, że większość czasu spędzał w siodle. Jeździł na swojej Nellie od jednego drewnianego kościółka do drugiego i zwykle był jednocześnie i kaznodzieją, i dyrygentem chóru, i kościelnym. Przybywał do kościoła zawsze pierwszy: rozpałał ogień, wymiatał mysie pozostałości i wietrzył. Potem gromadzili się członkowie kongregacji, a on przewodził wiernym w śpiewaniu starych pieśni, takich jak „Cudowna Boża łaska” czy „Przyjacielem naszym Jezus”. Później wygłaszał kazanie.

Jego nauczanie było bardzo nieortodoksyjne i niektóre z jego przekonań szokowały współczesnych mu wiernych. Na przykład – w czasach jego młodości uważano za grzech noszenie wstążek i piór. Gdzieniegdzie starsi kongregacji mieli zwyczaj nosić przy pasku nożyce. Jeśli jakaś pokutująca kobieta wychodziła na wezwanie do przodu, a nosiła przy kapeluszu wstążkę, w ruch szły nożyce, a wraz z tym płynęły słowa pouczenia w stylu: „Jakże z tymi wszystkimi wstążkami miałabyś się dostać do nieba?”.

Ale dziadek przyjął zupełnie inną strategię. Z czasem wypracował coś, co nazywał ewangelizacyjną „metodą baraniego kotleta”.

– Ludzi można starać się pozyskać w podobny sposób, jak się postępuje z psami – mawiał. – Gdy widzisz na ulicy psa ze starą, ogryzioną do cna kością w pysku, nie wrywaj mu tej kości tłumacząc jednocześnie, że nie na wiele mu się przyda, bo wtedy będzie tylko warczał.

Przecież ta kość to jest wszystko, co posiada. Ale jeśli zobaczy jak rąbiesz wspaniały kawał tłustej baraniny, będzie gotów natychmiast rzucić swoją kość i merdając ogonem złapie w locie to, co mu rzucisz. I już masz przyjaciela. Więc zamiast wyrywania kości czy odcinania ludziom piór od ubrań, rzucam im trochę takich „baranich kotletów”, daję coś naprawdę świeżego i żywego. Mówię im o Nowym Początku.

Dziadek wygłaszał kazania zarówno na zgromadzeniach pod namiotami, jak i w kościołach. Jeszcze teraz, jeżdżąc po kraju, słyszę opowieści o tym, jak stary Jay Wilkerson potrafił rozkręcić te nabożeństwa. Raz na przykład przemawiał pod namiotem w miejscowości Jamaica na Long Island. Wierni przybyli tłumnie, bo był to weekend 4 lipca i dużo ludzi przyjechało na wypoczynek.

Tamtego dnia po południu mój dziadek odwiedził swego przyjaciela handlującego wyrobami z żelaza. Ten pokazał mu pewną nowość – proszek, który dymił i syłał iskrami, kiedy się na niego nadepnęło. Miał nadzieję, że będzie to wielki przebój na uroczystościach z okazji 4 lipca. Dziadka bardzo to zainteresowało i kupił trochę tej substancji. Włożył ją do papierowej torby, wsadził do kieszeni i zupełnie o niej zapomniał.

Mówił wtedy w swoim kazaniu o nowym życiu w Chrystusie, ale także o piekle, a jego opisy tego miejsca bywały zwykle bardzo sugestywne. Tamtego lipcowego wieczoru ręka dziadka przypadkiem zawędrowała do kieszeni marynarki, namacał wtedy tę iskrzącą substancję. Cichutko wziął garść proszku i rzucił go za siebie na podium, po czym, jak gdyby nigdy nic, udając, że nie wie, co się dzieje, nadal mówił o piekle. Tymczasem za jego plecami kłębił się dym, a na podium rozlegały się trzaski.

Po okolicy rozeszła się wtedy wieść, że kiedy Jay Wilkerson mówi o piekle, czuć niemalże dym i widzieć iskry.

Na początku ludzie spodziewali się, że mój ojciec będzie tak samo kontrowersyjnym kaznodzieją, jak dziadek. Jednak ojciec był zupełnie inny. Był bardziej duchownym niż ewangelistą. Dorastał w braku poczucia bezpieczeństwa, jakie daje bardziej stabilna egzystencja niż ta, jaką mógł zapewnić jeżdżący po całym kraju i głoszący ewangelię mój dziadek. Skutki tego dało się później zauważyć w przebiegu jego pastorskiej służby. W całym tym okresie pastorował tylko czterem kongregacjom, gdy tymczasem dziadek co wieczór był w innej. Mój ojciec budował solidne, trwałe wspólnoty, gdzie go kochano i gdzie szukano u niego pomocy, gdy się pojawiały problemy.

– Myślę, że kościół potrzebuje obu rodzajów kaznodziejów – powiedział mi raz ojciec. Mieszkaliśmy wtedy w Pittsburghu. – Ale zazdroszczę twojemu dziadkowi umiejętności wytrąsania z ludzi ich pychy. Potrzebujemy tego w naszej wspólnocie.

I mieliśmy szansę tego doświadczyć następnym razem, kiedy wpadł do nas przejazdem dziadek. (Dziadek zawsze „wpadał przejazdem”.)

Kościół taty mieścił się w eleganckiej dzielnicy na przedmieściach Pittsburgha. W sąsiedztwie mieszkali miejscowi bankierzy, prawnicy i lekarze. Było to dość niezwykle położenie jak dla zielonoświątkowego kościoła, bo nasze nabożeństwa zwykle są dosyć głośne i raczej mało dostojne. Jednak w tym kościele, przez wzgląd właśnie na to sąsiedztwo, nabożeństwa były raczej stonowane. Dopiero dziadek nam uświadomił, że nie było to właściwe.

Zanim nam złożył wizytę, wszyscy wierni starali się jak najbardziej upodobnić się do otoczenia, robić wrażenie ludzi statecznych i eleganckich.

– I martwych – orzekł dziadek. – A przecież wiara powinna człowieka ożywiać!

Tata wzruszył ramionami, ale musiał się z tym zgodzić. A potem popełnił ten błąd. Poprosił dziadka, żeby w niedzielę wieczorem wygłosił za niego kazanie.

Byłem na tym nabożeństwie i nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy taty, kiedy zaraz na wstępie dziadek zdjął swoje brudne kalosze i postawił je na samym środku podium!

– No! – powiedział stojąc tam i patrząc na osłupiałe zgromadzenie. – Powiedzcie teraz, czemu przeszkadzają wam te brudne śniegowce? Zapaćkałem wasz piękny kościółek, uraziłem waszą dumę, a założę się, że gdybym was zapytał, czy jesteście zarozumiali, to z pewnością byście zaprzeczyli.

Tata miał ochotę zniknąć ludziom z oczu.

– Tak, tak, zwijaj się ze wstydu – zwrócił się do niego dziadek. – Tobie też się to przyda. Gdzie są diakoni tej kongregacji?

Diakoni podnieśli ręce.

– Chciałbym, żebyście obeszli salę i otworzyli wszystkie okna. Trochę pohłasujemy, i chciałbym żeby ci bankierzy i prawnicy siedzący w niedzielny wieczór na swoich werandach usłyszeli, jak to jest być zadowolonym ze swojej wiary. Dzisiaj wy sami będziecie kaznodziejami dla swoich sąsiadów.

Potem kazał wszystkim wstać. Wstaliśmy. Powiedział, żebyśmy zaczęli chodzić w koło klaszcząc w ręce. Więc chodziliśmy i klaskaliśmy. Po piętnastu minutach chcieliśmy przestać, ale dziadek pokręcił głową i musieliśmy jeszcze trochę poklaskać. A potem kazał nam śpiewać. Więc chodziliśmy, klaskaliśmy i śpiewaliśmy, a za każdym razem, kiedy śpiew przycichał, dziadek troszkę szerzej otwierał okna. Patrzyłem na tatę i wiedziałem, co sobie myśli: „Cóż, nigdy się po tym nie pozbieram, ale w końcu dobrze, że tak się dzieje”. Potem zaczął śpiewać głośniejsze niż pozostali.

To ci dopiero było nabożeństwo!

Następnego ranka tata miał okazję poznać reakcje sąsiadów. Wybrał się w jakiejś sprawie do banku, a tam za wielkim pustym biurkiem siedział rzecz jasna jeden z naszych sąsiadów. Tata chciał czmychnąć, ale ten mu nie pozwolił:

– Hej, pastarze Wilkerson – zawołał i zaprosił go do siebie. Potem powiedział – No to sobie wczoraj trochę pośpiewaliście w tym waszym kościele. Wszyscy o tym mówią. Dochodziły nas słuchy, że potraficie to robić i aż dotąd czekaliśmy, żeby was wreszcie usłyszeć. W tej okolicy od dawna nie wydarzyło się nic lepszego.

Przez następne trzy lata w naszej wspólnocie czuło się ducha wolności i mocy, a przy tym nauczyliśmy się bardzo ważnej rzeczy.

– Musisz głosić Pięćdziesiątnicę – powiedział mój dziadek, kiedy rozmawiał później z moim tatą na temat „nabożeństwa z zabłoconymi buciorami”. – Kiedy Pięćdziesiątnicę pozbawi się wszelkiego balastu, jest ona mocą i życiem. I tego właśnie doświadczył Kościół, kiedy w dzień Pięćdziesiątnicy zstąpił Duch Święty.

A wtedy – ciągnął uderzając pięścią w swoją otwartą dłoń – kiedy ktoś jest pełen mocy i życia, będzie też miał siłę, a gdy będzie silny, najprawdopodobniej też trochę pohłasuje, i tak musi być. Na pewno też pobrudzi sobie buty.

Dla dziadka zabłocenie butów oznaczało nie tylko zabrudzenie podeszew z powodu chodzenia po błocie, gdy trzeba, ale również ubrudzenie ich wierzchów przy klękaniu.

Dziadek był mężem modlitwy i w tym cała jego rodzina była do niego podobna. Tak wychował mojego ojca, a z kolei tata przekazał to mnie.

– Dawidzie – zapytał mnie raz dziadek, kiedy wpadł do nas przejazdem – czy masz odwagę prosić w modlitwie o pomoc, kiedy masz jakieś kłopoty?

W pierwszej chwili to pytanie wydało mi się dziwne, ale kiedy naciskał, żebym na nie odpowiedział, zrozumiałem, że chodzi mu o coś ważnego. Rzecz jasna często dziękowałem Bogu za całe dobro, które mnie w życiu spotykało, czyli dom, rodziców, czy też jedzenie i wykształcenie. Modliłem się też, w sposób dość ogólny i jakby niezbyt konkretnie, żeby kiedyś Pan chciał użyć mnie do wykonania jakiegoś swego dzieła. Ale o konkretną pomoc modliłem się rzadko.

– Dawidzie – powiedział dziadek, patrząc na mnie tym razem bez cienia swej zwykłej żartobliwości – w dniu, kiedy nauczysz się w obecności innych modlić się o konkretne sprawy, wtedy właśnie poznasz moc.

Niezupełnie rozumiałem co ma na myśli, po części dlatego, że miałem wówczas tylko dwanaście lat, jak również dlatego, że instynktownie bałem się tej rady. Powiedział, żeby się modlić konkretnie i publicznie. Oznaczało to głośne wypowiedzenie w obecności innych słów: „Proszę o to i o to”. A więc podjęcie ryzyka, że modlitwa może nie zostać wysłuchana.

Jednak pewnego strasznego dnia zostałem zmuszony wypróbować taki rodzaj modlitwy, o jaki chodziło dziadkowi, na własnej skórze. Przez całe moje dzieciństwo mój ojciec ciężko chorował. Miał wrzody dwunastnicy i przez ponad dziesięć lat musiał znosić ból.

Kiedy pewnego dnia wracałem ze szkoły, zobaczyłem jadącą szybko karetkę i choć miałem do przebycia jeszcze jedną przecnicę, wiedziałem dokąd zmierza. Już z daleka słyszałem krzyki ojca.

W salonie, z bardzo poważnymi minami, siedziało kilku starszych naszej kongregacji. Lekarz nie chciał mnie wpuścić do pokoju, w którym był mój ojciec, więc mama wyszła do mnie na korytarz.

– Mamo, czy on umrze?

Spojrzała mi prosto w oczy i zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Doktor uważa, że ma przed sobą około dwóch godzin życia.

W tym momencie tata wydał wyjątkowo głośny okrzyk bólu, a mama ścisnęła moje ramię i szybko pobiegła z powrotem do pokoju.

– Już jestem, Kenneth – powiedziała zamykając za sobą drzwi. Jednakże zanim drzwi się zamknęły, zrozumiałem dlaczego lekarz nie chciał mnie wpuścić do taty. Jego pościel i podłoga były całe we krwi.

Wtedy przypomniałem sobie obietnicę dziadka: „W dniu, kiedy nauczysz się wobec innych modlić się o konkretne sprawy, odkryjesz moc”. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść do pokoju, w którym siedzieli starsi i nie oznajmić im, że modlę się o mojego ojca, żeby wstał z łóżka zdrów. Jednak nie mogłem się na to zdobyć. Nawet w tak skrajnej sytuacji nie byłem w stanie wystawić na próbę mojej wiary i zaryzykować jej zdruzgotanie.

Nie zważając na słowa mojego dziadka, uciekłem najdalej jak tylko mogłem. Zbiegłem schodami do piwnicy, zamknąłem się w skrzyni na węgiel i tam zacząłem się modlić, starając się siłą głosu nadrobić brak wiary.

Nie zdawałem sobie przy tym sprawy z tego, że modliłem się do czegoś w rodzaju systemu nagłaśniającego.

Nasz dom był ogrzewany gorącym powietrzem. Wielkie, podobne z kształtu do trąb rury docierały do każdego pomieszczenia domu, a swój początek miały właśnie obok owej skrzyni na węgiel. Tymi rurami niósł się mój głos po całym domu, tak że siedzący w salonie ludzie usłyszeli nagle żarliwą, płynącą ze ścian modlitwę. Usłyszał ją też lekarz na górze. Usłyszał ją mój ojciec leżący na łożu śmierci.

– Przyprowadźcie Dawida – wyszeptał.

Więc przyprowadzono mnie na górę, przeszedłem obok osłupiałej starszyny i dotarłem do pokoju mego ojca. Tata poprosił doktora Browna, żeby chwilę poczekał na korytarzu, a potem poprosił mamę o głośne przeczytanie 22 wersetu z 21 rozdziału Ewangelii Mateusza. Mama otworzyła Biblię i odszukała odpowiedni fragment.

„I otrzymacie wszystko – czytała – o co z wiarą będziecie prosić w modlitwie”.

Byłem bardzo podekscytowany.

– Mamo, czy możemy tę obietnicę wziąć teraz dla taty?

Więc kiedy mój ojciec leżał osłabiony w łóżku, mama zaczęła raz po raz odczytywać ten sam fragment. Przeczytała go chyba z dziesięć razy, a w tym czasie ja wstałem z krzesła, podszedłem do taty łóżka i położyłem ręce na jego czole.

- Jezu – modliłem się – Jezu, wierzę w to, co powiedziałaś. Uzdrów tatę!
- Trzeba było uczynić coś jeszcze. Podeszedłem do drzwi, otworzyłem je i powiedziałem głośno i wyraźnie:
- Proszę wejść, panie doktorze. Ja... (to było trudne) pomodliłem się o tatę, bo wierzę, że wyzdrowieje.
- Doktor Brown pobłażliwie odniósł się do mojej powagi dwunastolatka. Uśmiechnął się do mnie, wyrażając w ten sposób zarówno sympatię i współczucie, jak również całkowite niedowierzanie. Jednak kiedy pochylił się nad ojcem, żeby go zbadać, jego uśmiech zamienił się najpierw w zakłopotanie, później w zadziwienie.
- Coś się stało – powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszałem. Trzęsącymi się rękami sięgnął po swoje przyrządy i zmierzył ojcu ciśnienie.
- Kenneth – powiedział podnosząc ojcu powieki, a potem dotykając jego brzucha i jeszcze raz spoglądając na ciśnieniomierz – Kenneth, jak się czujesz?
- Jakby wstępowały we mnie siły.
- Kenneth, ujrzałem właśnie cud.

Mój ojciec wstał z łóżka, ja zaś w tej wspaniałej chwili zostałem całkowicie uwolniony od wszelkich wątpliwości dotyczących modlenia się z wiarą. Kiedy wiele lat później jechałem na farmę dziadka, było to jedno z towarzyszących mi wspomnień.

Ucieszyłem się widząc, że dziadek jest nadal żwawy. Jego ruchy były co prawda trochę powolniejsze, ale umysł równie bystry i pełen przenikliwej mądrości jak dawniej. Usiadł okrakiem na starym, prostym krześle, obróciwszy je wpierw oparciem w moją stronę, i słuchał uważnie opowieści o moich dziwnych przeżyciach. Pozwolił mi mówić przez godzinę, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Na koniec spytałem:

– Co o tym sądzisz, dziadku? Czy uważasz, że naprawdę zostałem posłany po to, żeby pomóc tym oskarżonym o morderstwo chłopcom?

– Nie, nie sądzę – powiedział dziadek.

– Ale tak wiele... – zacząłem.

– Uważam – ciągnął dalej – że te drzwi zatrzęsły się przed tobą tak dokładnie, jak to tylko możliwe, Dawidzie. Nie sądzę, żeby Bóg dał ci możliwość spotkania tych chłopców jeszcze bardzo długo. I powiem ci dlaczego. Bo gdybyś się z nimi teraz spotkał, mógłbyś uznać, że wypełniłeś już swój obowiązek wobec nastolatków z Nowego Jorku. A ja myślę, że masz przed sobą większe zadanie.

– Co masz na myśli?

– Mam takie przeczucie, synu, że nigdy nie miałeś się spotkać tylko z tymi siedmioma chłopakami, ale z tysiącami im podobnych.

Odczekał chwilę, żebym się oswoił z tą myślą, potem ciągnął dalej.

– Mam na myśli wszystkich tych zagubionych i przerażonych samotnych chłopców z Nowego Jorku, którzy, jeśli im nie pomożesz, mogą skończyć na tym, że będą mordować dla zabawy. Mam takie przeświadczenie, Dawidzie, że powinienes teraz poszerzyć swoje horyzonty.

Dziadek umiał tak przedstawić sprawy, że zawsze udawało mu się mnie zachęcić. Zamiast uciekać z miasta najszybciej jak to tylko możliwe, nagle poczułem ogromną chęć, żeby natychmiast tam wrócić i zabrać się do pracy. Powiedziałem dziadkowi coś w tym stylu, a on się tylko uśmiechnął.

– Łatwo ci tak mówić teraz, kiedy siedzisz w ciepłej kuchni i rozmawiasz ze swoim dziadkiem. Ale poczekaj ze snuciem tych wizji do czasu, aż spotkasz więcej takich chłopaków. Będą pełni nienawiści i grzechu, gorsi niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. To tylko chłopcy, ale wiedzą już co to jest morderstwo, gwałt czy sodomia. Jak sobie z tym wszystkim poradzisz, kiedy już ich spotkasz?

Nie mogłem mu dać na to jasnej odpowiedzi.

– Pozwól, że sam sobie odpowiem, Dawidzie. Zamiast patrzeć na te okropności, skup całą swoją uwagę na tym, co stanowi sedno ewangelii. Jak sądzisz, co to takiego?

Spojrzałem mu w oczy.

– Wystarczająco często słuchałem swojego dziadka – odrzekłem – żeby odpowiedzieć na podstawie jego własnych kazań. Sednem ewangelii jest zmiana. Przemiana. Narodzenie na nowo.

– Gładko to recytujesz, Dawidzie. Poczekaj aż zobaczysz jak Pan to rzeczywiście czyni. Wtedy w twoim głosie pojawi się więcej zapału. Teraz to dla ciebie tylko teoria. Sedno przesłania Jezusa jest bardzo proste: spotkanie z Bogiem – jeśli jest autentyczne – oznacza zmianę.

Dziadek zaczynał się już jakby niecierpliwić, więc wiedziałem, że nasza rozmowa dobiega końca. Podniósł się sztywno z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Znając jego zamiłowanie do dramatycznych efektów, czułem że najważniejsza część naszej rozmowy nastąpi dopiero teraz.

– Dawidzie – powiedział dziadek opierając się ręką o framugę drzwi domu – wciąż martwi mnie to, że masz się zetknąć z brutalnym życiem miasta. Do tej pory żyłeś sobie spokojnie i bezpiecznie. Kiedy staniesz oko w oko z niegodziwością, może cię sparaliżować strach. Wiesz – dziadek zaczął opowiadać historię, która wydawała się nie mieć żadnego związku z naszą rozmową – jakiś czas temu spacerowałem po wzgórzach i nagle natknąłem się na ogromnego węża. Był naprawdę duży, gruby na trzy cale i długi na cztery stopy. Leżał sobie w słońcu i wyglądał naprawdę przerażająco. Bałem się go, więc przez dłuższą chwilę nie śmiałem się poruszyć. I wyobraź sobie, że kiedy tak na niego patrzyłem, ujrzałem cud. Zobaczyłem nowe narodziny. Widziałem jak stary wąż zrzucił skórę i zostawił ją w słońcu, a sam popętnął dalej jako nowe, piękne stworzenie.

Kiedy zaczniesz swoją pracę w tym wielkim mieście – nie pozwól strachowi sparaliżować cię z powodu całej zewnętrżności związanej z tymi chłopakami. Na Bogu to nie robi wrażenia. On tylko czeka na to, żeby każdy z nich wyczołgał się z tej swojej starej, grzesznej skorupy i pozostawił ją za sobą. Z tęsknotą oczekuje chwili, kiedy wyjdzie z niej zupełnie nowy człowiek.

Nigdy o tym nie zapominaj, Dawidzie, kiedy na ulicach Nowego Jorku spotkasz swoje węże, co z pewnością nastąpi.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 6

Kiedy więc następnym razem zmierzałem do Nowego Jorku, jechałem z zupełnie innym nastawieniem. Moja misja nie polegała teraz jedynie na tym, by pomóc siedmiu zamieszkanym w sprawę o morderstwo chłopcom. „Jeśli jednak mam do zrobienia coś więcej – mówiłem sobie – to chciałbym mieć jaśniejszy obraz tego zadania”.

Była to wizja, której jednak nie byłem w stanie w pełni ogarnąć swym umysłem, coś jak nie do końca zapamiętany sen. Wiedziałem tylko tyle, że chodzi o jakąś konkretną pomoc, którą miałem zanieść takim chłopcom, jak Luis i jego przyjaciele.

A póki co nie chciałem przegapić żadnej szansy skontaktowania się z gangiem Luisa. Zapadł już wyrok. Czterech chłopców, w tym Luis, miało pójść do więzienia, trzech wypuszczono na wolność. Jeden z trzech uwolnionych chłopców miał zostać wysłany do specjalnego ośrodka pod opiekę psychiatrów; rodzice drugiego chcieli go wywieźć z miasta, zaś trzeci miał wrócić do domu. Postanowiłem się z nim spotkać.

Kiedy odnalazłem właściwy adres przy 125 ulicy, na drzwiach widniała już tabliczka z innym nazwiskiem. Mimo to zapukałem i nie byłem zbyt zaskoczony, kiedy w drzwiach stanęła matka tego chłopca. Pamiętała mnie z poprzedniej mojej wizyty i wyglądało na to, że jest zadowolona z tego, że znowu się zjawilem.

– Proszę wejść – powiedziała. – Jak pan widzi, zmieniliśmy nazwisko. Cały czas nachodzili nas rozwścieczeni ludzie. Raz nawet napisali na ścianie: „Niech wasz chłopak wynosi się z miasta, albo zginie”.

W salonie ich czteropokojowego mieszkania, na krześle, kanapie i stoliku piętrzyły się ogromne sterty gazet. Wszystkie z artykułami na temat procesu.

– Nie ma pan pojęcia, pastorze Wilkerson, jak się czuje ktoś otwierający gazetę, by dzień w dzień widzieć w niej zdjęcie swego oskarżonego o udział w morderstwie syna. Większość z tych gazet przynieśli nam sąsiedzi. Przynosili je, aby przy okazji tu ponarzekać. Niektóre mąż otrzymał w pracy.

Przeszliśmy do kuchni, z której dochodził smakowity zapach smażonej przez nią jakiejś latynoskiej potrawy i zaczęliśmy rozmawiać o ich planach na przyszłość.

– Macie państwo zamiar tu pozostać? – zapytałem.

– Chcielibyśmy się wyprowadzić, ale ze względu na pracę męża trudno nam stąd wyjechać.

– Ale waszemu synowi grozi tu niebezpieczeństwo.

– To prawda.

– Może chcielibyście państwo, żeby przez jakiś czas pomieszkał z moją rodziną w Pensylwanii? Byłby tam mile widziany.

– Nie – powiedziała nieszczęsna kobieta przewracając na patelni to, co tam smażyła. – Nie, kiedy mój syn wróci z tego więzienia do domu, prawdopodobnie go gdzieś stąd wyślemy, ale raczej do swoich. Nikt go już tu nie zobaczy. Będzie tak, jakby się w ogóle nie urodził.

Kiedy pół godziny później opuszczałem to mieszkanie, przy drzwiach odwróciłem się, żeby się pożegnać i wtedy zobaczyłem napis, o którym mi wspomniała w rozmowie. Był nabazgrany na ścianie żółtą kredą. Ktoś starał się go zetrzeć, ale nadal dawało się odczytać słowa „...albo zginie”.

A więc raz jeszcze nie dane mi było nawiązać kontaktu z chłopcami z gangu Luisa. Być może powinienem był po prostu uznać, że te drzwi zatrzasnęły się przede mną celowo. Być może chodziło o to rodzące się właśnie we mnie, nie dające mi spokoju, marzenie. Bez względu na to, jak bardzo wydawało się ono nierealne i jak bardzo byłem na to nieprzygotowany, a nawet temu niechętny, zaczynałem oswajać się z myślą, że gdzieś na tych ulicach niechybnie znajdę to, co kwakrzy nazwaliby moim „tobołkiem” odpowiedzialności.

– Panie – powiedziałem znowu, kiedy opuszczałem okolice 125 ulicy i szedłem w stronę samochodu – jeśli mam tu do wykonania jakąś pracę, pokaż mi, na czym ma ona polegać.

W tym właśnie dniu rozpocząłem czteromiesięczne wędrowanie ulicami Nowego Jorku. Przez cały marzec, kwiecień, maj i czerwiec 1958 roku raz w tygodniu, wykorzystując na to mój wolny dzień, udawałem się do tego miasta. Wstawałem wcześniej rano i po ośmiu godzinach jazdy, wczesnym popołudniem, docierałem do Nowego Jorku. Potem, aż do późnej nocy, wędrowałem ulicami miasta, by nad ranem wrócić do domu.

Nie były to wyprawy daremne. Nigdy nie opuszczało mnie przeświadczenie, że zmierzam do celu wyznaczonego nie przeze mnie, choć charakter tego nakazu był nadal bardzo tajemniczy. Nie umiałem znaleźć lepszego sposobu reagowania na ten wewnętrzny impuls, jak tylko ciągle jeżdżenie do tego miasta w bezustannym oczekiwaniu na jakąś wyraźną wskazówkę.

Pamiętam dokładnie pierwszy z tych czteromiesięcznych spacerów. Maria, zanim opuściłem jej wilgotną piwniczną kryjówkę, powiedziała mi, że jedną z najbardziej niespokojnych i niebezpiecznych okolic w Nowym Jorku jest dzielnica Brooklynu zwana Bedford-Stuyvesant.

– Pastorze – powiedziała Maria – jeśli chcesz poznać Nowy Jork od najgorszej strony, po prostu przejeżdż przez brooklyński most i dobrze się rozejrzyj.

Czy rzeczywiście chciałem poznać Nowy Jork z jego najgorszej strony? Nie byłem tego pewien. Jednakże właśnie z takiej okolicy pochodziło owych siedmiu oskarżonych w procesie o zabicie Farmera. Jeśli kiedykolwiek miałem oglądać wyżyny, jak to sugerował dziadek, może najpierw powinienem spojrzeć w dół.

Pojechałem więc Broadwayem do centrum, mijając po drodze Times Square i „Martinique”, czyli hotel w którym zatrzymaliśmy się wcześniej z Milesem, aż do brooklyńskiego mostu. Gdy już byłem po drugiej stronie, policjant powiedział mi jak dojechać do Bedford-Stuyvesant. I tak oto po raz pierwszy wjeżdżałem w samo serce okolicy, w której na metr kwadratowy gruntu przypadało więcej morderców, niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Kiedy tak trwożliwie jeździłem po tych ulicach, zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pewnego dnia będę je znał tak samo dobrze, jak przyjazne mi ulice Philipsburgha.

Bedford-Stuyvesant zamieszkiwali niegdyś stateczni, należący do klasy średniej, ludzie. Mieszkali w schludnych dwupiętrowych domach z ogródkami z tyłu budynku. Teraz jest to getto czarnych i Portorykańczyków. Pojechałem tam pewnej zimnej marcowej nocy. Długo musiałem kluczyć zanim znalazłem miejsce do parkowania, bo ulice nie były jeszcze odśnieżone i większość samochodów tkwiła między szarymi hałdami śniegu. Chodzenie polegało tu na ostrożnym brnięciu w śnieżnej breji po kostki i przekraczaniu stert gnijących odpadków. Włóczyłem się samotnie po ulicach tu i tam, patrząc i słuchając, stykając się z życiem, o istnieniu którego – na wyżynach mojej bezpiecznej egzystencji w górach – nie miałem pojęcia.

Na oblodzonym chodniku leżał pijak. Kiedy przystanąłem, żeby mu pomóc, zwymyślał mnie. Powiedziałem o tym chorym człowieku stojącemu na rogu policjantowi, na co ten wzruszył ramionami i powiedział, że się tym zajmie. Jednak, kiedy odszedłszy trochę dalej odwróciłem się, nadal stał sobie na rogu machając swoją pałką.

Dwie dziewczyny, których sylwetki rysowały się na tle mroku otwartych drzwi, zaszczębiały do mnie przymilnie:



– Hej, chłopczyku, szukasz towarzystwa?

Po drugiej stronie ulicy grupa nastolatków kręciła się w pobliżu cukierni. Mieli na sobie skórzane kurtki z jakimiś emblematami na plecach. Chciałem z nimi porozmawiać, ale się zawahałem. Czy będą chcieli mnie słuchać? A może będą się ze mnie śmiać, popychać mnie? W końcu nie przeszedłem na drugą stronę – jeszcze nie tej nocy. Jeszcze trochę spacerowałem mijając bary i przepełnione kubły na śmieci, przechodząc obok witryn kościołów i komisariatów policji, aż doszedłem do ogromnego osiedla. Wiele szyb było tam powybijanych, światło zepsute, a ze szerniałego od sadzy śniegu wystawała złamana tabliczka z napisem „Nie deptać trawników”.

Kiedy wracałem do samochodu, usłyszałem coś, co brzmiało jak trzy krótkie wystrzały. Pomyślałem, że chyba mi się zdawało, bo na ulicy nikt nie okazywał zaniepokojenia ani nawet zainteresowania. Po kilku minutach zawarczał policyjny, jadący na syrenie i błyskający czerwonym światłem, samochód i podjechał do krawężnika. Tylko sześć osób przystanęło, by popatrzeć jak z domu z pokojami do wynajęcia wyprowadzają mężczyznę. Jego ramię zwisało bezwładnie i krwawiło. Żeby ściągnąć tłumy gapiów w Bedford-Stuyvesant, trzeba było czegoś więcej niż postrzelenie w ramię.

Wróciłem do swojego samochodu i, zawiesiwszy w oknie starą koszulę jako zasłonkę, położyłem się, nakryłem się samochodowym pledem i wreszcie zasnąłem.

Dzisiaj bym już tego nie zrobił. Zmądrzałem. Nie chodzi nawet o niebezpieczeństwo grożące ze strony dorosłych bandziorów czy nawet nastolatków. Chodzi o Małych Ludzi. Są to ośmio, dziewięcio i dziesięciolatki, które grasują na obrzeżach terytoriów nastoletnich gangów. Ci malcy są naprawdę niebezpieczni, bo uprawiają przemoc dla niej samej. Mają noże i pistolety, tak jak ich starsi bohaterzy, i wydaje im się, że jeśli będą z nich robić użytek, to staną się mężczyznami. Gdybym musiał spać dzisiaj na ulicy w samochodzie, to właśnie Małych Ludzi obawiałbym się najbardziej.

Jednak następnego dnia obudziłem się cały i zdrowy. Czy ochroniła mnie moja nieświadomość, czy może słowa 91 psalmu, które powtarzałem bez ustanku, kiedy zasypiałem:

*Bo Pan jest twoją ucieczką,  
Najwyższego uczyniłeś swoim obrońcą.  
Zło ci się nie przydarzy  
Nieszczęście nie zbliży się do twojego namiotu,  
Bo rozkazał swoim aniołom,  
Aby cię strzegli na wszystkich twoich drogach.  
Będą cię nosić na rękach,  
Abyś nie zranił swej nogi o kamień.  
Będziesz deptał po lwach i po żmijach,  
Zdepczesz lwiątko i smoka.*

Podczas tego czteromiesięcznego przemierzania ulic stopniowo zaczynałem je poznawać. Bardzo byli mi w tym pomocni Maria i Angelo. (Utrzymałem z Angelo bliski kontakt po naszym pierwszym spotkaniu na schodach w domu, gdzie mieszkał Luisa Alvarez.)

– Angelo – zapytałem go kiedyś, gdy razem szliśmy jedną z ulic Harlemu. – Jak sądzisz, co jest największym problemem chłopaków z tego miasta?

– Samotność – odpowiedział natychmiast.

Ta odpowiedź mogła się wydawać dziwna: samotność w ośmiomilionowym mieście. Ale Angelo wyjaśnił, że to uczucie wynika z braku miłości i że wszyscy jego kumple z gangów są w zasadzie bardzo samotni. Im lepiej poznawałem Nowy Jork, tym bardziej się przekonywałem, że Angelo miał rację.

Zanim osobiście zaangażowałem się w problemy tych chłopców, nie miałem bladego pojęcia o tym, co to są uliczne gangi nastolatków. Kiedy dorastałem w Pittsburghu, mieliśmy różne swoje paczki. Ich członkowie spotykali się po szkole i budowali sobie szałas na pustych parcelach. Z tym, co działo się w tych swoistych klubach, bywało różnie, w zależności od wieku i osobowości dzieciaków, ale rzadko wykraczało to poza rozmowy: o dziewczynach, samochodach, sporcie, rodzicach. Myślę, że w latach dzieciństwa jednym z naszych dominujących pragnień jest chęć gromadzenia się po to, żeby rozważać sprawy świata dorosłych, pozostając poza zasięgiem ich uszu.

W Nowym Jorku też są takie grupy młodzieży, spotkają się po prostu w celach towarzyskich i nigdy nie przeradzają się w coś innego. Jednak istnieje też w Nowym Jorku zupełnie inny rodzaj grup nastolatków. Są to walczące ze sobą uliczne gangi, takie co to się „nawalają” i robią „zadymy”. Wśród tych chłopaków przemoc jest na porządku dziennym. Słyszałem o takim przypadku, gdy walka została zaplanowana z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, ale słyszałem też o całkiem innym. Jeszcze o drugiej po południu dziesięciu chłopców stało sobie na rogu ulicy popijając oranżadę, a tego samego dnia o czwartej po południu jeden z tych chłopaków już nie żył, a dwóch innych leżało w szpitalu: w czasie tych dwóch godzin zdążyła wybuchnąć, rozszaleć się i zakończyć jedna z większych wojen między rywalizującymi gangami.

Dowiedziałem się też, że istnieją w Nowym Jorku różne grupy nastolatków o bardzo specjalnym charakterze. Oprócz grup spotykających się w celach towarzyskich i gangów prowadzących walki, są też grupy homoseksualne, lesbijskie i sadystyczne. Gdy osobiście poznałem jeszcze innych z tych chłopców, dowiedziałem się o dzikich imprezach, jakie urządzali sobie w pustych mieszkaniach po szkole. W czasie niektórych na przykład odrywa się kotu łapy. Inne z kolei to po prostu orgie. Często też, jak opowiadali mi chłopcy, zbierali się w ciemnej części parku i, otoczywszy kołem jakąś leżącą na ziemi i uprawiającą seks parę, wzajemnie się masturbowali.

Rozbudzają i podtrzymują takie zachowania bardzo łatwo wszędzie dostępne materiały pornograficzne. Wielu chłopców pokazywało mi ich próbki wyciągnięte z tajemnych przegródek swych portfeli. Nie są to nieszkodliwe fotki sprzedawane na rogu ulicy. To rysunki i fotografie przedstawiające nienaturalne formy współżycia płciowego między chłopcami i dziewczętami, czy współżycie ze zwierzętami. Te dzieciaki mówiły mi, że czasami spędzają w swoim piwnicznym klubie całe popołudnia, wykorzystując te zdjęcia jako swoje poradniki.

Przemoc, niemoralność i wynaturzone praktyki seksualne, które spotyka się wśród nastolatków, to zjawiska groźne, ale istnieje zło, które je przewyższa: uzależnienie od narkotyków.

Szybko nauczyłem się sam rozpoznawać dilerów marihuany krążących w pobliżu szkolnych dziedzińców. Byli zuchwali i natrętni. Z całą swobodą opowiadali mi o tym, czym się trudnią i proponowali, żebym zapalił skręta, jeśli chcę wiedzieć, o co w tym chodzi. Kiedy pokazałem jednemu z nich zdjęcie chłopaka zgiętego w pół na szpitalnym łóżku i cierpiącego męki odwyku, zaczął się ze mnie śmiać.

– Spokojnie – powiedział – facet brał heroinę. Trochę marychy nikomu nie zaszkodzi. To prawie jak papieros. Zapalisz?

Nikomus nie zaszkodzi? Sama marihuana rzeczywiście nie uzależnia, ale szybko prowadzi do sięgnięcia po heroinę, która jest jednym z najokrutniej uzależniających znanych człowiekowi narkotyków. Raz w czasie tych kilku miesięcy mojego krążenia po mieście nastąpiło to, co narkomani określają słowem „panika”, a więc czas, kiedy z powodu przeprowadzonych na szerszą skalę aresztowań przemytników trudno jest zdobyć narkotyki. W takim właśnie

okresie przemierzałem raz Bedford-Stuyvesant. Idąc ulicą usłyszałem wwiercający się w uszy krzyk. Nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi, choć to co jakiś czas się powtarzało.

– Chyba ktoś bardzo cierpi – powiedziałem do kobiety siedzącej w oknie mieszkania na parterze budynku, z którego ten krzyk dochodził.

Podniosła głowę, przez chwilę posłuchała i wzruszyła ramionami.

– Drugie piętro – powiedziała. – To naprawdę okropne. Ma dwadzieścia lat. Bierze heroinę. Siedzi w tym po uszy, a nie może dostać działki.

– Wie pani, kto to jest?

– Znam go od pieluch.

– Nie można czegoś zrobić, żeby mu pomóc?

– Co na przykład? Teraz najbardziej pomogłaby mu śmierć.

– Nie można go wziąć do szpitala?

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

– Proszę pana – powiedziała po chwili – pan tu jest chyba nowy, co?

– Tak.

– Niech pan spróbuje zabrać takiego ćpuna do jednego z tych naszych szpitali, a wtedy pan zobaczy.

Jakże często słyszałem te słowa przez następne kilka miesięcy! W całym Nowym Jorku jest tylko jedna specjalistyczna publiczna instytucja, w której narkoman może otrzymać pomoc: jest to szpital Riverside. Nowojorskie szpitale są tak przeciążone, że trzeba długo czekać na przyjęcie, albo jest to w ogóle niemożliwe. Jeśli chłopak nie może się dostać do Riverside, może zgłosić się do innego publicznego szpitala, jedyne przyjmującego narkomanów z Nowego Jorku w całych Stanach Zjednoczonych. Jest to ponury zakład federalny w Lexington, w stanie Kentucky, specjalizujący się w tej właśnie dziedzinie.

Przemoc, seks, narkotyki: w ten właśnie dramatyczny sposób dawały o sobie znać potrzeby nastoletnich członków nowojorskich gangów. Ale, jak powiedział Angelo, były to tylko zewnętrzne objawy głębszej trawiącej ich choroby: samotności. Te dzieciaki łaknęły jakiegokolwiek poczucia sensu życia. Najsmutniejsze odkrycie, jakiego dokonałem w czasie moich długich spacerów, dotyczyło żalosnej przyziemności pragnień tych chłopaków. Niektórzy z nich powiedzieli mi o swych marzeniach.

Marzeniach? Czy naprawdę można nazwać marzeniem to, gdy celem życia chłopaka jest chęć zdobycia nowego kapelusza? Takiego z wąskim rondem. Dla tych chłopców kapelusz to symbol. Wiele razy widziałem na ulicy dzieciaka trzęsącego się z zimna, bo nie miał płaszcza, ale jego głowę przyozdabiał tyrolski kapelusz za dwadzieścia pięć dolarów z złotym piórkiem.

Albo chcieliby odbyć podróż. Przez brooklyński most na Manhattan na przykład. To by dopiero była przygoda! Jakaś, kiedyś. Ci chłopcy byli uwięzieni w swoich osiedlowych rewirach. Spotkałem dziesiątki brooklyńskich nastolatków, które z obawy przed wrogimi gangami z Manhattanu czy Bronksu nigdy nie przekroczyły brooklyńskiego mostu.

Dzięki tym moim wyprawom, stopniowo wszystko zaczęło mi się układać w pewien spójny obraz, w którym ważną rolę odgrywały potrzeby tych chłopaków: od samotności, poprzez wojny gangów i seksimprezy oraz narkomanię, aż po wczesną i haniebną śmierć. Aby sprawdzić własne odczucia, odwiedzałem komisariaty policji, rozmawiałem z pracownikami opieki społecznej i kuratorami, spędziłem też wiele godzin w bibliotece publicznej. W końcu wyłonił się z tego tak wstrząsający obraz problemów nowojorskich nastolatków, że niemal się poddałem. I w tym właśnie momencie przyszedł mi z pomocą Duch Święty.

Tym razem nie uczynił tego w żaden dramatyczny sposób, po prostu poddał mi pewną myśl. Rozjaśnił tę do tej pory niewyraźną, jak niemal zapomniany sen, wizję.

Jechałem z powrotem do Philipsburgha obserwując licznik, na którym w miarę zostawianych w tyle słupków wciąż przybywało mil. I nagle zadałem sobie pytanie: „Załóżmy, że istnieje możliwość spełnienia jednego twojego życzenia dotyczącego dobra tych dzieciaków. Co byłoby tym najlepszym, czego byś im życzył?”

Wiedziałem jaka ma być odpowiedź: żeby mogły zacząć życie zupełnie od nowa, ze świeżością i niewinnością nowonarodzonych dzieci. I jeszcze to: żeby w czasie ich dorastania otaczała je miłość, a nie nienawiść i strach.

Ale to oczywiście było niemożliwe. Jak człowiek, który osiągnął już wiek nastoletni może wymazać to wszystko, co stało się wcześniej? I jak stworzyć dla nich nowe środowisko? „Czy to Ty, Panie, dałeś mi to marzenie, czy to tylko moja fantazja?”

Muszą zacząć wszystko od nowa i muszą być otoczeni miłością.

Myśl ta pojawiła się w mojej głowie sformułowana tak jasno, jak niegdyś pierwsze polecenie wyjazdu do Nowego Jorku. A wraz z nią pojawił się obraz domu, który mógłby się stać domem tych nastolatków. Naprawdę sympatycznego ich własnego domu, gdzie byliby mile widziani – mile widziani i kochani. Mogliby mieszkać w tym swoim domu tak długo, jak tylko by chcieli. Jego drzwi byłyby zawsze otwarte, zawsze też byłoby tam mnóstwo wolnych łóżek, ubrań, a także ogromna kuchnia.

„O, Panie – powiedziałem na głos – coś to za wspaniała wizja! Ale do tego trzeba by cudu. A nawet całej serii takich cudów, jakich nie widziałem jeszcze nigdy”.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 7

Tydzień później znów jechałem do Nowego Jorku, tym razem z bardzo mieszanymi uczuciami. Moja nowa wizja z jednej strony nastrajała mnie entuzjastycznie, a z drugiej sprawiała, że byłem przybity i głęboko zaniepokojony. Im lepiej poznawałem naturę działającego w wielkim mieście nieprzyjaciela, tym wyraźniej i dotkliwiej dawał o sobie znać mój brak przygotowania do walki z nim.

Wróg czaił się w warunkach społecznych, których produktem są nowojorskie slumsy, gotów pochłonąć samotnych i spragnionych miłości chłopców. Mamił obietnicami bezpieczeństwa i wolności, szczęścia i wynagrodzenia doznanych krzywd. Dawał tym swoim obietnicom niewinne nazwy: „kluby” (zamiast niosących śmierć gangów), „trawka” (nie narkotyki), „balety” (a nie pełne gniewu, nie przynoszące satysfakcji podniecenie seksualne) i „zadyma” (a nie desperacka walka na śmierć i życie). Kształtował typ osobowości, do której prawie nie dawało się dotrzeć. Budował wokół tych chłopców gruby mur niewrażliwości i brutalności, sprawiał, że byli dumni z powodu swej twardości.

Widziałem jak słaby jestem w porównaniu z wrogiem. Nie dysponowałem żadną ze stosowanych zwykle broni. Nie miałem doświadczenia. Nie miałem pieniędzy. Nie stała za mną żadna instytucja. Bałem się walczyć.

I wtedy nagle przypomniała mi się inna sytuacja z mojego życia, kiedy także nadchodził moment konfrontacji, którego się bałem. Miało to miejsce przed laty, gdy byłem jeszcze chłopcem i dopiero co przenieśliśmy się do Pittsburgha. Kiedy dorastałem, nigdy nie zdobyłem żadnej nagrody przeznaczonej dla Bardzo Obiecujących. Zawsze byłem dość wątpliwy, a nawet chudszy, niż jestem teraz, jeśli to w ogóle możliwe. Drżałem ze strachu na samą myśl o walce na pięści.

Jednak najśmieszniejsze jest to, że przez cały czas nauki w szkole średniej nigdy nie musiałem się bić, bo miałem opinię wyjątkowego twardziela. Ten zabawny stan rzeczy zaistniał w dość dziwny sposób, i im więcej o tym myślałem, tym wyraźniejsze miałem przeświadczenie, że ma to istotne znaczenie dla sytuacji, w jakiej znalazłem się teraz.

Był w mojej szkole chłopak o imieniu Chuck, który znęcał się nad słabszymi. To o nim powiedziano mi najpierw jak tylko przyjechałem do Pittsburgha. Jeszcze nie zdążyliśmy się dobrze rozpakować, a już zdążyłem się dowiedzieć, że Chuck spuszcza lanie wszystkim „nowym”, i że powinienem być szczególnie ostrożny, bo Chuck nie przepuszcza zwłaszcza dzieciom kaznodziejów.

Jeszcze go nie spotkałem, a już się trząsałem ze strachu przed Chuckiem. Cóż zrobić, kiedy się wreszcie spotkamy? Zadałem to pytanie Bogu, a On odpowiedział mi jasno i bezzwłocznie: „Nie dzięki mocy ani dzięki sile, ale dzięki mojemu Duchowi się to stanie”. Wiedziałem, że to cytat z Biblii i sprawdziłem tylko, czy dobrze pamiętam ten fragment. To była księga Zachariasza 4,6 – wtedy też przyjąłem ten tekst za swoje motto. Postanowiłem, że kiedy nadejdzie czas, aby stanąć oko w oko z Chuckiem, po prostu uchwycę się tej obietnicy, a Bóg da mi świętą odwagę, która pozwoli mi zmierzyć się z każdym łobuzem.

Okazja przetestowania tej mojej teorii nadarzyła się aż nazbyt szybko. Pewnego wiosennego popołudnia wracałem ze szkoły do domu samotnie. Pamiętam, że miałem na sobie nowe ubranie i zwłaszcza z tego względu nie powinienem był wdawać się w bójki: nowe ubranie

było dla naszej rodziny zbyt dużym wydatkiem, żeby można je było zniszczyć w ulicznej bijatyce.

Nagle dostrzegłem idącego z naprzeciwka jakiegoś chłopaka. Od razu wiedziałem, że to Chuck. Maszerował dumnie drugą stroną ulicy. Kiedy mnie tylko zauważył, przeszedł na moją stronę i szedł teraz prosto na mnie, jak wielki, sapiący, rozwścieczony byk. Chuck był ogromny. Musiał ważyć chyba z pięćdziesiąt funtów więcej ode mnie i kiedy znalazł się tuż przede mną, musiałem zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Stanąwszy w rozkroku i wzięwszy się pod boki Chuck zatarasował mi drogę.

– To ty jesteś ten pastorski syn.

Nie było to pytanie, ale wyzwanie, i przyznam że w tym momencie rozplynęły się gdzieś wszystkie moje nadzieje na świętą odwagę. Byłem absolutnie przerażony.

„Nie dzięki mocy ani dzięki sile, ale dzięki mojemu Duchowi się to stanie. Nie dzięki mocy ani dzięki sile, ale dzięki mojemu Duchowi się to stanie, mówi Pan Zastępów”. W kółko powtarzałem sobie w myślach to zdanie, gdy tymczasem Chuck zaczął wyrażać swoją opinię na mój temat. Najpierw przyczepił się do tego, że głupio wyglądałem w moim nowym ubraniu. Nie omieszkał też wypomnieć mi tego oczywistego faktu, że jestem słabeuszem. A na koniec miał co nieco do powiedzenia na temat dzieci pastorów w ogóle.

„...ale dzięki mojemu Duchowi, mówi Pan”. Nadal się nie odzywałem, ale wiedziałem, że zaczęła się we mnie jakaś wspaniała przemiana. Poczułem jak topnieje strach, a jego miejsce zajmuje ufność i radość. Spojrzałem na Chucka i uśmiechnąłem się.

Ten był coraz bardziej wściekły. Poczzerwieniał na twarzy i zaczął wyzywać mnie do walki.

Nadal się uśmiechałem.

Przyjawszy bokserską postawę zaczął krążyć wokół mnie co jakiś czas wymierzając pozorne ciosy przeszywające powietrze. Jednakże w jego twarzy zauważyłem oznaki pewnego niepokoju. Widział, że z jakiejś niepojętej przyczyny ten chuderlak rzeczywiście się go nie boi.

Ja także krążyłem nie zdejmując jednocześnie z niego wzroku i wciąż się uśmiechając.

W końcu Chuck mnie uderzył. Było to niepewne, słabe i całkiem niebolesne uderzenie, a że akurat stałem pewnie na nogach, nie straciłem równowagi i nie przewróciłem się. Zaśmiałem się tylko cicho i tajemniczo.

Chuck stanął jak wryty. Opuścił pięści, zaczął się cofać, a potem odwrócił się i uciekł.

Następnego dnia w szkole zaczęły do mnie docierać wieści o tym, jak to pobiłem największego w mieście łobuza. To Chuck wszystkim o tym opowiadał. Mówił, że jestem najtwardszym facetem, z jakim kiedykolwiek walczył. Musiał nieźle przesadzać, bo od tej pory wszyscy w szkole odnosili się do mnie z największym szacunkiem. Może powinienem był ich uświadomić, jaka jest prawda, ale nigdy tego nie zrobiłem. Taka reputacja była dla mnie czymś w rodzaju ubezpieczeniowej polisy. Z racji mojej niechęci do bójk, absolutnie nie miałem ochoty się jej pozbywać.

Zastanawiałem się, czy to wspomnienie nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia dla mojej obecnej sytuacji. Czy nie stoję twarzą w twarz z identycznym problemem: o wiele większym i silniejszym ode mnie przeciwnikiem? Może kluczem miał tu być mój brak siły? Może właśnie w tej słabości tkwiła jakaś moc, bo z całą pewnością wiedziałem, że nie mogę polegać na samym sobie. Mogłem się łudzić, że będą w tej sytuacji pomocne pieniądze, odpowiednie znajomości lub ukończone studia socjologiczne, ale nie dysponowałem żadnym z tych atutów. Jeśli pragnienie, by ci chłopcy i dziewczęta mogli zacząć wszystko od nowa i w nowym otoczeniu było właściwe, to być może dlatego Bóg wybrał właśnie tak bardzo nieodpowiednią do tego osobę, jak ja, by od samego początku powodzenie całego tego przedsięwzięcia zależało wyłącznie od Niego. „Nie dzięki mocy ani dzięki sile, ale dzięki mojemu Duchowi się to stanie, mówi Pan Zastępów”.

Zdecydowałem się zrobić pierwszy krok w kierunku realizacji mojego marzenia. Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, czy mam jakiegokolwiek powody po temu, by móc snuć podobne wizje. Czy naprawdę było to możliwe, żeby nastoletni członkowie nowojorskich gangów i narkomani zmienili się tak radykalnie, jak o tym marzyłem? Pamiętałem to, co zawsze podkreślał dziadek, że sednem ewangelii jest doświadczenie przemiany. Znałem na pamięć fragment Pisma, do którego nawiązywał. „Jezus zaś odpowiedział: Zapewniam, zapewniam cię, zaprawdę, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć Królestwa Boga. Wtedy Nikodem zapytał: Jak człowiek może się narodzić, będąc starcem? Czy może po raz drugi wejść do łona swojej matki i się narodzić? Jezus odpowiedział: Zapewniam, zapewniam cię, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Boga. To, co się narodziło z ciała, jest ciałem, a to, co się narodziło z Ducha, jest duchem” (Ewangelia Jana 3,3-5).

Tak więc jeśli ci chłopcy mieli się zmienić radykalnie, to proces przemiany musiał zaistnieć w ich sercach. Wiedziałem, że sam nigdy nie mógłbym tego sprawić: musiałyby to być działanie Ducha Świętego. Być może jednak miałem być kanałem, przy którego pomocy Duch Święty mógłby do nich dotrzeć.

Można to było sprawdzić tylko w jeden sposób. Do tej pory jedynie chodziłem po mieście i przysłuchiwałem się życiu. Teraz wykonam jakiś ruch. Porozmawiam z tymi chłopakami, ufając jednocześnie, że tam, gdzie ja nie mogę dotrzeć, dotrze Duch Święty. Zacząłem się rozpytywać, które gangi w Nowym Jorku są najniebezpieczniejsze. Stale powtarzały się dwie nazwy: Kapelani i Mau Mau. Oba działały na terenie Fort Greene w Brooklynie.

Fort Greene Project, gdzie Gangi te mają swoje siedziby to jedno z największych osiedli na świecie. W tych ogromnych budynkach mieszka ponad trzydzieści tysięcy ludzi, w większości czarnych i Portorykańczyków, których spory procent żyje z zapomóg.

Przynależność do istniejących w tej okolicy walczących gangów była zależna od rasy: Kapelani to Murzyni, Mau Mau – Latynosi. Oba te gangi nie zwalczały się nawzajem, ale nawet łączyły swoje siły, broniąc swojego terytorium przed innymi. Właśnie wypowiedziały wojnę policji.

Chłopcy ci stosowali dość oryginalną metodę ataku. Zaczajali się na dachu domu tuż przy jego krawędzi z torbą piasku. Kiedy na dole zjawiał się w pobliżu policjant, starali się zrzucić na niego ten osiemdziesięciopuntowy ciężar. Mieli jednak problemy z właściwym wyliczeniem czasu i jak dotąd żadnego nie trafili. Ale byli coraz bliżej celu. Policja, w odwecie, przy najmniejszej prowokacji używała pałek, zabraniała im również przebywania na ulicy w grupach większych niż dwu czy trzysobowe.

Uznałem, że nie ma lepszego doświadczalnego poligonu do wystawienia na próbę Ducha Świętego niż Fort Greene. Tak więc w któryś piątek rankiem wziąłem ze sobą znajomego, trębacza Jimmy Stahla i razem dotarliśmy brooklyńskim mostem do ceglanoszklanej dżungli Fort Greene Housing Project. Zaparkowaliśmy samochód w pobliżu państwowej szkoły na Edward Street i rozpoczęliśmy nasz eksperyment.

– Stań przy tej latarni – powiedziałem Jimmy’emu – i zacznij trąbić. Kiedy zbierze się tłum, stanę na podeście lampy i zacznę do nich mówić.

– Co mam grać?

– Może „Głos Jezusa słyhać”?

Więc Jimmy zaczął nieprzerwanie grać na trąbce „Głos Jezusa słyhać”. Grał energicznie i głośno.

W domach naprzeciwko pootwierały się okna i wychyliło się z nich trochę głów. Potem z budynków wysypały się dzieci. Dziesiątki małych dzieci. Muzyka je intrygowała. Co chwilę pytały:

– Proszę pana, czy przyjedzie cyrk? Będzie jakaś parada?

Powiedziałem Jimmy'emu, żeby grał dalej.

Później zaczęły się pojawiać nastolatki. Chłopcy wyglądali jak umundurowani. Niektórzy mieli na sobie błyszczące czerwone kurtki z czarnymi opaskami i dwiema literami „MM” na plecach. Inni nosili obcisłe spodnie z wąskimi nogawkami, jasne koszulki i buty na cienkiej podeszwie i ze szpiczastymi noskami. Ci chłopcy mieli też laski. Właściwie wszyscy ci nastolatki mieli na głowach modne tyrolskie kapelusze z wąskim rondem, prawie każdy z nich miał też na nosie słoneczne okulary.

– Panie – powiedziałem w duchu – czeka tu na nich coś wyjątkowego. Każdy z nich chciałby być częścią czegoś, co ich przerasta. Nie chcą już dłużej być samotni.

Kiedy Jimmy grał swoją melodię piętnasty czy dwudziesty raz, zebrała się już około setka chłopców i dziewcząt. Tłoczyli się wokół nas, wykrzykiwali różne świństwa i gwizdali. Wdrapałem się na cokół latarni i zacząłem mówić. Harmider się wzmógł. Nie wiedziałem co robić. Jimmy tylko kręcił głową.

– Oni cię nie słyszą – odczytałem z ruchu jego warg.

W tym samym momencie problem ten właściwie przestał istnieć. Dzieciaki nagle się uciszyły. Ponad ich głowami dostrzegłem podjeżdżający do krawężnika radiowóz. Robiąc energiczny użytek ze swych pałek zaczęli sobie torować drogę przez tłum policjanci.

– Dobra, koniec tego, rozejść się.

Młodzież rozstępowała się przepuszczając policjantów, ale zaraz na nowo zwierła swe szeregi.

– Proszę stamtąd zejść – powiedział do mnie jeden z policjantów. Kiedy już przed nim stanąłem, zapytał:

– Co pan robi, chce pan wzniecić zamieszki?

– Wygłaszam kazanie.

– Ale nie tutaj. I bez tego zbiegowiska dosyć mamy w tej okolicy kłopotów.

Wtedy młodzież wzięła sprawy w swoje ręce. Zaczęli krzyczeć, że policja nie może mi zabronić wygłosić kazania; mówili, że to niezgodne z konstytucją. Policjanci byli innego zdania. Zanim Jimmy i ja zorientowaliśmy się, co się dzieje, przepchnięto nas przez tłum w kierunku radiowozu.

Na komisariacie podchwyciłem argument, którego użyły dzieciaki.

– Chciałbym o coś pana zapytać – powiedziałem. – Czy jako obywatel tego kraju nie mam prawa przemawiać na ulicy?

– Ma pan – przyznał policjant – jeżeli przemawia pan pod amerykańską flagą.

Tak więc pół godziny później Jimmy znowu zaczął grać „Głos Jezusa słyhać”. Tym razem za nami powiewała ogromna amerykańska flaga pożyczona nam przez życzliwego dyrektora szkoły. I zamiast cokołu lampy miałem tym razem pod stopami taboret od fortepianu.

Jimmy grał kierując dźwięk trąbki na wszystkie cztery strony świata. Znowu z traskiem pootwierały się okna, a wokół nas zaroilo się od dzieciaków. Kilka minut później znowu mieliśmy przed sobą wyjący i gwizdzący tłum. Różnica polegała tylko na tym, że teraz byliśmy bohaterami, bo znów usiłowało nas dosięgnąć ramię sprawiedliwości.

Ta dopiero co zdobyta popularność nie wpłynęła jednak na zachowanie naszego audytorium. Stałem na tym taborecie i próbowałem przebić się przez wrzawę tłumy.

– Jestem wiejskim kaznodzieją. Mieszkam trzysta mil stąd – powiedziałem – i mam wam coś do przekazania.

Nikt mnie nie słuchał. Tuż przede mną chłopak z dziewczyną robili tzw. rybę, czyli energicznie kręcili biodrami, na co najbliżej stojący reagowali gwizdami i okrzykami. Inni to podchwycili – z kącików ust zwisały im papierosy, ciała wibrowały podnieceniem. Nie była to najlepsza atmosfera dla kazania.

Zrozpaczony, spuściłem głowę.



– Panie – powiedziałem – nigdy sam nie zdołam przyciągnąć ich uwagi. Jeśli rzeczywiście masz tu do wykonania jakieś zadanie, to jestem zmuszony nawet o to Cię prosić.

Jeszcze gdy się modliłem, coś się zaczęło zmieniać.

Najpierw uspokoiły się najmniejsze dzieci. Jednak kiedy otworzyłem oczy, zauważyłem, że wielu starszych chłopców, którzy dotąd stali oparci o ogrodzenie szkoły i palili papierosy, wyprostowało się, zdjęło kapelusze i stali teraz z lekko pochylonymi głowami.

Ta nagle cisza tak mnie zaskoczyła, że zabrakło mi słów.

Kiedy w końcu zacząłem przemawiać, wybrałem tekst z Ewangelii Jana 3,16: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że dał swego Jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”. Powiedziałem im, że Bóg kocha ich takimi, jakimi są, właśnie tu i teraz. On wie, jacy są. Wie, że wypełnia ich nienawiść i złość. Wie, że niektórzy z nich popełnili morderstwa. Ale Bóg wie nie tylko o tym, co zrobili dotąd – On zna również ich przyszłość.

Tylko tyle. Powiedziałem co miałem do powiedzenia i zamilkłem.

Nad ulicą zawisła ciężka, wymowna cisza. Słyszałem łopot poruszanej lekkim powiewem wiatru flagi. Powiedziałem tym chłopcom i dziewczętom, że teraz poproszę o to, aby stało się z nimi coś szczególnego. Będę prosił o cud: o to, żeby w ciągu następnej chwili ich życie zostało całkowicie przemienione.

Pochyliłem głowę i pomodliłem się, żeby Duch Święty wykonał swoją pracę. Podniosłem głowę. Nikt się nie poruszył. Zapytałem, czy jest ktoś, kto chciałby wyjść naprzód, żebyśmy mogli porozmawiać. Żadnej reakcji.

Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Zaeksperymentowałem pozwalając Duchowi to wszystko poprowadzić, ale nie wyglądało na to, żeby zmierzał w jakimś konkretnym kierunku.

I nagle z moich ust popłynęły słowa, których wcale nie zamierzałem wypowiedzieć:

– Dobrze, podobno macie tu parę groźnych gangów. Chciałbym porozmawiać z waszymi przywódcami i ich zastępcami. Jeśli tacy z was wielcy twardziele, to pewnie nie macie nic przeciwko temu, żeby podejść i ucisnąć dłoń chuderlawemu kaznodziei.

Nadal nie wiem, czemu to wtedy powiedziałem, ale kiedy teraz się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nie mogłem powiedzieć nic lepszego. Przez jakąś minutę nikt się nie poruszył. Nagle ktoś z tyłu krzyknął:

– Co jest, Kasiarz cykasz się?

Wysoki kolorowy chłopak, dotąd stojący z tyłu, wolno ruszył ze swego miejsca kierując się w moją stronę. Za nim ruszył drugi. Obaj byli w ciemnych okularach, a ten drugi miał w ręku laskę. Po drodze wyciągnęli z tłumu jeszcze dwóch chłopaków i wszyscy czterej stanęli przed moim taboretom.

Ten wysoki wysunął się nieco przed resztę.

– Potrzyj mi skórę, pastorze – powiedział. – Jestem Kasiarz, szef Kapelanów.

Byłem jeszcze wtedy zielony, jeśli chodzi o znajomość nowojorskiego slangu, więc kiedy wyciągnął rękę, chciałem ją ucisnąć.

Tylko potrzyj, pastorze – powiedział Kasiarz i przesunął wewnętrzną stronę swojej otwartej dłoni po mojej. Przez chwilę stał przyglądając mi się z zaciekawieniem.

Jesteś w porządku, pastor, to mnie wzięło.

Potem przedstawił mnie swojemu zastępcy – Dylizansowi – i ich dwóm „wielkim wojownikom”.

Co miałem teraz zrobić? Z bijącym sercem skinąłem na Jimmy’ego i wraz z czterema chłopcami odeszliśmy trochę na bok. Dylizans ciągle powtarzał, że to, co mówiłem do nich „trafia”.

– Wiesz, Davie – powiedział – pojawia się tu taka nieduża staruszka w czarnej pelerynie, przychodzi z koszykiem słodczy i zawsze zawraca chłopakom głowę, żeby przestali rozrabiać. Jest w porządku, ale tego, co mówi, oni nie kumają.

Powiedziałem tej czwórce, że to nie ja trafiam, ale Duch Święty. Powiedziałem, że to On stara się przebić przez ich dumę „...i waszą arogancję – powiedziałem patrząc im prosto w oczy – a także wasze zadowolenie z siebie. To wszystko to tylko skorupa, pod którą chowa się wasze prawdziwe, przerażone, samotne *ja*. Duch Święty chce dotrzeć do wnętrza tej skorupy i pomóc wam zacząć wszystko od nowa”.

– Ej, facet, to co my mamy zrobić?

Spojrzałem na Jimmy’ego, ale wyraz jego twarzy niczego mi nie podpowiedział. W kościele mógłbym poprosić tych chłopców, żeby wyszli naprzód i uklękli, ale jak mogłem ich o to prosić tu, na ulicy, na oczach ich kolegów?

A może potrzeba było właśnie tego odważnego kroku? Prosiliśmy o radykalną zmianę w ich życiu, więc może i jej symbol powinien być taki sam.

– Co macie zrobić? – powiedziałem – No, chciałbym, żebyście uklękli tu, na ulicy, i poprosili Ducha Świętego, żeby wszedł do waszego życia, byście się stali nowymi ludźmi. „Nowymi stworzeniami w Chrystusie”, jak to określa Biblia: to właśnie może być także waszym udziałem.

Nastąpiła długa cisza. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że za nami stoi tłum i czeka na to, co się stanie. Wreszcie Dylizans powiedział dziwnie schrypniętym głosem:

– Kasiarz, chcesz? Jeśli ty to zrobisz, to ja też.

I na moich oczach, ku memu zadziwieniu, ci dwaj przywódcy jednego z najniebezpieczniejszych gangów walczących Nowego Jorku powoli uklękli. „Wielcy wojownicy” poszli za ich przykładem. Zdjęli kapelusze i z szacunkiem trzymali je w rękach. Wcześniej dwóch z nich paliło. Teraz obaj wyjęli papierosy z ust i wrzucili je do ścieku, gdzie się nadal tliły, gdy ja tymczasem krótko się pomodliłem.

– Panie Jezu – powiedziałem – oto czwórka twoich dzieci właśnie robi coś bardzo, bardzo trudnego. Klęczą tu przed wszystkimi i proszą, abyś wszedł do ich serc i odnowił je. Chcą, żebyś zabrał nienawiść, agresję i samotność. Chcą po raz pierwszy w życiu przekonać się, co znaczy być kochanym. Proszą o to Ciebie, Panie, a Ty ich nie zawiedziesz. Amen.

Kasiarz i Dylizans wstali, a za nimi „wielcy wojownicy”. Nie podnieśli głów. Zasugerowałem, żeby może przez jakiś czas nie utrzymywali kontaktów z resztą gangu, żeby może znaleźli jakiś kościół.

Nie odezwawszy się nadal ani słowem, chłopcy odwrócili się i ruszyli przez tłum. Ktoś zawołał:

Hej, Kasiarz, jak to jest zarazić się religią?

Kasiarz powiedział mu, żeby się odwalił i drwiny ucichły. Podejrzewam, że gdyby ktoś mu naprawdę założył za skórę, to nie był jeszcze dostatecznie zbawiony, by przyjąć to bez agresji.

Kiedy razem z Jimmym opuszczaliśmy Fort Greene, byliśmy oszołomieni. Naprawdę nie spodziewaliśmy się, że Bóg nam odpowie w tak dramatyczny sposób. Kasiarz, Dylizans i dwaj „wielcy wojownicy” padli na kolana na środku ulicy: to było po prostu nie do wiary.

Mówiąc szczerze, spodziewaliśmy się raczej reakcji przywódców Mau Mau. Też stali w tym tłumie przypatrując się przemianie zachodzącej w Kasiarzu i Dylizansie zarazem z pogardą i fascynacją. Kiedy Kapelani odeszli, tłum zaczął z kolei krzyczeć do nich:

– Izrael! Nicky! Teraz wy! No, dalej, czarnuchy się nie bały. Co, stchórzycie?

To ich wypchnęło do przodu.

Izrael, szef gangu, był naprawdę miłym chłopakiem: wyciągnął rękę i uściśnął mi dłoń jak dżentelmen. Nicky był zupełnie inny. Pamiętam, że patrząc na niego pomyślałem, że nie widziałem jeszcze twarzy o tak odpychającym wyrazie.

– Jak się masz, Nicky – powiedziałem.

Stałem z wyciągniętą dłonią, a on nawet na mnie nie spojrzał. Kopcił papierosa wypuszczając nerwowo kącikiem ust małe kłęby dymu.

– Idź do diabła, pastorze – powiedział. Odezwał się dziwnie zduszonym głosem, a przy niektórych słowach bardzo się zacinał.

– Nie przepadasz za mną, Nicky – powiedziałem – ale ze mną jest inaczej. Kocham cię, Nicky.

Zrobiłem krok naprzód.

– Jeśli do mnie podejdziesz, pastorze – powiedział tym swoim zduszonym głosem – to cię zabiję.

– Mógłbyś to zrobić – przyznałem – mógłbyś mnie pociąć na tysiąc kawałków i rozrzucić je po ulicy, a każdy z nich nadal by cię kochał.

Gdy to mówiłem, myślałem: i tak nic to nie da – nie w twoim przypadku, Nicky – nie ma na świecie takiej miłości, która mogłaby do ciebie dotrzeć.

Zanim opuściliśmy Brooklyn, skontaktowaliśmy Kasiarza i Dylizansa z jednym z miejscowych pastorów, który był w stanie czuwać nad ich duchowym rozwojem.

– Ale myślę – powiedziałem Jimmy’emu – że lepiej, żebyśmy my także od czasu do czasu do nich zajrzeli.

Tak szczerze mówiąc, to żaden z nas nie mógł pozbyć się wrażenia, że ci chłopcy po prostu się naszym kosztem zabawili.

Jednak kiedy po powrocie opowiedziałem o tym wszystkim Gwen, skarciła mnie.

– Dawidzie Wilkersonie – powiedziała – czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że dostałeś dokładnie to, czego chciałeś? Prosiłeś Ducha Świętego o cud, a teraz kiedy się już zdarzył, próbujesz go poddać w wątpliwość. Ludzie, którzy nie wierzą w cuda, nie powinni się o nie modlić.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 8

Miałem wrażenie jakbym minął pierwszy kamień milowy na drodze ku spełnieniu mojego marzenia. Tak wielka napęliła mnie nadzieja, że niemal trudno mi to było znieść. Śmiałem nawet liczyć na to, że w końcu dostanę pozwolenie na spotkanie z Luisem. Angelo powiedział mi, że ma on zostać przeniesiony do więzienia w Elmirze, w stanie Nowy Jork.

– Myślisz, że mógłbym się z nim zobaczyć? – spytałem.

– Nie ma szansy, Davie. Musiałbyś to załatwić drogą urzędową, a gdy się tylko zorientują, że jesteś tym kaznodzieją z procesu, na pewno cię nie wpuszczą.

Mimo wszystko postanowiłem spróbować. Gdy tylko moje obowiązki kaznodziejskie pozwoliły mi znaleźć się w okolicach więzienia w Elmirze, postarałem się zorientować jak wygląda procedura związana z uzyskaniem widzenia. Powiedziano mi, że należy złożyć podanie, określając w nim stopień pokrewieństwa z więźniem i powód, dla którego chcę się z nim widzieć. Prośba zostanie rozpatrzona zgodnie z obowiązującymi przepisami.

No to koniec: będę musiał powiedzieć prawdę i nigdy nie zostanę wpuszczony. Dowiedziałem się jednak, że tego właśnie dnia przywożą do Elmiry kilku chłopców. Poszedłem więc na stację kolejową i czekałem tam na nich. Kiedy przyjechał pociąg, wyprowadzono grupę około dwudziestu chłopców. Przyjrzałem się ich twarzom, ale Luisa wśród nich nie było.

– Czy znasz Luisa Alvareza? – zapytałem podszedłszy do jednego z chłopców, który zdążył jedynie odpowiedzieć „nie”, bo zirytowany strażnik natychmiast uniemożliwił nam dalszy kontakt.

– Cóż – powiedziałem sobie w drodze powrotnej do Philipsburgha – wygląda na to, że nie spotkam się z tymi chłopcami. Może nigdy mi się to nie uda. Panie, daj mi łaskę pogodzenia się z tym, jeśli taka jest Twoja wola.

Jednakże Duch Święty zamykając przede mną jakieś drzwi, jednocześnie otwierał inne. Zdarzyło się to pewnej ciepłej nocy wczesną wiosną 1958 roku. Szedłem właśnie gwarną ulicą latynoskiej części Harlemu, kiedy usłyszałem śpiew.

Ku mojemu zaskoczeniu rozpoznałem melodię jednej z ewangelicznych pieśni, choć śpiewano po hiszpańsku. W pobliżu nie było żadnego kościoła: wyglądało na to, że muzyka płynie z okna jednego z mijanych przeze mnie budynków.

– Co to za śpiew? – zapytałem młodego człowieka, który siedział na zderzaku samochodu i palił papierosa.

Chłopak przez chwilę nasłuchiwał, jakby ta muzyka tak bardzo stopiła się z odgłosami miasta, że jej po prostu nie słyszał.

– To jakiś kościół – powiedział, wskazując kciukiem drzwi. – Na górze, pierwsze piętro.

Wszedłem więc na górę i zapukałem do drzwi. Wolno się uchyliły, a kiedy światło padło na moją twarz, stojąca w nich kobieta wydała cichy okrzyk. Była tak podekscytowana, że prawie mnie przytłuszczała. Odwróciła się i trąkotała coś po hiszpańsku. Wkrótce za drzwiami zaroilo się od uśmiechniętych, przyjaznych ludzi. Chwycili mnie za rękę i wciągnęli do środka.

– To pan jest ten Dawid – powiedział jeden z mężczyzn – kaznodzieja, którego wyrzucono z sądu!

Okazało się, że był to punkt misyjny hiszpańskiego oddziału Zgromadzeń Boga. Członkowie takich punktów misyjnych spotykają się po domach do czasu, kiedy mogą sobie pozwolić na budowę własnego miejsca zgromadzeń. Uważnie śledzili oni proces dotyczący zabójstwa Michaela Farmera i widzieli w gazetach moje zdjęcie.

– Modliliśmy się o pana, a teraz jest pan tu z nami – powiedział człowiek, który nazywał się Vincente Ortez i był pastorem tej niewielkiej wspólnoty. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak doszło do tego, że znalazł się pan na tym procesie.

Tak więc tego wieczoru miałem okazję opowiedzieć grupie ludzi z mojego własnego Kościoła o tym, jaka była moja droga, którą Bóg przyprowadził mnie na ulice Nowego Jorku. Opowiedziałem im o tym, czego dowiedziałem się o problemach młodzieży: o gangach, picu i narkotykach. Powiedziałem im też o mojej wizji, i o tym jak zostawiłem za sobą pierwszy milowy kamień.

– Myślę, że to Bóg natchnął mnie taką myślą: „Muszą zacząć od nowa, muszą być otoczeni miłością” – powiedziałem na zakończenie. – Byliśmy świadkami tego, jak Duch Święty dociera do nich nawet na ulicy. Myślę, że to wspaniały początek. Kto wie, może któregoś dnia będą mieli swój dom!

W mojej przemowie pobrzmiewało zniecierpliwienie. Spostrzegłem, że przejmuję się problemami tych młodych ludzi bardziej niż sądziłem. Zanim jeszcze skończyłem mówić, wiedziałem już, że ci dobrzy ludzie podzielali mój żal i gorące pragnienie, by jak najpilniej zająć się tymi sprawami.

Kiedy w końcu usiadłem, kilka osób wszczęło krótką rozmowę. Rozmawiali z ożywieniem, a potem w ich imieniu zwrócił się do mnie pastor Ortez.

– Czy mógłby pan przemówić do nas jeszcze raz jutro, kiedy zgromadzimy więcej osób zaangażowanych w duchową służbę?

Odpowiedziałem, że mogę.

I właśnie w ten sposób, całkiem zwyczajnie, powstała nowa misja. Jak większość rzeczy zrodzonych z Ducha, pojawiła się niepostrzeżenie, bez szumu i wielkiego rozgłosu. Oczywiście tamtego wieczoru nikt z nas nie wiedział, co z tego wszystkiego wyniknie.

– Gdzie się pan tu zatrzymał? – zapytał pastor Ortez – Gdzie mamy zadzwonić, żeby powiadomić o czasie i miejscu spotkania?

Musiałem powiedzieć, że nie mam w Nowym Jorku żadnego lokum. Nie miałem nawet pieniędzy na wynajęcie pokoju w jakimś tanim hotelu.

– Prawdę mówiąc śpię w samochodzie.

Pastor Ortez bardzo się zaniepokoił.

– Nie może pan tego robić – powiedział, a kiedy przetłumaczył moje słowa innym zebranim, ci się z nim zgodzili. – To niebezpieczne. Bardziej niebezpieczne niż się może wydawać. Tak dzisiaj jak i w inne noce, które będzie pan spędzał w tym mieście, proszę nocować tu u nas.

Z wdzięcznością przyjąłem tę miłą propozycję. Pastor Ortez przedstawił mnie swojej żonie, Delii, po czym zaprowadzono mnie do pokoju, w którym stało jedynie składane łóżko. Czułem jednak, że jestem mile widzianym gościem i nigdy nie spało mi się lepiej niż właśnie tej nocy, kiedy to po raz pierwszy nie nocowałem na ulicy. Później dowiedziałem się, że to wyjątkowe małżeństwo nie zatrzymywało dla siebie niczego oprócz niezbędnych rzeczy. Całą resztę oddawali na chwałę Bogu.

Następny poranek spędziłem na modlitwie. Czułem, że nie przypadkiem trafiłem do tego małego domowego kościoła. Nie miałem pojęcia, co będzie dalej, ale chciałem być otwarty na tyle, na ile to tylko możliwe i gotowy pójść wszędzie, gdzie tylko poprowadzi mnie Duch Święty.

W czasie gdy ja się modliłem, pastor Orteiz i jego żona musieli chyba bez przerwy wisieć na telefonie. Gdy przybyliśmy na miejsce, gdzie miało się odbyć spotkanie, byli już tam zgromadzeni przedstawiciele sześćdziesięciu pięciu hiszpańskojęzycznych Zgromadzeń Boga, by usłyszeć, co mam im do powiedzenia.

Tymczasem ja, stanąwszy już za kazalnica, nie bardzo wiedziałem, co by to miało być. Co mam im powiedzieć? Czemu dano mi możliwość mówienia do tych ludzi? Nawiązałem do wydarzeń, które sprowadziły mnie do tego miasta, opowiedziałem o upokarzającym incydencie w sądzie, i o tym towarzyszącym mi od początku, niezrozumiałym, nie dającym spokoju uczuciu, że za tymi pozornymi błędami kryje się jakiś cel, który na razie jedynie przeczuwam.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co mam dalej robić. To, co się stało na Fort Greene, mogło być jednorazowym szczęśliwym trafem. Nie mam pojęcia, czy coś podobnego mogłoby zaistnieć na większą skalę.

Zanim spotkanie dobiegło końca, przedstawiciele tych 65 wspólnot kościelnych przedstawili plan działania, który miał wykazać, czy rzeczywiście był to tylko szczęśliwy traf. Zamierzali zorganizować serię spotkań dla nastolatków w St. Nicholas Arena, nowojorskiej hali sportowej, gdzie mógłbym przemawiać do wielu gangów naraz.

Wahałem się. Po pierwsze, nie byłem zbyt przekonany, czy takie masowe spotkania to w tym przypadku rzecz właściwa.

– Istnieje też bardzo konkretny problem pieniędzy – powiedziałem – wynajęcie takiej hali pochłonie tysiące dolarów.

Nagle na końcu sali nastąpiło poruszenie. Jakiś mężczyzna zerwał się na równe nogi i zaczął coś wykrzykiwać. W końcu go zrozumiałem:

– Davie – mówił – wszystko jest w porządku, nie ma problemu.

Myślałem, że to jakiś fanatyk i nie zwróciłem na niego uwagi, ale po spotkaniu mężczyzna ten podszedł do mnie, żeby się przedstawić. Nazywał się Benigno Delgado i był prawnikiem. Jeszcze raz powiedział, że wszystko będzie w porządku.

– Davie, jedź do St. Nicholas Arena – powiedział – Wynajmij ją i przemów do tych dzieciaków. Wszystko się uda.

Szczerze mówiąc, pomyślałem że to jeden z tych nadpobudliwych, nieszkodliwych wizjonerów, których tak wielu jest w naszych wspólnotach, ale pan Delgado zauważył mój dziwny wyraz twarzy i wyciągnął z kieszeni największy zwitek banknotów, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

– Przemów do tych dzieciaków, Davie. Ja wynajmę halę.

I tak też zrobił.

W ten właśnie sposób, dosłownie z dnia na dzień, zostałem włączony w zorganizowanie dla młodzieży z całego miasta tygodnia spotkań, które miały się odbywać w St. Nicholas Arena w drugim tygodniu lipca 1958 roku.

Kiedy wróciłem z tą wieścią do Philipsburgha, wszyscy przyjęli ją z entuzjazmem.

Tylko Gwen była dziwnie cicha.

– Zdajesz sobie sprawę z tego – powiedziała w końcu – że właśnie wtedy ma się urodzić nasze dziecko?

Nie zdawałem sobie sprawy. Ale jak mąż może się do tego przyznać swojej żonie? Bąknąłem więc coś na temat tego, że może urodzi się później, ale Gwen się tylko zaśmiała.

– Urodzi się w terminie – powiedziała – a ty będziesz wtedy bujał gdzieś tam z głową w chmurach i nawet się o tym nie dowiesz. Pewnego dnia podam ci małe zawiniątko, a ty spojrzysz na nie bardzo zdziwiony. Prawdę mówiąc dla ciebie dziecko w ogóle nie istnieje aż do momentu, kiedy do ciebie przyjdzie i zawoła „tatusiu”.

Niewątpliwie była to prawda.

Wierni w Philipsburghu byli wobec mnie bardzo hojni. Mam tu na myśli nie tylko udzielane mi wsparcie finansowe w ciągu następnych dwóch miesięcy, kiedy to mogłem poświęcić im tak niewiele uwagi, ale również ich entuzjazm. Na bieżąco informowałem wszystkich o szczegółach moich wypraw do miasta, opowiadałem o ogromnych problemach, z jakimi borykają się te dwunasto, trzynasto, czternastolatki. Wiedzieli więc jak istotną są częścią tego wszystkiego, co Pan zaplanował dla Nowego Jorku.

Swój urlop zaplanowałem na okres ewangelizacyjnego tygodnia, żeby możliwie na krótko opuścić swoich wiernych, ale mimo wszystko, w miarę jak zbliżał się lipiec, coraz więcej czasu spędzałem w mieszkaniu Ortezów. Hiszpańskojęzyczne kościoły okazały nam ogromną pomoc. To z nich rekrutowali się ci, którzy rozwiesili plakaty w całym Nowym Jorku. Wyszkolili też całe zastępy doradców, którzy mieli czekać w szatniach hali na chłopców i dziewczęta pragnących zacząć wszystko od nowa. Zajęli się też sprawą oprawy muzycznej i służby porządkowej, jak również praktycznymi kwestiami dotyczącymi samej hali.

Ja miałem tylko zapłacić to miejsce nastolatkami.

Z początku wydawało się to takie proste; jednak im bardziej zbliżała się godzina zero, tym bardziej zaczynałem wątpić w całe to przedsięwzięcie.

Chodząc po ulicach, rozmawiałem z setkami chłopców i dziewcząt, ale nigdy do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak rozpaczliwe jest ich położenie. Już sama perspektywa przejechania tych kilku mil i wejścia do dużego budynku, czynność tak rutynowa dla ciebie czy dla mnie, im jawiła się jako niesamowite i niebezpieczne przedsięwzięcie. Przede wszystkim bali się opuścić swój teren, na którym czuli się bezpieczni; bali się, że zostaną napadnięci, kiedy będą przechodzić przez terytorium innego gangu. Bali się też dużych zgromadzeń, bali się swojej własnej nienawiści i uprzedzeń, bali się, że ich złość i brak poczucia bezpieczeństwa wymknie się spod kontroli i przerodzi w krwawe walki.

A co najdziwniejsze, bali się, że w czasie spotkania coś doprowadzi ich do płaczu. Stopniowo zaczynałem sobie uświadamiać jak przeraźliwie ci młodzi ludzie bali się łez.

Cóż jest takiego strasznego we łzach? Ciągle ich o to pytałem i za każdym razem odnosiłem wrażenie, że są one dla nich oznaką miękkości, słabości i dziecinności w okrutnym świecie, w którym przeżyć mogą tylko najtwardsi.

Jednak z mojego kaznodziejskiego doświadczenia wiedziałem jak ważną rolę odgrywają łzy w procesie nawrócenia. Myślę, że mógłbym nawet pokusić się o sformułowanie zasady głoszącej, że Boże dotknięcie zawsze objawia się łzami. Kiedy wreszcie pozwolimy Duchowi Świętemu dotrzeć do naszego wnętrza najgłębiej jak to tylko możliwe, zwykle reagujemy płaczem. Widziałem to wiele razy. Łzy płynące z samej głębi ludzkiego jestestwa, raczej szloch niż płacz. Dzieje się tak wtedy, gdy pada ostatnia bariera i człowiek poddaje się wszechogarniającemu działaniu ozdrowieńczej mocy.

Takie przeżycie daje początek zupełnie nowej osobowości i jest to zmiana tak radykalna, że od czasów Chrystusa mówi się o nim jako o narodzinach. „Musicie się narodzić powtórnie” – powiedział Jezus. Paradoks polega na tym, że w sercu tej nowo narodzonej osobowości panuje radość, ale radość ta poczęta została we łzach.

Cóż to za instynkt podpowiadał tym dzieciakom, że kiedy spotkają Boga być może będą musiały płakać? Rzecz jasna mieli swoje własne sposoby na dawanie wyrazu temu strachowi. Po raz kolejny odwiedzałem gangi, z którymi spotkałem się już wcześniej: Buntowników, ZWG, Biskupów i Mau Mau, żeby zaprosić je na spotkanie i wszędzie było to samo.

– Daj spokój, pastor. Nie będę ryczał.

Wszędzie ten sam lęk przed nieznanym, to samo kurczowe trzymanie się tego, co znajome, choćby było nie wiem jak żałosne, ten sam opór wobec zmian.

Pewnego wieczoru, jakiś czas po tym jak odwiedziłem piwnicę będącą siedzibą ZWG, żeby powiedzieć im o spotkaniu, ktoś zapukał do drzwi mieszkania Ortezów. Pani Ortez ze

zdziwieniem spojrzała na męża. On pokręcił głową: nie, nikogo się nie spodziewał. Pani Ortez odłożyła więc nóż, którym właśnie kroїła mięso i podeszła do drzwi.

Stała za nimi Maria. Kiedy tylko weszła do pokoju, od razu wiedziałem, że właśnie wzięła heroinę i jest na haju. Jej oczy błyszczały nienaturalnie, włosy opadały w nieładzie na twarz i trzęsły się jej ręce.

– Maria! – powiedziałem wstając. – Wejdz!

Stała na środku pokoju i zapytała wojowniczym tonem, czemu staramy się rozbić jej stary gang.

– O czym ty mówisz, Mario? – spytała Delia Ortez.

– Przychodźcie do nas, żeby ściągnąć dzieciaki na swoje nabożeństwo. Znam was. Chcecie nas rozbić.

Z jej ust popłynął stek wyzwisk. Vincente Ortez uniósł się lekko w swoim fotelu, żeby zaprotestować, poczym znów usiadł z wyrazem twarzy, który mówił: „Dalej, Mario. Lepiej, żebyś tu to wszystko wykrzyczała niż na ulicy”.

Do pokoju weszło jedno z dzieci Ortezów i Delia instynktownie ruszyła w jego stronę. W tym momencie Maria podbiegła do stołu i chwyciła rzeźnicki nóż, który zostawiła tam Delia. Ta błyskawicznie skoczyła między Marią i dziecko. Vincente zerwał się z fotela i ruszył przez pokój.

– Cofnij się! – krzyknęła Maria. Vincente stanął, bo dziewczyna przyłożyła sobie nóż do gardła.

– Ha! – powiedziała. – Poderżnę sobie gardło. Zarżnę się jak świnia, a wy będziecie na to patrzeć.

Wystarczająco dużo wiedzieliśmy wszyscy o tym, czym jest rozpacz narkomana, żeby zdawać sobie sprawę, że nie jest to jedynie jakaś gra czy poza. Delia szybko zaczęła mówić o długim i wspaniałym życiu, jakie czeka w przyszłości Marię.

– Bóg cię potrzebuje, Mario – powtarzała raz po raz.

W czasie gdy Delia przez jakieś pięć minut nie przestawała do niej mówić, Maria stopniowo opuszczała rękę trzymającą nóż coraz niżej, aż w końcu opuściła ją zupełnie. Nie przestając do niej mówić, Delia niepostrzeżenie przysuwała się coraz bliżej, aż w końcu jednym zręcznym ruchem wytrąciła nóż z ręki dziewczyny.

Upadł z brękiem na podłogę i kilkakrotnie się okręcił wokół własnej osi. Dziecko zaczęło płakać.

Maria nie próbowała go jeszcze raz pochwycić. Stała na środku pokoju i cała jej postać tchnęła tak wielką rozpaczą, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem. Nagle zaczęła jęczeć. Zakryła twarz dłońmi.

– Nie ma dla mnie wyjścia – powiedziała. – Wpadłam w to bagno i nie ma dla mnie ratunku.

– Czemu nie dasz Bogu szansy? – zapytałem.

– Nie, to nie dla mnie.

– Cóż, pozwól przynajmniej, żeby inne dzieciaki przyszły na spotkanie. Pomyśl, może znajdą wyjście, zanim będzie za późno.

Wyprostowała się. Wyglądało na to, że już się opanowała. Wzruszyła ramionami.

– To zależy od tego, czy wasze przedstawienie będzie tego warte – odpowiedziała. Po czym odwróciła się i kołysząc biodrami wyszła z mieszkania Ortezów z wysoko podniesioną głową.



# Krzyż i sztylet

## Rozdział 9

Lipiec nadszedł zadziwiająco szybko. To, co przygotowywaliśmy w St. Nicholas, pod wieloma względami rzeczywiście przypominało przedstawienie i dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, ile się trzeba nachodzić, żeby takie przedstawienie zorganizować. Aby przewieźć młodzież przez terytoria wrogich gangów, na które obawiała się wejść, przygotowaliśmy specjalne autobusy, które miały zabierać każdy gang z jego własnego terenu i bez zatrzymywania się dowozić na miejsce spotkania. Współpracownicy z sześćdziesięciu pięciu wspomagających to przedsięwzięcie kościołów przeczesywali ulice, żeby poinformować o tym członków gangów.

Tuż przed rozpoczęciem kampanii ewangelizacyjnej po raz ostatni pojechałem do domu zobaczyć się z Gwen.

– Dawidzie – powiedziała – nie będę ukrywać, że wołałabym, żebyś był w domu, kiedy będzie rodziło się nasze dziecko.

– Wiem.

Nie rozmawialiśmy zbyt często na ten temat. Moja teściowa była na mnie zła, że wyjeżdżam akurat wtedy, kiedy ma się odbyć poród. Powiedziała mi, że my mężczyźni wszyscy jesteśmy tacy sami, że prawdziwe chrześcijaństwo zaczyna się w domu i że jeśli nie mam dosyć szacunku dla mojej żony, to na nią nie zasługuję. Wszystkie te uwagi były tym boleśniesz, że tkwiła w nich część prawdy.

– Ale wiesz – ciągnęła Gwen – dzieci przychodzą na świat i bez asysty ojca przy porodzie. Lekarz i tak nie pozwoliłby ci trzymać mnie za rękę, a tego bym chciała najbardziej, więc tęskniłabym za tobą nawet wtedy, gdybyś był w pokoju obok. Czujesz, że powinieneś jechać, prawda?

– Tak.

– Więc jedź spokojnie, Dawidzie. Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Kiedy odjeżdżałem, Gwen, w bardzo już widocznej ciąży, stała w ogrodzie i machała mi na pożegnanie. Wiedziałem, że zanim spotkamy się następnym razem, cud narodzin już się dokona. Zastanawiałem się, czy ja też będę mógł jej opowiedzieć o jakichś narodzinach.

Po pierwszych czterech dniach spotkań szczerze w to wątpiłem.

Byliśmy tak zajęci przygotowaniami, że tym ciężiej było nam znieść zawód, jaki przynosiła kampania ewangelizacyjna. Kampania? Już samo słowo kojarzy się z rozentuzjasmowanymi tłumami. Tymczasem nic z tych rzeczy.

Czwartego wieczoru przyszła około setka ludzi. Hala mogła pomieścić siedem tysięcy.

Pamiętam jak stałem przy małym okienku na balkonie, skąd mogłem widzieć przybywających nastolatków sam nie będąc widziany. Każdego wieczoru liczyłem na przełom. Każdego wieczoru z naszych specjalnych autobusów wysypywała się zaledwie garstka dzieciaków, które wchodziły do hali.

Poszedłem za kulis. Doradcy i kościelni pracownicy młodzieżowi stali w kółku, przestępowali z nogi na nogę i starali się znaleźć jakieś słowa zachęty.

– Wiesz, Davie, że nie liczby się liczą. Chodzi o jakość, nie o ilość.

Ale wszyscy wiedzieliśmy, że nie mamy ani jednego, ani drugiego. Młodzież, która przybyła, przyszła na przedstawienie. Ciężko jest mówić do niemal pustej widowni, kiedy młodzieżówka wydmuchuje ci w twarz kółka dymu i rzuca nieprzyzwoite uwagi.

Najgorsze było to, co dzieciaki nazywały „rozwalaniem”. Jeśli tylko czegoś nie rozumieli albo w coś nie wierzyli, zaczynali się śmiać. W końcu właśnie przez ten śmiech zacząłem się panicznie bać wychodzenia na podium. Czwarty wieczór był najgorszy ze wszystkich. Zrobiłem co w mojej mocy, żeby spotkanie przebiegało we względnie dostojnej i uroczystej atmosferze, aż tu nagle, ni z tego ni z owego, szef któregoś z gangów parsknął śmiechem. Ktoś to podchwycił i chwilę później, zanim zdołałem nad tym zapanować, wszyscy trzymali się za brzuchy. Tamtego wieczoru zakończyłem spotkanie wcześniej i poszedłem do domu załamany i bliski rezygnacji.

– Panie – powiedziałem naprawdę zezłoszczony – jak dotąd nie udało nam się dotrzeć do tej młodzieży nawet odrobinę. Co mam robić?

I jak zwykle – czemu za każdym razem muszę się tego uczyć od nowa? – kiedy naprawdę poprosiłem, rzeczywiście dostałem odpowiedź.

Małego Jo-Jo poznałem następnego dnia na Brooklynie. Wskazano mi go jako przywódcę gangu Smoków z Coney Island, jednego z największych gangów ulicznych w mieście. Chłopiec, który mi go pokazał, nie chciał mu mnie przedstawić.

– Małemu Jo-Jo mogłoby się to nie spodobać, Dave.

Więc sam podszedłem do tego chłopaka i wyciągnąłem do niego rękę.

Jo-Jo najpierw trzepnął swoją ręką w moją otwartą dłoń, potem pochylił się i splunął mi na buty. Zgodnie ze zwyczajami gangów była to oznaka najwyższej pogardy. Potem odszedł i usiadł na ławce odwrócony do mnie plecami.

Podszedłem do niego i usiadłem obok. Powiedziałem:

– Jo-Jo, gdzie mieszkasz?

– Pastorze, nie chcę z tobą gadać. W ogóle nie chcę mieć z tobą do czynienia.

– Ale ja chcę mieć do czynienia z tobą – powiedziałem. – Zostanę tu dopóki mi nie powiesz, gdzie mieszkasz.

– Siedzisz w moim salonie, pastor – powiedział Jo-Jo.

– A gdzie idziesz, kiedy pada?

– Przenoszę się do mojego apartamentu w metrze – odpowiedział.

Jo-Jo miał na nogach parę starych płóciennych butów. Z prawego wystawał mu palec. Miał też na sobie brudną czarną koszulę i parę za dużych spodni w kolorze khaki. Spojrzał na moje buty. Były całkiem nowe. Wtedy przypomniały mi się zabłocone buty dziadka i uprzytomniłem sobie, jaki ze mnie głupiec.

Jo-Jo powiedział do mnie tak:

– Słuchaj, bogaczu, możesz sobie przyjeżdżać do Nowego Jorku i opowiadać o wielkim Bogu, który zmienia ludzkie życie. Masz nowe buty i dobrze dobraną do garnituru koszulę. Spójrz na mnie! Jestem włóczęgą. W mojej rodzinie jest dziesięcioro dzieci. Żyjemy z zasiłku. Mnie po prostu wykopali z domu, bo nie starczało dla wszystkich jedzenia.

Jo-Jo miał rację. Zdjąłem więc tam w parku swoje buty i poprosiłem, żeby je przymierzył.

– Co to za numer? Co chcesz udowodnić? Że masz serce, czy coś w tym stylu? Nie włożę twoich śmierdzących butów.

– Jęczałeś, że nie masz butów, no to je bierz.

Jo-Jo na to:

– Nigdy nie miałem nowych butów.

– Włóż je.

W końcu, z ponurą miną, Jo-Jo włożył buty na swoje nogi.

Wówczas wstałem i odszedłem. Poszedłem chodnikiem do samochodu stojącego dwie przecznice dalej w samych skarpetkach. Był niezły cyrk – ludzie patrzyli na mnie i śmiali się. Kiedy dochodziłem już do samochodu, Mały Jo-Jo dogonił mnie i powiedział:

– Zapomniałeś swoich butów.

– To twoje buty.

Wsiadłem do samochodu.

– Pastorze – powiedział Jo-Jo zaglądając przez otwarte okno – zapomniałem ci uścisnąć rękę.

Więc uścisnęliśmy sobie dłonie. Potem powiedziałem:

– Słuchaj, nie masz gdzie mieszkać. Ja sam co prawda korzystam teraz z czyjejś gościny, ale jest tam jeszcze w salonie kanapa. Może ludzie, którzy mnie przyjęli, zgodzą się przenocować i ciebie. Zapytam ich.

– Dobra – odpowiedział Jo-Jo po prostu.

Wsiadł do samochodu i pojechaliśmy do mieszkania Ortezów.

– Pani Ortez – powiedziałem z lekkim wahaniem w głosie – to jest przywódca Smoków z Coney Island. Jo-Jo, chciałbym, żebyś poznał osobę, która zaoferowała mi nocleg, bo tak jak ciebie, nie stać mnie na opłacenie go.

Potem zapytałem panią Ortez, czy Jo-Jo również mógłby zostać u niej przez parę dni. Spojrzała na swoje dwoje dzieci, potem na nóż sprężynowy wystający z kieszeni Jo-Jo, wreszcie podeszła do niego, bardzo życzliwie objęła go ramieniem i powiedziała:

– Jo-Jo, możesz spać na kanapie.

To był odważny czyn – wie to każdy, kto miał do czynienia z tymi niebezpiecznymi chłopakami. Wziąłem Jo-Jo na stronę i powiedziałem:

– Twoje ubranie cuchnie. Jesteśmy teraz u kogoś w mieszkaniu i trzeba będzie coś z tym zrobić. Mam osiem dolarów. Pójdziemy do sklepu z wojskową odzieżą i kupimy ci koszulę i parę spodni.

Włożyłem moje stare buty i wziąłem Jo-Jo do najbliższego sklepu z taną odzieżą. Poszedł tam do przebieralni i po prostu zostawił swoje stare ubranie. W drodze do domu przeglądał się w każdej sklepowej witrynie.

– Nieźle... Całkiem nieźle – powtarzał.

Wszystko co do tej pory zrobiłem dla Jo-Jo mógł równie dobrze zrobić właściwy oddział opieki społecznej. Niewątpliwie dobrze się stało, że chłopak miał wreszcie parę butów, koszulę, i że tej nocy nie musiał spać na stacji metra. Jednakże gdy chodzi o jego wnętrze, ciągle był tym samym Jo-Jo.

Aby nastąpiła zmiana w sercu Jo-Jo, najpierw musiało się zmienić coś we mnie. I to, co się stało, zmieniło na dobre życie nas obu.

Spotkanie w St. Nicholas tamtego wieczoru było tak samo beznadziejne, jak wszystkie poprzednie. To samo „rozwalanie”, te same śmiechy i wygłupy. Te same walki na pięści i groźby. Te same sugestywne ruchy dziewcząt i lubieżne reakcje chłopców. Jo-Jo był tam i widział to wszystko. Przyszedł z ciekawości, ale wyraźnie dawał mi do zrozumienia, iż jego zdaniem cała ta sprawa to jedna wielka bzdura.

Kiedy po spotkaniu wracaliśmy do mieszkania Ortezów, siedząc za kierownicą w ogóle się nie odzywałem. Bolał mnie zupełny brak reakcji ze strony młodzieży i właściwie byłem nadąsany.

– Za bardzo się starasz, pastor.

To przyszło tak po prostu, bez żadnego ostrzeżenia: ten bezdomny chłopak, który zgrywał kompletnego gruboskóra, dokonał wnikliwej oceny sytuacji.

Jego słowa mnie wręcz uderzyły. Przeniknęły mnie na wskroś, jakby je do mnie powiedział sam Bóg. Odwróciłem się do Jo-Jo tak gwałtownie, że się przestraszył, i w obawie przed moim domniemanym gniewem zasłonił się ramieniem.

No jasne! To ja próbowałem zmienić ich życie; nie byłem tym, który wnosi do życia tych gangów Ducha Świętego. Prezentowałem im samego siebie – Dawida Wilkersona. Nawet wówczas, gdy dawałem Jo-Jo parę swoich butów, na pierwszym miejscu było moje „ja”. I w tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że nigdy nie będę w stanie pomóc Jo-Jo. Nigdy nie będę w stanie pomóc gangom. Mogłem jedynie coś zacząć, a potem należało usunąć się na bok.

„Za bardzo się starasz”. W odpowiedzi na tę przenikliwą uwagę wybuchnąłem takim śmiechem, że Jo-Jo aż się zaniepokoił.

– Przestań, pastor.

– Jo-Jo, śmieję się, bo mi pomogłeś. Odtąd będę robił wszystko, żeby się już tak bardzo nie starać. Ustąpię miejsca Duchowi Świętemu.

Jo-Jo przez chwilę milczał, potem podniósł głowę.

– Nic nie czuję – powiedział. – Zupełnie nic. I nie spodziewam się niczego poczuć.

Nie rozmawialiśmy już więcej aż do momentu, kiedy weszliśmy na górę do mieszkania Ortezów. Wtedy nagle znowu, z właściwą sobie bezpośredniością, Mały Jo-Jo zawarł ze mną układ.

– Słuchaj Davie, niedługo urodzi ci się dziecko, co nie?

Powiedziałem mu wcześniej, że Gwen idzie do szpitala. Dziecko mogło się urodzić w każdej chwili.

– Mówisz, że jest Bóg, który mnie kocha, prawda?

– Tak jest – odpowiedziałem.

– Dobra, jeśli jest Bóg, to kiedy się do niego pomodlę, usłyszy moją modlitwę, co nie?

– Oczywiście.

– Fajnie. Co chcesz, chłopca czy dziewczynkę?

Widziałem, że zastawia na mnie pułapkę, ale nie wiedziałem jak jej uniknąć.

– Słuchaj, Jo-Jo, modlitwa to nie automat, do którego wrzucasz odpowiednią monetę po to, by wyskoczył batonik.

– Czyli, że z tym Bogiem to nic pewnego.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Co chcesz, chłopca czy dziewczynkę?

Przyznałem, że mamy już dwie córki, więc liczymy na chłopca. Usłyszawszy to Mały Jo-Jo zrobił coś, co było dla niego tak samo trudne, jak Mojżeszowi trudno było uderzyć w skałę na pustyni, żeby wypłynęła z niej woda. Mały Jo-Jo się pomodlił.

– No więc, Boże, jeżeli tam jesteś i mnie kochasz, to daj temu pastorowi syna.

Tak właśnie wyglądała modlitwa Jo-Jo. Była naprawdę szczerą i kiedy ją skończył, bardzo mrugał oczami. To było niesamowite. Pobiegłem do mojego pokoiku i zacząłem się modlić tak, jak jeszcze się nigdy nie modliłem odkąd przyjechałem do Nowego Jorku.

Jo-Jo i Ortezowie smacznie już spali, kiedy około wpół do trzeciej w nocy zadzwonił telefon. Nadal się jeszcze wtedy modliłem. Poszedłem odebrać.

To była moja teściowa.

– Dawidzie! – powiedziała. – Nie mogłam wytrzymać z tym do rana. Chciałam ci tylko powiedzieć, że zostałeś ojcem!

Nie mogłem się zdobyć na zadanie tego istotnego pytania.

– Dawidzie, Dawidzie, jesteś tam?

– Tak.

– Nie chcesz wiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczynka?

– Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo chcę.

– Dawidzie, masz dużego, zdrowego, dziesięcioletniego syna.

Oczywiście sceptycy powiedzą, że szanse na wysłuchanie modlitwy Jo-Jo, biorąc rzecz czysto statystycznie, wynosiły 50 procent. Ale tamtej nocy stało się jeszcze coś innego, coś o

wiele istotniejszego, niż wszystko co podlega prawom statystyki. Kiedy obudziłem Jo-Jo i przekazałem mu tę wiadomość, podrapał się po głowie.

– Coś takiego – powiedział – Jak to możliwe? Dajcie spokój!

Zanim minęła ta noc, Jo-Jo stał się innym człowiekiem. Zaczęło się od łez; Jo-Jo wypłakał z siebie całą gorycz i nienawiść. Wypłakał też wątpliwości i lęki. A kiedy było po wszystkim, zrobiło się miejsce na tę miłość, którą znają chrześcijanie, tę, która nie zależy od rodziców, kaznodziei ani nawet wysłuchanych po naszej myśli modlitw. Od tego dnia Jo-Jo miał w sobie miłość, która pozostała z nim już na zawsze, a on z kolei dał mi lekcję, która na zawsze pozostała w mojej w pamięci.

My, ludzie, możemy się bardzo starać, żeby sobie nawzajem pomóc, a nawet powinniśmy i musimy się o to starać. Ale tylko Bóg, i wyłącznie On, może uleczyć.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 10

Spotkanie właśnie miało się zacząć. To był ostatni wieczór kampanii. Widownia stopniowo się zappełniała. Już teraz było na sali więcej młodzieży, niż na którymkolwiek z poprzednich spotkań. Było trochę Kapelanów, widziałem też Smoki i parę osób z ZWG. Co ciekawe, była też wśród nich Maria.

Jednak nigdzie nie było widać ani jednego Mau Mau, choć rozglądałem się uważnie, by dostrzec jasnoczerwone kurtki z podwójnym M na plecach.

Nie mogłem zapomnieć sympatycznej twarzy i otwartości Izraela, przywódcy Mau Mau. Pojechałem zaprosić ich na kampanię jako moich szczególnych gości i powiedzieć im o specjalnie dla nich wynajętym autobusie. Kiedy powiedziałem, że zarezerwuję dla nich miejsca w pierwszych rzędach, Izrael obiecał przyjechać i przyprowadzić też innych.

Tymczasem był to już ostatni wieczór, a oni się nie pojawili. Domyślałem się nawet dlaczego. Nicky. Kiedy rozmawiałem z Izraelem, stał obok i milczał, ale widać było, że wszystko się w nim gotuje z nienawiści do mnie i do wszystkiego co sobą reprezentuję.

Podszedłem do wychodzącego na ulicę okna. Nadjechał właśnie kolejny autobus. Wiedziałem, że to Mau Mau, zanim jeszcze ich zobaczyłem. Zorientowałem się po sposobie, w jaki autobus podjechał do krawężnika: zaparkował błyskawicznie, jakby kierowca nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się swoich pasażerów. Przednie i tylne drzwi autobusu otworzyły się i, wśród krzyków i przepychanek, wysypało się z niego około pięćdziesięciu rozbawionych nastolatków. Jeden z wychodzących chłopaków wyrzucił pustą butelkę po winie. Przemierzając niewielką odległość od autobusu do wejścia do hali, zdążyli zgarnąć do swojego grona kilka stojących przed halą nastolatków w bardzo krótkich spodenkach i skąpych, przypominających raczej staniki, bluzeczkach.

– Panie – powiedziałem głośno – w co ja się wpakowałem?

Wcześniej poprosiłem porządkowych, żeby zarezerwowali trzy pierwsze rzędy, ale nie powiedziałem dla kogo są przeznaczone te miejsca. Teraz główny porządkowy przybiegł do mnie wyraźnie zaniepokojony.

– Pastorze, nie wiem co robić.

Pociągnął mnie w stronę balkonu i wskazał na widownię, gdzie Izrael i Nicky, pogwizdując i pokpiwając, laskami torowali sobie drogę między rzędami.

– To są Mau Mau – powiedział szef porządkowych – chyba nie uda mi się przegonić ich z tych zarezerwowanych miejsc.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem – Te miejsca są właśnie dla nich. To moi znajomi.

Nie czułem się jednak tak pewnie, jak wskazywałyby na to moje słowa. I pozostawiwszy oniemiałego ze zdziwienia porządkowego, szybko zszedłem na dół, do szatni. Tam również wszyscy byli poważnie zaniepokojeni.

– Nie podoba mi się to wszystko – powiedział kierownik hali – tam siedzą rywalizujące ze sobą gangi. Możemy tu mieć wielką rozróbę.

– Może powinniśmy wezwać więcej policji, tak na wszelkich wypadek? – spytał jeden z duchownych, który znał te gangi.

Jeszcze raz rzuciłem okiem na salę. Jedna z naszych nastolatek, bardzo zdolna młoda wokalistka o urodzie filmowej gwiazdy szła właśnie na środek sceny, którą ustawiono w jednym z końców hali.

– Zobaczmy jak sobie poradzi Mary – powiedziałem. – Może nie trzeba będzie wzywać posiłków. Może uda się uspokoić dziką bestię piosenką.

Kiedy jednak Mary Arguinzoni zaczęła śpiewać, krzyki i gwizdy się wzmogły.

– Ej, mała! Uważaj na zakrętach!

– Znajdziesz po przedstawieniu trochę czasu dla biednego starego grzesznika?

– Jak masz na imię, kochanie?

Chłopcy stali na siedzeniach i robili rybę, a dziewczyny w swoich stanikach i przykrótkich szortach wirowały w rytm gospelowej śpiewanej przez Mary piosenki. Spojrzała pytająco w moją stronę. Mimo oklasków i okrzyków zachęcających ją do zaśpiewania jeszcze jednej piosenki, dałem znak, żeby zeszła.

– Chcesz to wszystko odwołać, Dave?

– Nie. Jeszcze nie. Jeszcze trochę poczekajmy. Spróbuję coś do nich powiedzieć. Jeśli zobaczycie, że sprawy przybierają zły obrót, możecie zrobić, co uznacie za stosowne.

Wyszedłem. Droga wiodąca na środek sceny wydała mi się bardzo długa. Oczywiście Izrael nie omieszkiał mnie powiadomić, że jest na sali.

– Hej, Davie, tu jestem! Mówiłem ci, że przyjdę i przyprowadzę chłopaków.

Odwróciłem się, żeby się do niego uśmiechnąć i napotkałem kamienny wzrok Nicky’ego. Wtedy doznałem nagłego olśnienia.

– Dziś będzie trochę inaczej – powiedziałem do mikrofonu – Poprosimy członków gangów, żeby zebrali kolektę.

Kiedy to mówiłem, patrzyłem prosto na Nicky’ego.

– Czy mogę prosić sześciu ochotników?

Nicky natychmiast zerwał się z miejsca, a na jego twarzy malowały się na przemian niedowierzanie i skrywany triumf. Wyznaczył pięciu Mau Mau, po czym w sześciu wyszli naprzód i stanęli rzędem na scenie. Od razy dało się zauważyć jeden pozytywny efekt mojego posunięcia: udało nam się przyciągnąć uwagę całej widowni. Setki nastolatków przerwały swoje wygłupy i zamarły w oczekiwaniu.

Poszedłem za kulisy i wziąłem z rąk osłupiałych porządkowych kartony po mleku.

– Proszę – powiedziałem rozdając je chłopcom – kiedy już dojdziecie do ostatniego rzędu, chciałbym żebyście przynieśli datki z powrotem na scenę przechodząc tamtędy, za kurtyną.

Wskazując to miejsce przyglądałem się twarzy Nicky’ego. Za tą kurtyną były schody prowadzące na scenę, jak również drzwi na ulicę. Wskazywała je wielka strzałka z napisem WYJŚCIE. Nicky przyjął karton z poważną miną, ale w jego oczach mogłem wyczytać kpinę i pogardę.

I tak, przy akompaniamencie organów, Nicky wraz z chłopcami zebrał kolektę. Doskonale sobie poradził. Nicky miał na swoim koncie szesnaście ciosów zadanych nożem i znany był jako groźny przeciwnik w walce na noże nie tylko dzieciakom z Brooklynu, ale również gangom Manhattanu i Bronksu. Zyskał też rozgłos dzięki swojej taktyce walki przy użyciu kija bejsbolowego. Gazety okrzyknęły go Śmietnikowym Wojownikiem, bo w czasie rozrób wkładał na głowę metalowy pojemnik na śmieci i rzucał się w wir walki wywijając tą swoją śmiercionośną bronią na oślep. Gdy Nicky stał na końcu jakiegoś rzędu potrząsając kartonem, nastolatki natychmiast sięgały do kieszeni.

Kiedy już uznał, że zebrali dosyć, dał znak pozostałym chłopcom. Przeszli razem przez front widowni i zniknęli za kurtyną. Stałem na scenie i czekałem.

Na sali tu i ówdzie rozległy się chichoty. Minęła minuta. Dziewczyny zakrywały sobie rękami usta, żeby nie śmiać się głośno. Minęły dwie minuty. Tłumiony dotąd śmiech teraz rozlegał

się już zewsząd. Moje natchnienie gdzieś uleciało i sam gotów byłem uznać to wszystko za czyste szaleństwo. Wszystkie nastolatki zerwały się na nogi, zaczęły tupać, wyć i szydzić.

Nagle sala zamarła. Odwróciłem się. Nicky i pozostali szli przez scenę w moją stronę trzymając w rękach pełne kartony. Nicky patrzył na mnie zdezorientowanym, niemal przestraszonym wzrokiem, jak gdyby sam nie rozumiał, co robi.

– Tu są twoje pieniądze, pastor – nie powiedział tego uprzejmie, ale raczej ze złością i niechętnie, jak gdyby słowa te wyciągano z niego siłą.

– Dziękuję, Nicky – odpowiedziałem mając nadzieję, że mój głos brzmi całkiem zwyczajnie. Podszedłem do kazalnicy zupełnie tak, jakby te dwie ostatnie minuty wcale nie były najgorszymi dwiema minutami w moim życiu.

Kiedy chłopcy wolno wracali na swoje miejsca, na sali nie zabrzmiał ani jeden dźwięk. Zacząłem mówić, a moje serce przepełniała ogromna nadzieja. Jeśli jednak myślałem, że udało mi się zdobyć przychyłność tłumu dla mojego przesłania, to gorzko się myliłem. Słowa docierały do ich uszu, ale nie wyglądało na to, żeby trafiały choćby w pobliże ich serc.

Nie mogłem zrozumieć, co jest nie tak z moim kazaniem. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby było dobre. Przygotowywałem je godzinami, modliłem się nad każdą jego linijką. Pościłem nawet, mając nadzieję, że to wzmocni moją zdolność przekazu i siłę przekonywania. Tymczasem równie dobrze mogłem tam stać i czytać najnowsze notowania giełdowe. Nic z tego, co mówiłem, nie przemawiało do tych nastolatków, nie do nich nie docierało. Mówiłem tak przez jakieś piętnaście minut, a jedyną reakcją było wciąż rosnące zniecierpliwienie tłumu. Doszedłem do punktu kazania, w którym zacytowałem przykazanie Jezusa, byśmy się nawzajem kochali.

Wtedy ktoś w drugim rzędzie zerwał się, wskoczył na swoje siedzenie i krzyknął:

– Zaraz, zaraz, pastorze! Moment! Chcesz powiedzieć, że mam kochać te Smoki? Jeden z nich ciachnął mnie brzytwą. Jasne, będę ich bardzo kochał, ołowianą rurką.

Z kolei inny chłopak, z sektora zajmowanego przez Podpalaczy Piekła, zerwał się i podciągnął koszulę.

– Mam tu dziurę po kuli, pastorze. Zrobił to któryś z tych czarnuchów. A ty mówisz, że mamy ich kochać? Facet, chyba nie mówisz tego serio.

Rzeczywiście, to co mówiłem nie brzmiało wiarygodnie w tej przepełnionej nienawiścią sali. Z ludzkiego punktu widzenia nie było możliwe.

– Nie możemy tego osiągnąć własnym wysiłkiem – przyznałem. – Mówię o miłości Bożej. Musimy po prostu poprosić Go, żeby dał nam swoją miłość. Nie jesteśmy w stanie sami jej w sobie wypracować.

W tym samym momencie, bardzo wyraźnie zobaczyłem, że są to słowa skierowane przede wszystkim do mnie. Czy to nie tego właśnie nauczyłem się od Jo-Jo? My, ludzie, bardzo niewiele możemy zrobić, aby zmienić siebie czy innych, by przynieść im uzdrowienie, wypełnić ich serca miłością zamiast nienawiści. Możemy przynieść nasze serca i umysły Bogu, ale wtedy musimy je tam również zostawić.

Pochyliłem głowę, tak jak to zrobiłem wtedy na ulicy.

Wtedy właśnie oddałem całe to spotkanie Bogu.

– Jezu – modliłem się – nic więcej już nie mogę zrobić. Zaprosiłem tu tych młodych ludzi, a teraz usuwam się w cień. Przyjdź, Duchu Święty. Jeśli chcesz dotrzeć do ich serc, to musi się to stać poprzez Twoją obecność. Zrób to po swojemu, Panie, zrób to tak, jak Ty chcesz.

Trzy minuty mogą trwać niewiarygodnie długo. Stałem tak przed tłumem z pochyloną głową przez całe trzy minuty. Nie powiedziałem ani słowa. Nie poruszyłem się. Modliłem się cicho i żarliwie. Nie obchodziło mnie już zbytnio to, że niektórzy się śmieją. Nie byłem też zaskoczony, kiedy powoli w całej tej ogromnej sali zaległa cisza. Zaczęło się od pierwszych trzech rzędów. Rozpoznałem głos Izraela:

– Dobra chłopaki, spokój!



Stopniowo uspokoiła się reszta sali, przycichło też na balkonach. Zanim upłynęły te trzy minuty, w całej hali panowała absolutna cisza.

A wtedy usłyszałem czyjś płacz.

Otworzyłem oczy. W pierwszym rzędzie Izrael wyszarpywał chusteczkę z przedniej kieszeni spodni. Wyciągnął ją i bardzo głośno wysiakał nos, potem zamrugał i pociągnął nosem.

Nadal się modliłem:

– Panie, dotknij całą tę grupę.

I kiedy tak się modliłem, sięgnął po chusteczkę Nicky. Nie wierząc własnym oczom spojrzałem jeszcze raz. Tak, siedział oparty o swoją laskę, mrugał oczami i prychał z pogardą, zły sam na siebie, że płacze. Jeden z chłopców położył mu rękę na ramieniu, ale Nicky ją strząsnął.

Wiedziałem, że przyszedł już czas, aby padły właściwe słowa. Powiedziałem głośno:

– Dobrze. Odczuliście Jego obecność. On jest tutaj, w tym pomieszczeniu, przyszedł specjalnie do was. Jeśli chcecie, żeby wasze życie się zmieniło, nadszedł właściwy czas. Wstańcie i wyjdźcie naprzód!

Izrael nie wahał się ani chwili. Wstał i zwrócił się do swojego gangu.

– Chłopaki – powiedział – byłem waszym szefem przez trzy lata. Kiedy każę wam iść, idźcie, prawda?

– Prawda! – odpowiedzieli Mau Mau.

– Dobra, ja wychodzę naprzód, a wy idźcie ze mną. Wstawać!

Wszyscy jak jeden mąż zerwali się na nogi i ruszyli za Izraelem. Nie, oni go wyprzedzili! Pchali się jeden przez drugiego. Popatrzyłem, czy jest między nimi Nicky. Był. Pęd do wyjścia naprzód był zaraźliwy. Ponad trzydziestu chłopców z innych gangów zeszło za Mau Mau do szatni, gdzie czekali już kościelni pracownicy. To był prawdziwy potop. Chodziłem od jednego pomieszczenia do drugiego starając się pomóc, gdzie tylko mogłem i w czasie jednego z takich obchodów zauważyłem coś ciekawego. Wśród tych, którzy wyszli do przodu po nowe życie były dziesiątki chłopców, a tylko trzy dziewczyny. Usłyszałem gwizd dochodzący z korytarza, więc wyjrzałem, akurat w momencie, kiedy jedna z pozostających tam dziewcząt rozpięła bluzkę, obnażyła pierś i zawołała do chłopców ze swojego sąsiedztwa:

– Jak tam pójdziecie, to z tym koniec!

Zanim zdolałiśmy zareagować, inne dziewczyny podchwyciły ten pomysł i zdołały odciągnąć kilku chłopaków. Było to zastanawiające. Wydaje mi się, że kiedy dziewczyny usłyszały, że mówimy o miłości, poczuły zwykłą zazdrość. Nie chciały z nikim dzielić się miłością. W jedyny znany sobie sposób walczyły o żalosne resztki tej „miłości”, którą znały.

Najtrudniej było mi uwierzyć w nawrócenie Nicky’ego.

Stanął przede mną z szerokim uśmiechem na twarzy i jaskając się powiedział tym swoim zduszonym głosem:

– Oddaję swoje serce Bogu, Davie.

Nie mieściło mi się to w głowie. Ta zmiana była zbyt nagła. Mówił mi, że w jego sercu nastąpiła zmiana i jak zwykle kopcił papierosa, kącikiem ust wypuszczając małe kłęby dymu. Co z uzależnieniem od narkotyków? Co z kradzieżami, napadami, pijaństwem, walkami z nożem w rękę i okrucieństwem? Nicky chyba czytał w moich myślach, bo próbował się bronić tak, jak umiał, czyli przeklinając.

– Do cholery, Davie, oddałem serce Bogu!

– W porządku, Nicky, w porządku – chciałem coś zrobić, żeby poczuł się pewniej, więc poprosiłem, żeby on i Izrael poszli ze mną, po czym dałem im obu, jak również wszystkim Mau Mau, którzy wyszli naprzód, po egzemplarzu Biblii. Były dwojakiego formatu: wydanie kieszonkowe i inne, dużo większe. Chłopcy nie chcieli tych małych.

– Daj nam te duże książki, Davie, żeby ludzie widzieli, co niesiemy.

Tak więc prawie wszyscy wyszli z Bibliami pod pachą, ćmiąc jednocześnie papierosy.

Następnego dnia wczesnym rankiem zadzwonił telefon. Pani Ortez zajrzała do mojego pokoiku.

– Davie, telefon z policji.

– Z policji!

Zmartwiałem. Kiedy wreszcie znalazłem się przy telefonie, to, co usłyszałem, wcale nie poprawiło mojego samopoczucia. Dzwoniący do mnie porucznik pytał, czy znam gang Mau Mau, a kiedy odpowiedziałem twierdząco, zapytał, czy mógłbym przyjechać.

Kiedy zjawiłem się na posterunku policji przy Edward Street, było tam oczywiście paru chłopców z gangu. Przeszedłem obok nich energicznym krokiem i przedstawiłem się policjantowi dyżurnemu. Nigdy nie zapomnę tego, co się stało potem.

Dyżurny sierżant zawołał porucznika, a porucznik zebrał cały komisariat. Potem wyciągnął do mnie rękę.

– Pastorze – powiedział – chciałbym uścisnąć panu doń.

Nie miałem nic przeciwko temu, więc zaserwowałem mi mocny uścisk.

– Jak pan to zrobił? Kilka miesięcy temu ci chłopcy wypowiedzieli nam wojnę. Od lat były z nimi same problemy. A dzisiaj rano przyszli tu całą gromadą. I wie pan po co?

Pokręciłem głową.

– Chcą, żebyśmy się im podpisali na Bibliach!

Spojrzałem na Nicky'ego, Izraela i innych chłopców, którzy z nimi przyszli. Uśmiechnęli się do mnie szeroko.

– Kiedy tylko będzie pan potrzebował naszej pomocy przy organizowaniu następnego ulicznego spotkania, pastorze, proszę nam tylko dać znać – powiedział porucznik, a gdy wychodziliśmy z komisariatu na ulice Brooklynu, widziałem jak siedzący za swoim biurkiem sierżant w zadziwieniu kręcił głową.

Jak się dowiedziałem, Chłopcy czytali swoje Biblie prawie całą noc. Szczególnie zafascynowały ich historie ze Starego Testamentu.

– Davie! – powiedział Izrael – Jestem w Biblii! Co rusz jest tu moje imię.

Gdy zadzwoniłem tego wieczoru do Gwen do szpitala, tak bardzo byłem tym wszystkim pochłonięty, że trudno mi było mówić o czymkolwiek innym.

– Warto było organizować to wszystko dla tego ostatniego wieczoru, kochanie – powiedziałem jej wtedy. – Gdybyś tylko mogła tu być!

– No wiesz, Dave, byłam troszkę zajęta – odpowiedziała. – Przypomnij mi, żebym ci o tym kiedyś opowiedziała, kiedy już z powrotem zejdziesz na ziemię.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 11

Odległość między rozgrzаныmi upałem ulicami Nowego Jorku a chłodem wzgórz Pensylwanii pokonałem jednym skokiem. Powinienem się cieszyć z tej odmiany, jednak przemierzając kolejne kilometry, ciągle rozmyślałem o Kasiarzu i Dyliżansie, Nickym i Izraelu, Marii, Jo-Jo i Angelo: chłopcach i dziewczętach, których życiowe drogi w tak niezwykle sposób splotły się z moją.

To samo było w Philipsburghu. Siedziałem sobie w cieniu naszego ogródka popijając oranżadę, którą przygotowała mi Gwen, patrząc na mojego małego synka leżącego w koszyku pod drzewami i co chwila łapałem się na tym, że myślę wracam do tych dzieciaków z Nowego Jorku walczących nawet o to, by móc posiedzieć w jakimś parnym zakątku parku.

– Twoją owczarnią jest Philipsburgh – przypomniała mi łagodnie któregoś wieczoru Gwen, kiedy przez ponad pół godziny zamartwiałem się głośno o Angelo Moralesa, który postanowił zostać kaznodzieją, ale nie miał pieniędzy na opłacenie szkoły.

– Nie wolno ci zaniedbywać twojej kongregacji.

Oczywiście Gwen miała rację, więc przez kolejne pół roku wszystkie moje siły poświęciłem mojej górskiej parafii. Ta praca dawała mi satysfakcję i bardzo ją lubiłem, ale ciągle myślałem o Nowym Jorku.

– Zauważyłem – powiedział mi jeden z wiernych – że to, co się dzieje tutaj, nie obchodzi pana tak bardzo, jak los tych dzieciaków z miasta.

Przelknąłem ślinę. Nie sądziłem, że było to aż tak widoczne.

Jednak niezależnie od tego, czy dawało się to zauważyć czy nie, zaczynała mi w głowie świtać myśl, która mnie przerażała: powinienem wraz z rodziną przeprowadzić się do Nowego Jorku i całkowicie poświęcić się pracy z tymi nastolatkami. Może nigdy nie uda mi się sprawić, by mieli ten swój dom, ale mógłbym przynajmniej pracować z nimi na ulicy.

Ta myśl nie dawała mi spokoju. Przetrawiałem ją w sobie jeżdżąc po okolicy, gdy jesienią i zimą składałem duszpasterskie wizyty. Wygłosiłem trochę kazań na temat poznawania Bożej woli, mając nadzieję, że przy okazji sam dowiem się czegoś na ten temat.

Jednak najwięcej rozmyślałem nad tym przesiadując na pewnym wzgórzu. Od czasu gdy byłem małym chłopcem, ze wszystkimi swoimi największymi kłopotami udawałem się na wzgórze. Szczególnie jedno nasłuchiwało się moich dziecięcych problemów: Stary Łysielec, malownicza górka niedaleko naszego domu w Barnesboro, w Pensylwanii.

Ze Starego Łysielca spoglądałem na nasz dom, obserwując jak mama, tata i inne dzieci biegają po całej okolicy próbując mnie odnaleźć. Czasami spędzałem tam większą część dnia rozmyślając o problemach, z którymi musi się borykać każdy chłopak. Kiedy wracałem, zawsze dostawałem łanie, ale ojcowy pas nie był w stanie powstrzymać mnie od kolejnej wyprawy, bo dopiero siedząc tam, na górze, miałem spokój i mogłem nabrać do wszystkiego odpowiedniego dystansu.

Teraz też bardzo tego potrzebowałem. Niedaleko naszej kaplicy była nieczynna odkrywkowa kopalnia. Wybrałem to miejsce jako odpowiednik Starego Łysielca dla mojego dorosłego życia. Było stamtąd widać kaplicę, i jeśli odpowiednio zaparkowałem samochód, Gwen go widziała i nie musiała się martwić, kiedy znikąłem na długo.

Właśnie tam, na moim wzgórzu, rozważałem całą tę sprawę. Czy to możliwe, żeby ta nagląca myśl o przeprowadzce do Nowego Jorku pochodziła od Boga? Czy rzeczywiście miałem zostawić swoją pracę w Philipsburghu i przenieść się wraz z Gwen i trójką małych dzieci do brudnego miasta, gdzie codzienne życie niosło z sobą tyle problemów?

Jasna i ostateczna odpowiedź nie przyszła od razu. Jak w większości przypadków, dochodziłem do niej stopniowo.

Pierwszy krok stanowił ponowny wyjazd do Nowego Jorku.

– Wiesz, że upłynął już rok od czasu, kiedy wyrzucono mnie z procesu w sprawie Michaela Farmera? – spytałem Gwen któregoś lutowego poranka.

– Mhmm! – potwierdziła.

– O co ci chodzi?

– Znowu się wybierasz do Nowego Jorku, co?

Zaśmiałem się.

– Cóż, zastanawiałem się nad krótką wizytą, taką na jeden wieczór.

– No jasne.

Jak miło było znów jechać mostem Jerzego Waszyngtona i przejechać most brooklyński. Przyjemnie było znów chodzić tymi ulicami pokonując zasy śniegu, jak to robiłem wtedy, kiedy przyjechałem do tego miasta po raz pierwszy. Byłem zaskoczony tym, jak swojsko się tu czuję. Chciałem odwiedzić starych znajomych. Chciałem znów odwiedzić te miejsca, gdzie się wydarzył cud w sercach chłopców.

Jednym z tych miejsc było osiedle Fort Greene. Szedłem ulicą odświeżając sobie w pamięci to, cośmy tu przeżyli z Jimmy'm Stahlem, kiedy nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła.

– Davie! Pastorze!

Odwróciłem się i zobaczyłem, że biegnie w moją stronę dwóch przystojnych czarnoskórych żołnierzy. Byli ubrani w piękne, świeżo wyprasowane mundury, a ich buty po prostu lśniły.

Gapilem się na nich z niedowierzaniem:

– Kasiarz, Dylizans! – ledwie ich rozpoznałem: każdy z nich musiał przytyć chyba z 10 kilo.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem stając na baczność. – Dobrze się prezentujemy, co Davie?

Dla chłopców z blokowiska zaciągnięcie się do wojska to szczyt marzeń. Związany z tym wymóg umiejętności czytania i pisanja oraz bardzo dobrego stanu zdrowia sprawiają, że noszenie munduru traktowane jest jak zaświadczenie o pełnowartościowości człowieka. Wszyscy trzej ucieszyliśmy się z ponownego spotkania. Chłopcy powiedzieli, że dobrze im się układa. Po naszym spotkaniu na ulicy opuścili gang i nigdy już do niego nie wrócili.

– Tak właściwie – powiedział Dylizans – gang Kapelanów się rozpadł i przez resztę lata już nie działał. Nikomu już nie chciało się bić.

Rozstawałem się z nimi z niekłamanym żalem. Byłem zaskoczony tym, jak mocno poruszyło mnie to niespodziewane spotkanie. Polubiłem tych chłopców i brakowało mi ich bardziej niż to sobie uświadamiałem.

Tymczasem czekała mnie jeszcze większa niespodzianka.

Ruszyłem dalej Edward Street, minąłem latarnię, przy której razem z Jimmym głosiliśmy ewangelię; rozglądałem się za Izraelem i Nickym. Zobaczyłem jakiegoś latynoskiego chłopaka – wydało mi się, że go znam, więc zapytałem go, czy wie co się dzieje z Nickym i Izraelem z Mau Mau. Chłopak spojrzał na mnie dziwnie.

– Ma pan na myśli tych zadymiarzy, którzy zmienili się w świętych?

Miał to być dowcip, ale moje serce podskoczyło z radości. „Chwała Bogu! – pomyślałem – wytrwali!”

Jednakże następna wiadomość przyprawiła mnie o zawrót głowy. Nie tylko wytrwali w swojej decyzji, ale jeszcze do tego Nicky całkiem nieźle sobie radził.

– A, Nicky! – powiedział chłopak prychnąwszy pogardliwie – Kompletnie mu odbiło. Chce zostać jednym z tych zwariowanych kaznodziejów.

Stałem na ulicy z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Czy ja dobrze słyszę? Nicky chce zostać kaznodzieją?

– Tak przynajmniej twierdzi.

Chciałem wiedzieć, gdzie go mogę znaleźć. Kiedy wspominał o kaznodziejstwie? Komu o tym mówił? Czy poczynił już w tej sprawie jakieś kroki? Chłopak nie mógł mi odpowiedzieć, więc sam ruszyłem na poszukiwanie Nicky’ego.

Znalazłem go nieco później. Siedział na schodach jednego z domów i rozmawiał z jakimś chłopakiem.

– Nicky? – powiedziałem.

Nicky odwrócił się i ujrzałem zupełnie nie znaną mi przedtem twarz. Nie miała już tego twardego, zaciętego, wyrazu; była to otwarta, ożywiona, pełna uroku i entuzjazmu twarz chłopca. Jego oczy płonęły prawdziwą radością.

– Pastorze! – zerwał się na równe nogi i podbiegł do mnie. – Davie! – odwrócił się do chłopaka, z którym siedział. – Zobacz, to jest ten pastor, o którym ci opowiadałem. Ten, co się tak na mnie wziął.

Dobrze było znów go zobaczyć. Po przedstawieniu nas sobie i wstępnej wymianie uprzejmości, zapytałem Nicky’ego, czy rzeczywiście chce się zaangażować w służbę.

Nicky spuścił głowę i wbił wzrok w chodnik.

– Nigdy niczego bardziej nie pragnąłem, Davie – powiedział.

– To wspaniała nowina! – odrzekłem. – Powiedz mi, czy zacząłeś już coś w tym kierunku robić?

– Nie bardzo wiem od czego zacząć.

Miałem setki pomysłów. Zaproponowałem, że napiszę do którejś ze szkół teologicznych. Sam chciałem go sponsorować. Chciałem, żeby zgłosił się do jakiejś specjalistycznej poradni ze swoimi problemami z mówieniem. Miałem nawet kilka pomysłów na to, jak zdobyć potrzebne na to pieniądze. Dostałem zaproszenie, żeby kilka tygodni później w jednym z kościołów w Elmirze, mieście stanu Nowy Jork, mówić na temat problemów młodzieży mieszkającej w miastach. Jak na ironię, właśnie tam przebywał kiedyś w więzieniu Luis Alvarez. Zwykle nie trzymają tam nastolatków zbyt długo, więc do tej pory pewnie go już gdzieś przeniesiono, nie miałem pojęcia gdzie.

– Nicky – powiedziałem – nie pojechałbyś ze mną do Elmiry? Nie opowiedziałbyś tamtym ludziom swojej historii? Może oni byliby w stanie ci pomóc.

Kiedy tylko to zaproponowałem, niemal natychmiast opadły mnie wątpliwości. Historia życia Nicky’ego, na tyle na ile ją znałem, była wyjątkowo paskudna, pełna przemocy i dziwnie nieracjonalna, przez co mogłaby być w Elmirze trudna do zrozumienia. Sam zdążyłem się już przyzwyczaić do nieprzyjemnych widoków i odgłosów Nowego Jorku, a mimo to nawet ja uważałem tę historię za szokującą.

Ale przecież, przekonywałem sam siebie, kościół w Elmirze wyraził życzenie dowiedzenia się czegoś o gangach: byłoby to rzeczywiście szybkie wprowadzenie w temat. Ja zaś miałbym okazję po raz pierwszy wysłuchać opowieści Nicky’ego od początku do końca, a co najlepsze, mógłbym też spojrzeć na wydarzenie w hali St. Nicholas z nieco innej perspektywy.

W taki oto sposób doszło do tego, że kilka tygodni później Nicky stanął przed wspólnotą w Elmirze w stanie Nowy Jork, żeby opowiedzieć historię swojego życia. Zapowiadając go podkreślałem ubóstwo i samotność, w których wyrastają chłopcy tacy jak on. Chodziło mi o to, aby słuchacze nie osądzili go zbyt surowo, zanim nie usłyszą wszystkiego, co ma do powiedzenia.

Było to zupełnie niepotrzebne. Już od pierwszej chwili zdobył sympatię wszystkich zgromadzonych. Autentyczność jego słów, żałosnie wąski wachlarz jego życiowych doświadczeń – wiedział wszystko o życiu ulicy, ale nic poza tym – i sam sposób opowiadania: niewprawny, urywany, pozbawiony przesady i upiększeń, mówiły o świecie, z którego pochodził więcej, niż całe tomy socjologicznych opracowań.

– Większość życia spędziłem na ulicy – zaczął – bo w naszym mieszkaniu rodzice przyjmowali klientów. Przychodzili w nocy albo w dzień, a wtedy wszystkie dzieci musiały wyjść z domu. Moi rodzice byli spirytystami. Dawali ogłoszenia do hiszpańskich gazet, że potrafią kontaktować się ze zmarłymi i leczyć choroby, udzielali też porad dotyczących problemów finansowych i rodzinnych.

Mieliśmy tylko jeden pokój, więc my, dzieci, musieliśmy być na ulicy. Z początku inne dzieci mnie biły i cały czas się bałem, ale potem nauczyłem się walczyć, więc to one zaczęły się mnie bać i zostawiły mnie w spokoju. Po jakimś czasie wołałem już przebywać na ulicy niż w domu. Tam byłem najmłodszy. Byłem niczym. A na ulicy wszyscy wiedzieli kim jestem.

Moja rodzina często się przeprowadzała i to zwykle z mojego powodu. Jak tylko były jakieś kłopoty, od razu zjawiali się policjanci, zadawali pytania, a potem administrator mówił rodzicom, że musimy się wyprowadzić. Nie życzo no sobie mieszkańców, którzy mieli kłopoty z policją. Tak było nawet wtedy, kiedy policja chciała jedynie o coś zapytać. Jeśli chodziło o Portorykańczyka, nie było istotne, czy naprawdę coś przeskrobał. Wystarczyło, że zapytała o niego policja, a już cała rodzina musiała się wynosić.

Nie wiedziałem, czemu tak właśnie się zachowuję. Było we mnie coś, co mnie przerażało. Cały czas mnie to niepokoiło, ale nie potrafiłem nad tym zapanować. Chodzi o to, co czułem na widok kaleki. Miałem ochotę go zabić. Tak samo było z niewidomymi albo po prostu małymi dziećmi – kimkolwiek, kto był słaby lub cierpiący – nienawidziłem ich.

Któregoś dnia powiedziałem o tym mojemu staremu. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy ani nic, ale to mnie naprawdę przerażało. Więc mu o tym powiedziałem, a on na to, że mam w sobie diabła. Próbował go ze mnie wypędzić, ale mu się nie udało.

To dziwne coś wewnątrz mnie wciąż się potęgowało. Jeśli ktoś szedł o kulach, to mu je kopałem, a jeśli jakiś staruszek miał brodę, to próbowałem mu ją wyrwać, znęcałem się też nad małymi dziećmi. Cały czas się bałem i chciało mi się płakać, a to coś we mnie tylko się śmiało. Do tego jeszcze ta sprawa z krwią. Kiedy tylko widziałem krew, zaczynałem się śmiać i nie mogłem się pohamować.

Kiedy przeprowadziliśmy się na osiedle Fort Greene, wstąpiłem do Mau Mau. Chcieli, żebym był ich przywódcą. Ale w czasie zadymy przywódca musi wydawać rozkazy, a ja chciałem się bić. Więc zostałem zastępcą szefa.

Byłem też generałem broni. To znaczy, że byłem odpowiedzialny za nasz arsenał. Mieliśmy wojskowe pasy, bagnety, noże sprężynowe i domowej roboty pistolety. Lubiłem chodzić do naszego składu z bronią tylko po to, aby sobie na to wszystko popatrzeć. Żeby zrobić sobie pistolet, trzeba ukraść samochodową antenę. Z niej oraz z części klamki robiło się pistolet, z którego można było strzelać nabojami kalibru 22.

Ale w czasie zadymy wołałem kij bejsbolowy. Wycinałem w pojemniku na śmieci dziurę, przez którą mogłem widzieć, co się dzieje, zakładałem go na głowę i wywijalem kijem. W czasie walki Mau Mau trzymali się ode mnie z daleka, bo kiedy mi tak odbijało, to biłem kogo popadło.

Nauczyłem się też dźgać nożem, czyli wbijać go tak, żeby kogoś zranić, ale nie zabić. Dźgnałem tak szesnaście osób i dwanaście razy byłem w więzieniu. Czasami w gazetach pojawiały się moje zdjęcia. Kiedy szedłem ulicą, ludzie od razu wiedzieli kto idzie i matki natychmiast przywoływały do siebie swoje dzieci.

Gangi też mnie znały. Kiedy raz czekałem na metro, zaszło mnie od tyłu pięciu gości. Zarzucili mi na szyję skórzany pas i coraz mocniej go zaciskali. Przeżyłem to, ale często

później żałowałem, że nie umarłem, bo od tego czasu nie mogę normalnie mówić. Mój głos brzmiał odtąd tak śmiesznie. Tak bardzo nienawidziłem ludzi, z którymi coś jest nie w porządku, a teraz sam się taki stałem. Biłem się więc jeszcze więcej, żeby nadal mnie szanowali.

Naszemu gangowi podlegał rejon aż do Coney Island i Ralph Avenue. Nosiliśmy czerwone kurtki z literami MM na plecach i buty na grubych podeszwach, które przydawały się w czasie walki. Któregoś dnia poszliśmy do cukierni przy Flatbush Avenue. Było nas sześciu. Piliśmy sobie oranżadę i wtedy zjawili się siedmiu Biskupów. Mau Mau prowadzili wtedy z nimi wojnę.

Jeden z Biskupów podszedł do kontuaru zupełnie jakby był jego właścicielem. Moi chłopcy patrzyli, co z tym zrobić. Podszedłem i pchnąłem go. No to on pchnął mnie. Za chwilę bili się już wszyscy. Żona właściciela zaczęła krzyczeć. Wszyscy klienci wybiegli na ulicę. Na ladzie leżał rzeźnicki nóż. Jeden z moich chłopaków złapał go i ciął jednego z Biskupów pięć razy przez głowę. Zobaczyłem krew i zacząłem się śmiać. Wiedziałem, że ten chłopak jest już praktycznie martwy i byłem przerażony, ale nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Żona właściciela dzwoniła na policję. Wtedy inny z moich chłopaków podniósł ten nóż i wbił go jej w brzuch. Potem prysnęliśmy.

Nawet nie tknąłem tego noża, więc nie poszedłem do więzienia. Ale moi rodzice musieli pójść do sądu i wtedy chyba po raz pierwszy zwrócili na mnie uwagę. Przestraszyli się, bo zobaczyli jaki się stałem. Postanowili wyjechać z Nowego Jorku i wrócić do Puerto Rico. Razem z bratem pojechałem na lotnisko ich pożegnać. W drodze powrotnej brat dał mi w samochodzie pistolet kaliber 32 i powiedział:

– Nicky, musisz sobie teraz radzić sam.

Przed wszystkim musiałem znaleźć jakieś miejsce do spania. Napadłem na jakiegoś faceta, zagroziłem mu pistoletem i zdobyłem dziesięć dolarów. Wynająłem pokój przy Myrtle Avenue. Miałem wtedy szesnaście lat. Tak właśnie później żyłem: napadałem na ludzi, żeby zdobyć pieniądze albo coś, co można było zastawić.

Za dnia wszystko było w porządku. Byłem z moim gangiem. Robili wszystko, co szef i ja im kazaliśmy. Ale w nocy, kiedy musiałem wrócić do tego pokoju, było strasznie. Myślałem o tych zabitych ludziach z cukierni. Żeby przestać o nich myśleć, waliłem głową w podłogę. Zacząłem budzić się w środku nocy i wołać matkę. Zanim wyjechała, nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą ani nic, ale nagle poczułem, że powinna wrócić i się mną zająć.

W lipcu 1958 skończyłem osiemnaście lat. Wtedy właśnie Smoki z osiedla Red Hooks zabili jednego z naszych chłopaków. Szliśmy do metra, żeby któregoś z nich dorwać. Takie jest prawo gangu: jeśli ginie jeden Mau Mau, umiera jeden Smok. Szliśmy właśnie Edward Street do stacji metra, kiedy zauważyliśmy zatrzymujący się radiowóz i całą masę Kapelanów. Kapelani to gang czarnych z Fort Greene. Mieliśmy z nimi układ, że nie będziemy ze sobą walczyć i połączymy siły, jeśli napadnie na nas inny gang.

Coś tam się działo, więc podeszliśmy bliżej. Kapelani stali wokół dwóch facetów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Jeden miał trąbkę, a drugi był strasznie chudy. Wtedy ktoś przyniósł amerykańską flagę i radiowóz odjechał. Okazało się, że ci dwaj faceci chcą po prostu zrobić uliczne nabożeństwo.

Kiedy tylko pojawiła się flaga, ten chudy wszedł na krzesło, otworzył książkę i oto co z niej wyczytał:

„Tak bowiem Bóg umiłował świat, że dał swego Jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”.

„Słuchajcie – powiedział kaznodzieja – powiem wam coś o „każdym”. Słowo „każdy” oznacza Murzynów, Portorykańczyków, a zwłaszcza członków gangów. Czy wiecie, że kiedy ukrzyżowano Jezusa, to ukrzyżowano też członków gangów? Po jednym z każdej strony...”

„Dobra, mam dosyć – powiedziałem – chodźcie, chłopaki, mamy robotę”. Żaden nawet nie drgnął. Po raz pierwszy mnie nie posłuchali. Wtedy się przestraszyłem i obrzuciłem kaznodzieję wszystkimi znanymi mi wyzwiskami. Nie zwrócił na to uwagi, tylko cały czas mówił, bardzo długo.

A potem, tak po prostu, przywódca Kapelanów na środku ulicy padł na kolana i zaczął płakać. Jego zastępca i dwaj „wielcy wojownicy” uklękli przy nim i też płakali. Płacz to było coś, czego naprawdę nie znośłem. Ucieszyłem się, kiedy Kapelani wreszcie sobie poszli. Myślałem, że my też już się zmyjemy.

Ale wtedy widzę, że ten kaznodzieja nagle podchodzi do Izraela – szefa Mau Mau – i zaczyna się z nim witać. Pomyślałem, że pewnie chce rozwalić nasz gang, więc podszedłem i popchnąłem go. Izrael spojrzał na mnie tak, jakby mnie nigdy wcześniej nie widział.

A ten kaznodzieja mówi: „Nicky – kocham cię”.

Nigdy w życiu nikt mi czegoś takiego nie powiedział. Nie wiedziałem co z tym zrobić. Mówię do niego: „Tylko się do mnie zbliż, pastorku, to cię zabiję!” I naprawdę bym to zrobił. Izrael pogadał jeszcze trochę z tym kaznodzieją, aż w końcu tamten sobie poszedł i myślałem, że już po wszystkim. Tylko że już nigdy nie dorwaliśmy tych Smoków.

Ale później ten kaznodzieja wrócił i nawijał o tym dużym spotkaniu dla gangów, które miało się odbyć na Manhattanie, i że powinniśmy przyjść. „Chcielibyśmy przyjść, pastor – mówi Izrael – ale jak się przedostaniemy przez Chinatown?” „Przyślę po was autobus” – mówi tamten. Więc Izrael powiedział, że przyjdziemy.

„Dobra – mówię na to – ale beze mnie”. Wołałem umrzeć niż iść na to spotkanie. Ale kiedy gang tam jechał, w końcu tak wyszło, że pojechałem z nimi. Bałem się zostać bez gangu. Pomyślałem sobie, że mu popsuję to jego modlitewne spotkanko. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, okazało się, że czekają na nas trzy rzędy na samym przedzie. To mnie trochę zaskoczyło. Kaznodzieja powiedział, że zarezerwuje dla nas miejsca, ale nie sądziłem, że naprawdę to zrobi.

Jakaś pani grała na organach i podpuściłem chłopaków, żeby zaczęli tupać i krzyczeć, no żeby wszystkich rozkręcić. Potem na scenę wyszła jakaś dziewczynka i zaczęła śpiewać. Zagwizdałem na nią i wszyscy zaczęli się śmiać. Wszystko szło po mojej myśli i fajnie się czułem.

W końcu wyszedł ten kaznodzieja i powiedział: „Przed kazaniem zbierzemy kolektę”.

Pomyślałem, że wreszcie łapię, o co mu chodzi. Cały czas zastanawiałem się, na co mu to wszystko. Teraz wiedziałem już, że to taki sam naciągacz jak wszyscy inni.

„Poprosimy członków gangów, żeby ją sami zebrali – powiada. – Przejdą tamtędy, za kurtyną i przyniosą pieniądze na scenę.”

Pomyślałem, że ma nie po kolei w głowie: każdy widział, że za tą kurtyną są drzwi!

„Czy mogę prosić sześciu ochotników?” – pyta.

Mówię wam, zaraz byłem na nogach. Wyzaczyłem pięciu chłopaków i szybko stawiliśmy się na podium. Teraz miałem okazję go ośmieszyć. Dał nam kartonowe pudełka. Chciałem od razu zacząć zbierać, ale kazał nam tam stać, a sam wałęsał długą modlitwę. Starałem się nie śmiać.

No a potem obeszlśmy całą salę. Jeśli mi się nie podobało to, co ludzie wrzucali do pudełka, to stałem nad nimi tak długo, dopóki nie włożyli więcej. Wszyscy znali Nicky’ego. Potem spotkaliśmy się za kurtyną.

Były tam te drzwi. Szeroko otwarte. Widziałem światła na ulicy i słyszałem jak przejeżdża polewaczka. Na sali niektórzy się śmiali. Wiedzieli, co kombinujemy. Moi chłopcy patrzyli na mnie, czekając aż powiem, że się zrywamy.

A ja po prostu stałem. Nie wiem co to było, takie dziwne uczucie. Nagle dotarło do mnie o co tu chodzi: ten kaznodzieja mi zaufał. Nigdy mi się to wcześniej nie zdarzyło, więc po prostu tam stałem, a chłopcy patrzyli na mnie wyczekująco.



Słyszałem, że tam w środku wszyscy nieźle się z niego nabijają. Krzyczeli, tupali, a on stał i musiał to znosić, bo mi zaufał.

„Dobra, chłopaki – powiedziałem – idziemy na scenę”. Spojrzeli na mnie jakby mi kompletnie odbiło, ale nigdy mi się nie sprzeciwiali. Byłem takim facetem, któremu dzieciaki nigdy się nie sprzeciwiały. Weszliśmy po schodach. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak szybko uciszającej się gromady ludzi. Oddaliśmy mu te pudełka. „Twoje pieniądze, pastor” – powiedziałem.

Wziął je ode mnie tak po prostu, nie zaskoczony ani nic, jakby cały czas wiedział, że je przyniosę.

No a potem poszedłem z powrotem na swoje miejsce i zacząłem główkować jak nigdy w życiu. On zaczął mówić i cały czas gadał o Duchu Świętym. Mówił, że Duch Święty może wejść do wnętrza człowieka i go oczyścić. Mówił, że nieważne co się zrobiło, bo Duch Święty może sprawić, że wszystko można zacząć od nowa, zupełnie jakby się było niemowlakiem.

Nagle zapragnąłem tego tak bardzo, że nie mogłem wytrzymać. Czułem się tak, jakbym po raz pierwszy zobaczył siebie. Stały mi przed oczami cały mój brud, nienawiść i zepsucie.

„Możesz się stać innym człowiekiem – powiedział – twoje życie może się odmienić!” Chciałem tego, potrzebowałem tego, ale wiedziałem, że w moim przypadku to niemożliwe. Kaznodzieja powiedział, że jeśli chcemy zostać odmienieni, to żebyśmy wyszli naprzód. Wiedziałem, że to nie dla mnie.

Wtedy Izrael powiedział, żebyśmy wszyscy wstali. „Ja jestem szefem – powiedział – a cały ten gang ma wyjść tam do przodu!”

Byłem tam pierwszy. Uklęknąłem i po raz pierwszy w życiu się pomodliłem: „Drogi Boże, jestem najgorszym grzesznikiem w Nowym Jorku. Pewnie mnie nie chcesz. Ale jeśli mnie chcesz, to jestem twój. Chcę być tak dobry z powodu Jezusa, jak bardzo wcześniej byłem zły”.

Później kaznodzieja dał mi Biblię i poszedłem do domu zastanawiając się, czy naprawdę jest we mnie Duch Święty, a kiedy wszedłem do mojego pokoju i zamknąłem za sobą drzwi, już się nie bałem. Czułem się tak, jakbym w pokoju nie był sam – nie żeby był ze mną Bóg czy ktoś w tym rodzaju, tylko jakoś tak, jakby wróciła moja matka. W kieszeni miałem cztery skrety z marihuaną. Zniszczyłem je i wyrzuciłem przez okno.

Następnego dnia wszyscy się na mnie gapili, bo już się rozniosło, że Nicky się stał religijny. Ale stało się coś innego, co mnie upewniło, że to prawda. Małe dzieci zawsze na mój widok uciekały, a tamtego dnia dwaj chłopcy przez chwilę mi się przyglądali, po czym do mnie podeszli. Chcieli, żebym ich zmierzył i powiedział, który z nich jest wyższy – nic wielkiego. Tylko że ja objąłem ich ramionami, bo wiedziałem, że naprawdę coś się we mnie zmieniło, nawet jeśli widzą to tylko dzieci.

Kilka tygodni później podszedł do mnie jeden chłopak z gangu Smoków i powiedział: „Czy to prawda, że już nienosisz przy sobie broni?” Powiedziałem, że tak, a wtedy on wyciągnął dziesięciocalowy nóż i zamierzył się nim w moją pierś. Chwyciłem ten nóż. Nie wiem czemu, ale on uciekł, a ja stałem patrząc na moją krwawiącą rękę. Wiedziałem, że na widok krwi zawsze mi odbijało, ale wtedy tak się nie stało. Przyszły mi do głowy słowa, które przeczytałem w Biblii: „Krew Jezusa Chrystusa oczyszcza nas od wszelkiego grzechu”. Oddarłem kawałek swojej koszuli i obwiązałem rękę. Od tamtego dnia przestałem już tak dziwnie reagować na widok krwi.

Gdy Nicky mówił, na sali panowała ogromna, jakby wypełniona oczekiwaniem na cud, cisza. Bowiem tamtego wieczoru w Elmirze oglądaliśmy własnymi oczyma, a raczej usłyszeliśmy na własne uszy prawdziwy cud. I kiedy kolejni słuchacze uświadamiali sobie, co się dzieje, wstrzymywali oddech z takim westchnieniem, które zwracało na to uwagę innych.

Zduszony, przykry, rwący się głos, którym Nicky rozpoczął swoją opowieść, w trakcie mówienia stopniowo się zmieniał. Słowa zaczynały przychodzić mu łatwiej, dźwięki stawały się wyraźniejsze, aż w końcu mówił tak wyraźnie i bez wysiłku, jak inni. Nicky dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Stał na podwyższeniu roztrzęsiony, niezdolny, by dalej opowiadać, a po jego twarzy płynęły łzy.

Nigdy się nie dowiedziałem, co było przyczyną jego trudności w mówieniu: fizyczne uszkodzenie pozostałe po duszeniu go, czy też to, co lekarze nazywają objawem nerwicowym. Rzecz jasna w swoich najśmielszych marzeniach Nicky nie brał pod uwagę możliwości pójścia z tym do lekarza. Wiedziałem tylko tyle, że tamtego wieczoru jego głos został uzdrowiony.

Zebrano wtedy również w Elmirze kolektę, która pomogła Nicky'emu rozpocząć długą i fascynującą podróż.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 12

Siedziałem w swoim brązowym skórzanym fotelu w gabinecie mojego domu w Philipsburghu i z satysfakcją myślałem o wydarzeniach ostatnich kilku miesięcy. Właśnie o tej porze zwykłem niegdyś oglądać telewizję – teraz uznałem, że mam wszelkie powody po temu, żeby się cieszyć z wyboru, jakiego dokonałem. Napisałem do Latinoamerykańskiego Instytutu Biblijnego w La Puente w Kalifornii i przedstawiłem im marzenie Nicky'ego o służbie. Nie ukrywałem jego przeszłości i równie szczerze przyznałem, że nie jest nowym stworzeniem wystarczająco długo, by być dostatecznie utwierdzonym w wierze. Zapytałem, czy mogliby go przyjąć na próbę.

Odpisali, że się zgadzają. Co więcej, tak byli zaintrygowani tą przemianą, której doświadczył chłopak z ulicy, że niedługo później zaprosili do szkoły również Angela Moralesa.

Nie, myślałem sobie, nie ma żadnych wątpliwości. Kasiarzowi i Dylizansowi wiodło się dobrze, Nicky i Angelo przygotowywali się do służby: wszystko wskazywało na to, że szczęśliwie wypełnię zadanie, do którego wykonania zostałem powołany.

Ale nie dane mi było zbyt długo trwać w tym miłym acz błędnym przekonaniu. Wiosną 1959 roku przyszła wiadomość, która znów postawiła mnie w stan gotowości i kazała ponownie ruszyć tą ścieżką, o której wcześniej myślałem, że będzie krótka. Izrael był w więzieniu. I to nie za byle co: znalazł się tam za morderstwo.

Pojechałem do Nowego Jorku, żeby spotkać się z jego matką.

– Mój syn, był taki dobry przez jakiś czas – powiedziała zrozpaczona matka Izraela – On spokojny, chodzi do szkoły i odrabia lekcje. Ale potem znów ten gang. Czy pan wie, co to jest „pobór”, panie Wilkerson?

Nie wiedziałem. Kiedy jakiś gang się dopiero tworzył albo z jakiegoś powodu jego szeregi się przerzedziły, każdy chłopak z okolicy padał ofiarą jednego z najwredniejszych wymysłów walczących gangów. Stawał się po prostu rekrutem. Zatrzymywano go na ulicy i oznajmiano mu, że od tej chwili jest członkiem gangu, ma brać udział w bójkach i słuchać rozkazów gangu.

A gdyby odmówił?

Najpierw było zwykłe bicie. Jeśli nadal odmawiał, łamano mu kciuki albo rękę. Jeśli nadal się opierał, zagrożone było jego życie. Nikt, kto zna gangi, nie lekceważy tej groźby. Większość chłopców godzi się na przystąpienie do gangu. Zanim Izrael w końcu przystąpił do gangu, kilkakrotnie do niego strzelano.

– Mój syn taki przestraszony – powiedziała matka Izraela – On do nich wrócił. Jednej nocy była duża bójka. Któryś z tamtych zginął. Nikt nawet nie twierdził, że to Izrael go zastrzelił. Ale był z tymi mordercami, więc wsadzili go do więzienia.

Matka Izraela pokazała mi list od syna, bardzo sfatygowany i noszący ślady łez. Pisał, że przykro mu z powodu tej tragedii ze względu na nią. Nie wydawał się zgorzkniały. Pisał o dniu, kiedy wyjdzie. Wspomniał też mnie: „Kaznodzieja się zmartwi, kiedy się o tym dowie. Powiedz Daviemu, że chciałbym, żeby się do mnie odezwał”.

Czy mogliśmy temu zapobiec? Co można było zrobić, żeby uchronić Izraela przed więzieniem? Czy gdybym był bliżej, mógł mu doradzić i okazać przyjaźń, mogłoby to coś

zmienić? Czy dałaby mu coś zmiana środowiska, zabranie, by był z dala od gangu, do którego znowu go wciągnięto i od życia, które go zatruwało?

Zapytałem o to matkę Izraela, a ona tylko kręciła głową i powiedziała z nutą żalu.

– Może, nie wiem. Mój syn był przez jakiś czas dobry, potem wrócił. Chciał być dobry. Proszę mu pomóc, panie Wilkerson.

Obiecałem jej, że zrobię wszystko co w mojej mocy. Na początek, powiedziałem, mogę mu przynajmniej wysłać do więzienia jakieś korespondencyjne kursy.

Myślałem o nim dzień i noc. Rozmawiałem o nim z Gwen. Pytałem różnych ludzi z kościoła, co by zrobili na moim miejscu. Napisałem do niego, ale okazało się, że nie wolno mu odpisać. Mógł korespondować tylko z najbliższą rodziną. Nawet kolejne lekcje jego korespondencyjnego kursu musiały przechodzić przez ręce więziennego kapelana. Kiedy nastało wczesne lato, pora, gdy pola Pensylwanii znów zaczynają się zielenić, nadal myślałem o Izraelu intensywniej niż kiedykolwiek. Przy każdej okazji chodziłem na swoją górę i modliłem się o niego.

Jednak nie mogłem mu w żaden sposób pomóc. W chwili, gdy piszę te słowa, Izrael jest nadal w więzieniu. Ten, który spośród wszystkich spotkanych chłopców najbardziej przypadł mi do serca. Świadomość mojej bezsilności wobec jego przestępstwa i kary, którą ponosi, nadal powoduje moją wielką frustrację, taką samą jak wtedy, kiedy po raz pierwszy się o tym dowiedziałem. Pozostaje mi tylko czekanie.

Jednak przy każdej nadarzającej się okazji opowiadałem o nim innym i pytałem, co należało zrobić, żeby temu zapobiec. Raz po raz słyszałem tę samą odpowiedź: czuwać nad ich duchowym rozwojem. Dawaliśmy tym chłopcom możliwość nawrócenia się, ale potem pozostawialiśmy ich samym sobie. I to był ten słaby punkt.

Jednakże żeby móc nad nimi czuwać, trzeba było być na miejscu.

Zbliżałem się do swego rodzaju punktu zwrotnego w moim życiu. I w końcu nadszedł.

Była gorąca sierpniowa noc, od mojej pierwszej nieśmiałej podróży do Nowego Jorku minęło półtora roku. Stałem właśnie za kazalnica na środowym wieczornym spotkaniu modlitewnym, kiedy nagle zaczęły mi się trząść ręce. Termometr wskazywał 30 stopni, a ja trząsałem się tak, jakbym się przeziębiał. Nie byłem jednak chory, nie nękała mnie żadna dolegliwość, odczuwałem natomiast niesamowitą radość. Czułem się tak, jakby to pomieszczenie coraz bardziej i bardziej wypełniał Duch Pański.

Do dziś nie wiem jak udało mi się doprowadzić to nabożeństwo do końca, ale zanim się zorientowałem, ludzie już się zbierali do wyjścia. O dziesiątej trzydzieści zamknąłem kaplicę i wyszedłem tylnymi drzwiami. To, co się stało potem, było całkiem proste, ale był to zarazem jeden z tych momentów, w których prawda objawia się niezwykle wyraźnie i które się pamięta przez całe życie.

Wyszedłem na podwórze. Księżyc świecił bardzo jasno. Uśpione miasto było całe skąpane w jego zimnym i tajemniczym świetle, ale jedno miejsce wydawało się być oświetlone w szczególny sposób. Za kaplicą leżało czteroakrowe obsiane pole. Zboże było już wysokie na pół metra. Pchany jakimś wewnętrznym impulsem wszedłem w sam środek tego kołysanego nocnym powiewem wiatru zboża. Nagle przypomniał mi się biblijny obraz żniwa: „Otóż mówię wam: Podnieście oczy swoje i spójrzcie na pola, że już są dojrzałe do żniwa. Już żniwiarz odbiera zapłatę i zbiera plon na żywot wieczny, aby siewca i żniwiarz wspólnie się radowali. W tym właśnie sprawdza się przysłowie: Inny siewca, a inny żniwca. Ja posłałem was żąć to, nad czym nie trudziliście się; inni się trudzili, a wy zebraliście plon ich pracy”\*.

Oczywiście wyobraźni patrzyłem na każdy kłos zboża jak na młodego chłopaka czy dziewczynę z ulic miasta, pragnących zacząć wszystko od nowa. Obejrzałem się, by spojrzeć na kościół i plebanię, gdzie była Gwen i dzieci: bezpieczne, szczęśliwe, spokojnie żyjące sobie w małym mieście. Ale kiedy tak stałem i patrzyłem, cichy głos w moim wnętrzu przemówił tak

wyraźnie, jakby mówił do mnie stojący tuż obok mnie przyjaciel. „Ten kościół już nie jest twój” – usłyszałem. „Masz wyjechać”.

Spojrzałem na plebanię i ten sam cichy głos powiedział: „Ten dom już nie jest twój. Masz wyjechać”.

Wtedy tym samym, cichym głosem odpowiedziałem w swoim wnętrzu: „Tak, Panie, pojadę”.

Potem poszedłem na plebanię, gdzie czekała na mnie Gwen. Była już gotowa do snu, ale gdy na nią spojrzałem, zauważyłem, że ona również przeżyła coś niezwykłego.

– O co chodzi, Gwen?

– Co masz na myśli?

– Coś się w tobie zmieniło.

– Dawidzie – powiedziała – nie musisz mi mówić. Już wiem. Zamierzasz stąd odejść, prawda? Musisz wyjechać.

Patrzyłem na Gwen dłuższą chwilę, zanim jej wreszcie odpowiedziałem. We wpadającym do sypialni świetle księżyca dostrzegłem w kąciu jej oka łzę.

– Ja usłyszałam to samo, Dawidzie – powiedziała Gwen – Wyjeżdżamy, prawda?

Objąłem ją w ciemności.

– Tak, moja kochana, wyjeżdżamy.

W następną niedzielę wypadała piąta rocznica objęcia przeze mnie funkcji pastora w kościele w Philipsburghu. Stałem tamtego ranka za kazalnica i patrzyłem na twarze tak dobrze znanych mi ludzi.

– Moi przyjaciele – powiedziałem – pewnie spodziewacie się, że moje kazanie będzie związane z dzisiejszą rocznicą. Jak wiecie, zarówno dla mnie jak i dla mojej żony i dzieci było to pięć niezwykle szczęśliwych i wspaniałych lat. Dwoje z naszych dzieci urodziło się tutaj, w Philipsburghu. Zawsze będziemy wspominać te lata jako czas szczególnie bliskich łączących nas z wami więzów.

Jednak we środę wieczorem zdarzyło się coś niezwykłego – coś, co wytłumaczyć można tylko w jeden sposób.

Opowiedziałem zgromadzeniu o moim przeżyciu wśród zbóż i o tym, że Gwen przebywająca w tym samym czasie w domu przeżyła coś bardzo podobnego. Powiedziałem im, że nie wątpię w to, że to głos Boży, i że muszę mu być posłuszny. Dodałem, że nie umiem odpowiedzieć na pytanie, gdzie mamy jechać. Podejrzewam, że będzie to Nowy Jork, ale nie mam pewności. Wiem tylko, że mamy opuścić Philipsburgh – teraz, bez zwłoki.

Jakie to niesamowite być prowadzonym przez Ducha Świętego! Kiedy po południu wróciłem do domu, zaczęła się seria telefonów. Jeden był z Florydy, od pastora, który twierdził, że czuje nieodparcie, że musi do mnie zadzwonić i zaprosić mnie, żebym natychmiast przyjechał i poprowadził w jego kościele serię spotkań rekolekcyjnych. Potem był następny telefon i jeszcze kolejny, tak że zanim dzień dobiegł końca, miałem plan usługiwania w całym kraju w ciągu następnych dwunastu tygodni. Po upływie trzech tygodni oddaliśmy do przechowania nasze meble i przeprowadziliśmy się z plebani do czterech pokoi w domu moich teściów.

Potem ruszyłem w trasę. Przez resztę lata, a także część następnej zimy przemawiałem na zgromadzeniach w różnych miastach i miasteczkach w całym kraju. Sam się z siebie śmiałem: sprawdzałem ile jest kilometrów do kolejnego miejsca nie stamtąd, gdzie właśnie się znajdowałem, ale z Nowego Jorku. To miasto przyciągało mnie jak magnes. Kiedy to tylko było możliwe, wybierałem na usługę miejsca leżące jak najbliżej tego ogromnego, przeludnionego, przepełnionego cierpieniem miasta, które było tak bliskie memu sercu.

Pod koniec zimy 1960 roku posługiwałem w Irvington w stanie New Jersey. Mieszkalem tam u pastora, Reginalda Yake'a, i opowiedziałem mu, jak to zresztą zwykle robiłem, o niektórych z moich nowojorskich przeżyć. Siedząc na oparciu kanapy, Pastor Yake przez godzinę uważnie mnie słuchał, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie.

– Dawidzie – powiedział w końcu – wydaje mi się, że kościoły potrzebują pełnoetatowego pracownika wśród nowojorskich gangów. Jeśli pozwolisz, zadzwonię do kilku moich znajomych w tym mieście.

Zadzwonił między innymi do Stanleya Berga, drugiego pastora kongregacji Glad Tidings Tabernacle na Trzydziestej Trzeciej Zachodniej ulicy, w pobliżu Penn Station. Spotkanie dla zainteresowanych duchownych zostało zaplanowane w podziemiach kościoła pastora Berga.

Przebiegało to dość zwyczajnie. Ktoś przeczytał pismo od komisarza policji, Kennedy'ego, wzywające kościoły do intensywniejszej pracy wśród młodocianych. Pan Berg powiedział trochę o pracy, którą wykonałem do tej pory. Potem ja mówiłem o tym, w jakim kierunku, moim zdaniem, mogłaby pójść praca wśród nastolatków.

Przed upływem spotkania, narodziła się nowa misja. Jej głównym celem było zanieśenie młodzieży wieści o Bożej miłości, dlatego też nazwaliśmy ją Teen-Age Evangelism (Ewangelizacja Wśród Nastolatków). Ponieważ już wcześniej byłem zaangażowany w taką pracę, zostałem wybrany na dyrektora nowo powstałej organizacji. Pewien kapitan policji, niejaki Paul DiLena, parafianin pana Berga, został wybrany na sekretarza i skarbnika. Biedny Paul: nie było go na spotkaniu, więc nie mógł odmówić.

Następnie zajęliśmy się kwestią pieniędzy. Została ona rozwiązana bardzo prosto. Uznaliśmy, że na wynajęcie biura, druk, pensje i inne rzeczy potrzebujemy co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. Więc przyznaliśmy sobie budżet w wysokości dwadzieścia tysięcy dolarów. Rzecz jasna nie mieliśmy żadnej gotówki, o czym niedługo później przekonał się nasz sekretarz i skarbnik w jednej osobie, kiedy to Stanley Berg zadzwonił, żeby go powiadomić o zwycięstwie jego kandydatury w głosowaniu.

– Paul – powiedział pastor Berg – mam dla ciebie dobrą wiadomość. Właśnie zostałeś wybrany na skarbnika misji Teen-Age Challenge. W tym boju o młodzież twoim dyrektorem jest Dawid Wilkerson. Pewnie ucieszy cię też to, że na pierwszy rok dysponujesz budżetem w wysokości dwadzieścia tysięcy dolarów.

Na to kapitan DiLena:

– Kto to jest Dawid Wilkerson, kto ma księgi rachunkowe i gdzie są te pieniądze?

– Paul – odpowiedział na to pastor Berg – nie ma żadnych ksiąg ani pieniędzy, a Dave Wilkerson jest kaznodzieją z Pensylwanii, który wierzy, że jego miejsce jest w Nowym Jorku. Paul się roześmiał.

– To wszystko brzmi dość naiwnie – powiedział.

– Jesteśmy naiwni, Paul – powiedział pastor Berg – tak naiwni, jak Dawid, który wystąpił przeciwko Goliatowi uzbrojony tylko w procę, kamyk... i przekonanie, że Bóg jest po jego stronie.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 13

Był wietrzny, szary, lutowy poranek, niemal dokładnie dwa lata później od tego również lutowego dnia, kiedy to sprzedałem telewizor i zaczęła się ta moja dziwna przygoda.

Stałem za oszklonymi drzwiami na promie płynącym na Staten Island, z trudem uświadamiając sobie, jak wielki postawiliśmy krok w kierunku realizacji mojej wizji. Morze było lekko wzburzone i piana obryzgiwała pokład. Z prawej burty widać było Statuę Wolności i pomyślałem, że to całkiem właściwe, że każdego ranka będę przepływał akurat tędy. Płynąłem bowiem na Staten Island ze szczególną i podsycającą nasze nadzieje misją: miałem wynająć biura dla naszej nowo powstałej organizacji, której zadaniem było nieść wyzwolenie dla młodzieży.

W kieszeni miałem adres, który również brzmiał odpowiednio: 1865 Victory Boulevard (Aleja Zwycięstwa). To właśnie miejsce zaproponowano mi na naszą siedzibę. Kiedy jednak dotarłem do tej „siedziby”, mogłem się tylko uśmiechnąć. Składała się z trzech dość zapuszczonych pokoi w niezbyt eleganckim sąsiedztwie. Był tam sekretariat, gabinet i pokój dyrektorski.

– Dobrze, Panie – powiedziałem – Jestem naprawdę wdzięczny za to, że nie ma tu żadnych luksusów, bo nie wiedziałbym jak się zachować.

Misja Teen-Age Evangelism rozpoczęła swoją działalność właśnie w tych trzech pokojach. Mieliśmy jednego pracownika na pełnym etacie: byłem nim ja. Moja pensja nie wystarczała na wynajęcie choćby najtańszego pokoju w najtańszym domu czynszowym. Obok mojego biurka w gabinecie postawiłem więc sobie wersalkę. Jadłem to, co dało się ugotować na kuchence elektrycznej, albo, przy szczególnych okazjach, gdzieś w mieście z przyjaciółmi, którzy zapraszali mnie na posiłek ze względu na moją rzucającą się w oczy chudość.

Jednak najtrudniejsze do zniesienia było rozdzielenie z rodziną. Gwen została w Pittsburghu z rodzicami i nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła do mnie dołączyć.

– Wiem, że to, co robisz jest właściwie, Dave – powiedziała przy okazji któregoś z naszych telefonicznych spotkań – ale czuję się samotna, a Gary rośnie i nawet nie wie jak wyglądać.

Uzgodniliśmy, że przeprowadzimy się do Nowego Jorku z całą rodziną, kiedy tylko skończy się rok szkolny, nawet gdybyśmy mieli spać na ławce w parku. Jednak zanim to nastąpiło, dostrzegłem pewne zalety mojego ascetycznego trybu życia. Ta mała cela służąca mi za dom okazała się być doskonałym miejscem do modlitwy. Nie było w niej żadnych wygod, które by mnie rozpraszały. W moim pokoju o wymiarach trzy metry na cztery stało tylko biurko, twarde krzesło z prostym oparciem i moja wersalka. Okazało się, że to surowe, służące jako miejsce pracy otoczenie jest doskonałe, gdy chodzi o modlitwę. Więc co wieczór z niecierpliwością wyczekiwałem mojej dawnej pory oglądania telewizji – między północą a drugą nad ranem – jako czasu duchowego odnowienia. Nigdy mi się nie zdarzyło, żebym wstał z kolan nie odświeżony. Zawsze otrzymywałem nową zachętę i świeży entuzjazm.

Ten początkowy okres naszej pracy był pasjonujący. Latynoskie i anglojęzyczne Assemblies of God (Zgromadzenia Boga) z Nowego Jorku i okolic zaopatrzyły mnie w tysiąc dolarów na rozpoczęcie naszej działalności. Większość tych pieniędzy spożytkowałem na przeprowadzenie dwóch eksperymentów.

Pierwszy nazwaliśmy „Operation Saturation” (Operacja Nasycenie). Było to przedsięwzięcie polegające na usiłowaniu dotarcia do wszystkich uczniów szkół średnich w dzielnicach, gdzie nastolatki sprawiały największe problemy, z literaturą omawiającą takie zagadnienia, jak: narkomania, niemoralność seksualna, pijaństwo, masturbacja, przemoc gangów, i przedstawiającą jednocześnie stanowisko Biblii co do tych spraw. Pracowaliśmy w związku z tym projektem bardzo intensywnie. W rozpowszechnianie naszych broszur zaangażowaliśmy setki młodych ludzi z różnych kościołów. Jednakże po trzech miesiącach tej akcji mogliśmy się pochwalić zaledwie garstką chłopców i dziewcząt, których życie naprawdę uległo zmianie. Przeszliśmy więc do drugiego eksperymentu: telewizji. Zebrałem setkę chłopców i dziewcząt, którzy mieli kiedyś jakieś kłopoty, ale znaleźli drogę wyjścia. Utworzyliśmy z nich chór i raz w tygodniu przez kolejnych trzynastu tygodni występowaliśmy w telewizji we własnym programie. Formuła była prosta i dość nowatorska: najpierw dzieciaki śpiewały, a potem jedna osoba opowiadała historię swojego życia.

Wskaźnik oglądalności był zachęcający: byliśmy najwyraźniej bardzo popularni wśród miejskiej młodzieży. Był tylko jeden problem. Telewizja jest droga. Nastolatki z całej okolicy przysyłały swoje drobne oszczędności, żeby pomóc nam w finansowaniu tego programu, ale mimo to pod koniec tych pierwszych trzynastu tygodni mieliśmy cztery i pół tysiąca dolarów długu.

– Wygląda na to, że będziemy musieli zrezygnować z tego programu, zanim doczekamy się poważniejszych rezultatów – powiedziałem na specjalnym spotkaniu naszego komitetu, zwołanym w celu omówienia naszego krytycznego położenia.

Wszyscy zdawali się ze mną zgadzać. Chcieliśmy kontynuować ten eksperyment przez kolejnych trzynastu tygodni, ale wydawało się to po prostu niemożliwe.

Wtedy wstał jakiś człowiek siedzący z tyłu sali. Nigdy wcześniej go nie widziałem: nosił koloratkę i w pierwszej chwili pomyślałem, że jest duchownym Kościoła episkopalnego.

– Chciałbym coś zaproponować – powiedział. Przedstawił się jako pastor Harald Bredesen, duchowny Holenderskiego Kościoła Reformowanego z Mount Vernon w stanie Nowy Jork.

– Oglądałem pana programy i podoba mi się ich bezpretensjonalność, świeżość. Zanim ostatecznie zaniechacie ich nadawania, może zechcielibyście porozmawiać z pewnym moim znajomym?

W odpowiedzi wzruszyłem tylko ramionami, bo nie rozumiałem o co tu chodzi, jednak wystarczająco dobrze znałem metody działania Ducha Świętego, żeby nie wziąć pod uwagę tego, iż być może zamierza właśnie otworzyć przed nami jakieś drzwi.

Następnego dnia Harald i ja udaliśmy się na Manhattan, by zobaczyć się z Chasem Walkerem, wydawcą ilustrowanego czasopisma. Pan Walker wysłuchał uważnie opowieści o naszej pracy i o tym, jak to się wszystko zaczęło. Wydawał się być tym zainteresowany, ale pod koniec rozmowy sprawiał również wrażenie nieco zakłopotanego.

– Ale co ja mogę w tej sprawie zrobić? – zapytał.

– Będę z tobą szczerzy – odrzekł Harald. – Potrzebujemy dziesięć tysięcy dolarów.

Pan Walker zbladł. Ja również.

Wtedy pan Walker zaczął się śmiać.

– Cóż, to zabrzmiało jak komplement. Z całą pewnością nie mam tych dziesięć tysięcy dolarów. A zbieraniem funduszy raczej się nie zajmuję. Jak to się stało, że z tą potrzebą przyszliście właśnie do mnie?

– Właściwie nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – powiedział Harald. – Od czasu jak tylko dowiedziałem się o istnieniu tego projektu, miałem bardzo wyraźne przeświadczenie, że w jakimś sensie trzymasz w swej ręce klucz do tego wszystkiego. Kiedykolwiek o tym myślałem, natychmiast przychodziło mi do głowy: Chase Walker! Nic konkretnego – tylko to. Harald wyczekująco zamilkł. Walker nie odezwał się ani słowem.



– Cóż – powiedział raczej zmartwiony Harald – Pomyliłem się. Ale takie odczucie, zwłaszcza gdy pojawia się z taką siłą, zwykle nie jest bez znaczenia.

Pan Walker wstał z krzesła na znak, że czas naszej wizyty dobiega końca.

– Dam wam znać, jeśli przyjdzie mi coś do głowy. Tymczasem dziękuję, że mi to wszystko opowiedzieliście.

Byliśmy już za drzwiami jego gabinetu, kiedy nagle zawołał nas z powrotem:

– Słuchajcie, Harald, Dawid. Zaczekajcie chwilę...

Zawróciliśmy i z powrotem weszliśmy do biura Walkera.

– Właśnie stało się coś dziwnego. Dostałem dziś telegram, którego zupełnie nie rozumiem.

Przerzucił papiery na swoim biurku usilnie go szukając. Telegram był od W. Clementa Stone'a, prezesa ubezpieczeniowej firmy Combined Insurance Company of Chicago, przyjaciela Walkera. Zawierał następującą wiadomość: „Poprzedni telegram nieważny. Będę w środę w Savoy Hilton”.

– To dzisiaj – powiedział pan Walker – ale nie dostałem żadnego poprzedniego telegramu. I czemu mnie zawiadamia, że będzie w mieście, skoro nie planowaliśmy żadnego spotkania? Może jego sekretarka pomyliła moje nazwisko z kimś innym...

Walker przez chwilę przyglądał się z zaciekawieniem Haraldowi, potem wziął ołówek i pośpiesznie napisał coś na kartce papieru.

– Idźcie do Savoya – powiedział, podając nam tę kartkę w nie zaklejonej kopercie. – Pytajcie o pana Clementa Stone'a. Jeśli tam będzie, posłuchcie się tym listem ode mnie i zobaczcie, co z tego wyniknie. Możecie to przeczytać, jeśli chcecie.

Przeczytaliśmy więc czekając w holu na windę. „Drogi Clem, przedstawiam Ci Dawida Wilkersona, który robi wspaniałą robotę wśród nastolatków w naszym mieście. Dawid potrzebuje na ten cel 10 tys. dolarów. Możesz uważnie wysłuchać, co ma do powiedzenia i, jeśli będziesz tym zainteresowany, jakoś mu pomóc. Chase”.

– To najgłupsza rzecz o jakiej kiedykolwiek słyszałem – powiedziałem Haraldowi – Czy naprawdę sądzisz, że powinniśmy się zobaczyć z tym człowiekiem?

– Oczywiście – odpowiedział Harald. Nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości.

Dwadzieścia minut później pukaliśmy do drzwi jednego z pokoi w Savoyu. Było wpół do szóstej. Otworzył nam mężczyzna zawiązujący sobie właśnie muszkę. Najwyraźniej szykował się do wyjścia na kolację.

– Pan Stone?

Mężczyzna skinął głową.

– Proszę nam wybaczyć, mamy dla pana list od pana Chase'a Walkera.

Stojąc w drzwiach, pan Stone przeczytał liścik, po czym zaprosił nas do środka. Wydawał się tak samo zakłopotany tą sytuacją, jak my. Powiedział, że za kilka minut musi już być na dole, ale, jeśli zechcielibyśmy mówić, chętnie nas posłucha kończąc się ubierać.

Piętnaście minut później pan Stone był już gotowy do wyjścia, a ja dopiero zacząłem wyjaśniać, co to jest misja Teen-Age Ewangelism

– Muszę już wychodzić – powiedział uprzejmie pan Stone – ale jeśli poleca was Chase Walker, to mi wystarczy. Podoba mi się pańska działalność. Proszę przysłać mi swoje rachunki. Zapłacę je do sumy dziesięciu tysięcy.

Harald i ja spojrzeliśmy na siebie całkowicie oszołomieni.

– A teraz panowie wybaczą – pan Stone skierował się do drzwi – Może końcówkę swojej opowieści nagra pan na taśmie i mi przyśle? Kiedy następnym razem będę w Nowym Jorku, złożę panu wizytę. Porozmawiamy o szczegółach... – i już go nie było.

Te dziesięć tysięcy poszło na spłatę naszych długów, opłatę kolejnych trzynastu tygodni i film „Vulture on my veins” (Sęp na moich żyłach) o narkomanii wśród nowojorskiej młodzieży. Ale te pieniądze dały nam też coś więcej niż tylko środki na nakręcenie filmu i zakup czasu antenowego. Pozwoliły też nam jeszcze poważniej traktować tę służbę. Coraz wyraźniej

dostrzegaliśmy w naszej działalności rękę Pana. I jak długo zostawialiśmy prowadzenie Jemu, mogliśmy się radować towarzyszącymi naszej drodze cudami.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 14

Pomimo dobrych recenzji i wysokiej oglądalności, jaką cieszył się nasz telewizyjny program, po pół roku eksperymentowania z tym środkiem przekazu coraz bardziej byłem przekonany, że w naszej działalności brakuje jednego podstawowego elementu: osobistego kontaktu.

Tak więc jeszcze przed końcem drugiej serii naszego programu zacząłem wychodzić na ulice i spotykać się z młodzieżą twarzą w twarz. Zaraz po rozpoczęciu tej działalności, stwierdziłem, że znalazłem najskuteczniejszy klucz pozwalający docierać do ludzi. Jezus nie mógł posługiwać się telewizją ani drukiem. Jego służba polegała na spotykaniu się z człowiekiem twarzą w twarz. Zawsze istotną w tym kontakcie rolę spełniała Jego ciepła, serdeczna osobowość. Gdy tylko powróciłem do swojej pierwotnej metody działania, wychodzenia na ulice, zorientowałem się, że to jest technika, której powinienem się trzymać.

Każdego ranka zamykałem drzwi mojego biura przy Victory Boulevard, i promem, a potem metrem, docierałem do Brooklynu, gdzie po prostu zaczynałem rozmawiać z napotkanymi chłopcami. W wielu przypadkach reakcja była pozytywna. Byłem świadkiem takiej samej zmiany, jaką oglądałem w hali St. Nicholas.

Jednak im lepsze wyniki przynosiła ta moja uliczna ewangelizacja, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę z konieczności zapewnienia tym nawróconym dalszej duchowej opieki. W większości przypadków wystarczało zostawić daną osobę pod opieką którejś z dobrych miejscowych wspólnot. Jednakże chłopcom znajdującym się w poważnych tarapatach lub bez dachu nad głową, trzeba było pomóc w inny sposób.

Pewnego ranka wysiadłem na Manhattanie z promu i schodziłem po schodach do metra, które miało mnie zawieść do Brooklynu. W tym miejscu metro ma do pokonania spory zakręt, na którym koła wydają przenikliwy pisk. Miejsce to jest mi bardzo bliskie. To właśnie tam, przy akompaniamencie pisku kół metra, nagle nabrało rzeczywistego wymiaru moje dawne marzenie.

Ni stąd ni zowąd pojawiło się w mojej głowie w ostatecznej formie. Dom, o którym marzyłem – mogliśmy go nazwać Teen Challenge Center (Ośrodek Teen Challenge) – mieściłby się w samym sercu najgorszej części tego miasta. Byłby bazą wypadową dla około kilkunastu pełnoetatowych pracowników, którzy podzielialiby moje nadzieje co do mieszkającej wokół nas młodzieży, dostrzegaliby w tych młodych ludziach ich wspaniały potencjał i to w jak tragiczny sposób on się marnuje. Każdy pracownik byłby odpowiedzialny za jakąś konkretną dziedzinę: jeden pracowałby wśród członków gangów, inny wśród narkomanów, jeszcze inny zajmowałby się ich rodzicami, a inny działałby wśród Małych Ludzi. Byłyby też wśród nich kobiety: niektóre zajmowałyby się pracą z członkiniami gangów, inne działałby wśród dziewcząt mających problemy natury seksualnej, jeszcze inne – wśród narkomanek.

Tam właśnie, w Ośrodku Teen Challenge, stworzylibyśmy atmosferę tak przepelnioną tą samą odnawiającą miłością, której działanie widziałem na ulicach, że zaraz po przestąpieniu progu tego domu czułoby się, że coś naprawdę wspaniałego jest w zasięgu ręki. Tam moglibyśmy też przyprowadzać młodzież potrzebującą szczególnej opieki. Żyliby w atmosferze dyscypliny i miłości. Uczestniczyliby w naszych spotkaniach poświęconych modlitwie i uwielbianiu, jak również w studiowaniu Słowa.

Widzieliby chrześcijan, którzy razem mieszkają, pracują; mogliby też sami się w tę pracę zaangażować. Właśnie tam, w Ośrodku, wprowadzano by ich i przygotowywano do dalszego życia w Duchu.

Latem 1960 roku, kiedy już od jakiegoś roku pracowałem w Nowym Jorku na cały etat, zacząłem opowiadać o mojej wizji innym ludziom. Odbywałem podróże w celu gromadzenia na to funduszy, opowiadając o tej potrzebie na różnych spotkaniach. Przedstawiałem moje na ten temat wyobrażenia kościołom nowojorskim. Zawsze jednak zadawano mi to samo pytanie.

– Dave, to twoje marzenie ma jeden feler: na to potrzeba pieniędzy.

Rzecz jasna była to prawda. Nigdy nie mieliśmy na koncie sum większych niż jakieś sto dolarów. Gwen musiała mnie ostro skarcić, żebym się otrząsnął z lęku przed realizacją tego przedsięwzięcia jedynie z powodu braku pieniędzy.

Gwen przyjechała do Nowego Jorku kiedy tylko w Pittsburghu skończył się rok szkolny. Znalazłem dla nas małe mieszkanie w pobliżu biura na Staten Island.

– Nie jest to może Conrad Hilton – powiedziałem do Gwen w czasie jednej z rozmów telefonicznych – ale przynajmniej będziemy razem. Pakuj się, przyjeżdżam po was.

– Kochanie – odrzekła Gwen – nawet gdybyśmy mieli mieszkać na ulicy, najważniejsze, że będziemy razem.

Tak więc Gwen przeniosła się na wschód. Z trudem upchnęliśmy wszystkie nasze meble w czterech pokojach, ale byliśmy niebywale szczęśliwi. Gwen bardzo uważnie śledziła wszelkie poczynania nowej misji. Szczególnie interesowała ją moja wizja rodziny działającej we własnym Ośrodku.

– Dawidzie – powiedziała któregoś wieczoru, kiedy po raz kolejny żaliłem się jej na brak funduszy – powinieneś się wstydzić. Zabierasz się za to wszystko nie od tej strony, co trzeba. Próbujesz najpierw zebrać pieniądze, a dopiero potem kupić dom. Jeśli robisz to wszystko w wierze, powinieneś najpierw poświęcić się samemu Ośrodkowi, a potem znaleźć na to fundusze.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to po prostu przejaw kobiecej logiki. Ale im bardziej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej przywodziło mi to na myśl historie opisane w Biblii. Czy nie było zawsze tak, że zanim Bóg dokonał wielkich cudów, najpierw człowiek musiał po prostu przystąpić do działania, choć często mogło ono uchodzić za brak rozwagi? Mojżesz musiał wyciągnąć rękę nad falami morza, by wtedy dopiero się rozstąpiły, Jozue – zadać w trąby, by padły mury Jerycha. Może ja też powinienem coś przedsięwziąć w sprawie kupna siedziby Ośrodka zanim będzie mógł się wydarzyć cud?

Spotkałem się z moim komitetem (tę imponująco brzmiącą nazwę nosiła grupa składająca się z sześciu duchownych i trzech osób świeckich). Wszyscy byli ludźmi oddanymi Bożym sprawom i wystarczająco przejętymi losem młodzieży, żeby poświęcać swój czas naszej organizacji.

Powiedziałem im o palącej potrzebie istnienia takiego domu, w którym członkowie gangów i narkomani mogliby mieszkać pod jednym dachem z chrześcijańskim personelem. Opowiedziałem im o tym, co odczuwała w związku z tą sprawą Gwen, że jej zdaniem najpierw powinniśmy zająć się znalezieniem odpowiedniego miejsca, a potem martwić się o pieniądze potrzebne na jego kupno. Komitet gotów był się z tym zgodzić.

– Możemy to potraktować po prostu jako rodzaj eksperymentu sprawdzającego naszą wiarę – podsunął myśl Arthur Graves, jeden z duchownych w naszym Komitecie.

A oto wydarzenia, które nastąpiły w wyniku podjętej przez nas decyzji:

15 grudnia 1960 roku o drugiej nad ranem, kiedy byłem pogrążony w modlitwie, odczułem bardzo wyraźnie, że powinniśmy się zająć pewną ulicą w Brooklynie. Wiedzieliśmy, że nasz dom powinien się mieścić w samym sercu niespokojnej dzielnicy Bedford-Stuyvesant, więc

zwróciliśmy już naszą uwagę na Fulton Street. Teraz jednak pojawiła się nazwa Clinton Avenue.

Szybko wyjąłem mapę i znalazłem tę ulicę. Czarna linia na kawałku papieru, ale zakreśliłem ją, jakby już było pewne, że taki właśnie będzie adres Ośrodka Teen Challenge.

Nazajutrz zadzwoniłem do kilku członków komitetu i umówiliśmy się, że pojedziemy na Clinton Avenue, żeby się rozejrzeć i sprawdzić jakiego rodzaju stoją tam domy, i czy któryś jest może na sprzedaż. Zanim wyjechałem z domu, zadzwoniłem do Paula DiLeny, naszego skarbnika, i zapytałem ile pieniędzy mamy w kasie.

– A czemu pytasz? – spytał Paul.

– Pomyśleliśmy, że może warto rozejrzeć się za jakimś domem przy Clinton Avenue.

– No pięknie – odpowiedział Paul. – Mamy w tej chwili 125 dolarów i 73 centy.

– Aha.

– To ci nie przeszkadza?

– Nie, jeśli eksperyment się powiedzie. Będziemy cię informować na bieżąco.

Już pierwszy dom, którym się zainteresowaliśmy zdawał się świetnie odpowiadać naszym potrzebom. Był to stary budynek z równie kiepsko wyglądającym napisem NA SPRZEDAŻ i choć stwarzał nieco przygnębiające wrażenie, przynajmniej jego cena, 17 tysięcy dolarów, wydawała się być do przyjęcia. Oprowadzał nas po tym budynku jakiś starszy człowiek. W rozmowie doszliśmy nawet do sprawy płatności. Wyglądało to nieźle. Wyszliśmy stamtąd z myślą, że dziwnie gładko to wszystko poszło.

Jednakże kiedy wróciliśmy tam następnego dnia, starszy pan zaczął się wycofywać z ustaleń, zmieniać warunki. Trwało to tak parę dni, aż w końcu pomyśleliśmy, że powinniśmy poszukać gdzie indziej.

Postanowiliśmy więc rozejrzeć się za innym domem na Clinton Avenue z napisem w oknie NA SPRZEDAŻ. Sprawdziłem konto. Mieliśmy mniej niż 100 dolarów. A tym razem nie był to już dom za 17 tysięcy dolarów, ale zaczęliśmy pertraktacje z właścicielem domu za 34 tysiące. Wcześniej był tam prywatny dom starców. Pod wieloma względami idealnie nadawał się na Ośrodek. Był już w pełni wyposażony w łóżka, biura, pomieszczenia dla personelu. Podczas rozmowy właściciel obniżył też cenę. Już byłem gotów podpisywać umowę, mimo że na koncie mieliśmy tylko sto dolarów i choć wyczuwało się w tym miejscu zatęchłą atmosferę instytucji opiekuńczej.

– Zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję – powiedział Dick Simmons, młody prezbiteriański duchowny i zarazem członek naszego komitetu – mam klucze do domu po drugiej stronie ulicy. Myślę, że powinniśmy rzucić na niego okiem.

– A ile kosztuje? – zapytałem.

Dick zawahał się.

– Kosztuje... no... 65 tysięcy.

– Świetnie – odpowiedziałem – za każdym razem kiedy oglądamy nowy dom, cena idzie w górę, a nasze saldo w dół. Zastanawialiśmy się nad domem za 17 tysięcy, kiedy mieliśmy 125 dolarów. Oglądaliśmy dom za 34 tysiące, kiedy dysponowaliśmy setką. Teraz oglądamy budynek za 65 tysięcy – pewnie się okaże, że mieliśmy do zapłacenia jakieś duże rachunki.

Dom za 65 tysięcy był prawdziwą rezydencją. Muszę przyznać, że kiedy go zobaczyłem, serce zabiło mi żywiej. Był to okazały budynek w stylu georgiańskim, zbudowany z czerwonej cegły. Wyglądał bardzo solidnie, zupełnie jak Monticello.

Jakiż wstrząs czekał nas jednak po wejściu do środka. Nigdy nie widziałem takiej ruiny. Od dwóch lat nikt w nim nie mieszkał. Przez kilka poprzednich lat uczniowie pobliskiego koledżu wykorzystywali go jako coś pomiędzy noclegownią a domem publicznym. Teraz mieszkał tam nielegalnie jakiś stary odludek. Należał do tych starszych osób, które znajdują jakieś swoiste poczucie bezpieczeństwa w gromadzeniu wszelakich rupieci. Wszystkie pokoje domu zapełnił gazetami, potłuczonymi butelkami, drucianymi szkieletami zepsutych parasoli,

dziecięcymi wózkami i szmatami. Każdego ranka wyruszał ze swoim wózkiem ściągniętym z supermarketu, żeby przeszukiwać okoliczne śmietniki, a wszystko co znalazł zawoził następnie do domu. Teoretycznie pełnił funkcję dozorczy tego domu, ale właściciele już dawno przestali od niego czegokolwiek wymagać. Większość rur wodociągowych była popękana, z sufitów i ścian opadał gips, poręcze były pourywane, a drzwi były wyrywane z zawiasów.

Jednak mimo tego wszystkiego, co było widać dookoła, szybko dało się wyczuć, że kiedyś był to dom prawdziwie królewski. Była tam winda, na strychu mieściły się pokoje dla służby, suterena była sucha i w dobrym stanie, podobnie ściany. Chodziliśmy w ciszy po tych smutnych szczątkach, kiedy nagle Harald Bredesen, pastor Holenderskiego Kościoła Reformowanego z Mount Vernon powiedział głośno i wyraźnie, jakby wygłaszał kazanie:

– To jest to miejsce. To właśnie przeznaczył nam Bóg.

Powiedział to tak zdecydowanym tonem, niemal rozkazującym, że zabrzmiało jak proroctwo. To przynaglenie i pewność, z jaką to powiedział, pobrzmiwały w moim wnętrzu przez następne dni i, moim zdaniem, wiązały się w dużej mierze z rodzajem eksperymentu, jaki postanowiliśmy przeprowadzić.

Zwracając klucze do domu Dick Simmons szczerze powiedział właścicielom, że cena 65 tysięcy byłaby właściwa, gdyby dom był w doskonałym stanie, ale czy zagłądali do niego ost2347VB VMNOL Jatnio? Właściciele spuścili cenę. Dick dorzucił jeszcze jakąś uwagę. Właściciele znów obniżyli cenę. Wreszcie rozmowa doszła do punktu, kiedy dość gwałtownie stwierdzili: „Dość, to jest nasza ostateczna propozycja!”. Dick zdołał zbić cenę do 42 tysięcy!

– No i co? – spytałem Dicka.

– No i ubiliśmy niezły interes: w banku nadal mamy całe sto dolarów.

Wydaje mi się, że tak właściwie nie przejmowałem się zbytnio kupnem domu przy 416 Clinton Avenue. Doprowadzenie budynku do stanu używalności wymagałoby wielu tygodni ciężkiej harówki. Bardziej zależało mi na tym, żeby pchnąć naprzód działalność samego Ośrodka, niż tracić czas na remontowanie starego domu.

Z drugiej zaś strony, jeśli rzeczywiście mieliśmy się tam przeprowadzić, to komu miałem się sprzeciwiać? Przed postawieniem kolejnego kroku, musiałem się upewnić, czy to rzeczywiście Boża wola.

Tamtego dnia wieczorem podczas modlitwy przedstawiłem całą sprawę Panu.

– Panie, w przeszłości zawsze dawałeś mi znak, żebym wiedział, co jest Twoją wolą – myślałem o tym, jak Bóg pokazał mi, czy mam objąć funkcję pastora w Philipsburghu i czy pozbyć się telewizora – chciałbym, byś raz jeszcze pozwolił mi wyłożyć przed Tobą runo.

Następnego dnia pojechałem do kościoła Gład Tidings i przeprowadziłem długą rozmowę z panią Marie Brown – pełniła ona w tym pięknym, starym kościółku funkcję asystentki pastora, którym był Stanley Berg. Przedstawiłem nasze potrzeby, powód, dla którego chcieliśmy założyć Ośrodek i opisałem budynek, który znaleźliśmy.

– Dawidzie – powiedziała pani Brown – wszystko to wydaje się być całkiem słuszne. Gdybyś miał kupować ten budynek, ile macie czasu, żeby zebrać pieniądze na zaliczkę?

– Tydzień.

– Może przyszedłbyś do naszego kościoła w niedzielę po południu, można by zorganizować zbiórkę. Co prawda nie jest to najlepsza pora, po południu i tuż przed Bożym Narodzeniem. Ale przyjdź, jeśli chcesz.

Była to wspianiała okazja i z radością przyjąłem zaproszenie. Jednak nadal prosiłem Boga o cud. Chciałem mieć całkowitą pewność, że nasze plany zgadzają się z Jego zamiarami. Wiedziałem, że największa suma, jaką Gład Tidings zebrało kiedykolwiek za jednym razem na cele lokalnej misji to 2 tysiące dolarów. Potrzebowaliśmy dwa razy tyle. Wszak dziesięcioprocentowa zaliczka miała wynosić 4200 dolarów.

– Ale, jeśli Ty, Panie – modliłem się wieczorem – chcesz, żebyśmy mieli ten budynek, możesz nam to pokazać sprawiając, że uda nam się zebrać tę sumę w jedno popołudnie.

Już samo to było trudne, ale, tak jak Gedeon, postanowiłem utrudnić to jeszcze bardziej.

– A do tego, Panie, spraw, żebyśmy zebrali tę sumę nie wymieniając kwoty, która jest nam potrzebna – zamilkłem na chwilę – I jeszcze spraw, żebyśmy ją zebrali bez specjalnego wezwania. Niech to wypłynie z potrzeby serca.

Cóż, kiedy już położyłem przed Panem te wszystkie runa, zrobiło mi się głupio. Było jasne, że nie mam wcale ochoty zajmować się budynkiem wymagającym takiego nakładu pracy. Ale skoro już się pomodliłem, to teraz pozostało mi tylko czekać i zobaczyć, co się też stanie.

Nadeszła niedziela, ostatnia przed Świętami Bożego Narodzenia 1960 roku. Wygłosiłem bardzo proste kazanie. Celowo starałem się, żeby było tak konkretne i pozbawione emocji jak to tylko możliwe. Po prostu przedstawiłem nasz problem, jak i też nasze nadzieje. Opowiedziałem również historie kilku chłopców, których życie dzięki naszej pomocy mogło ulec zmianie. Na koniec nabożeństwa powiedziałem:

– Moi drodzy, nie chcę grać na waszych uczuciach. Chcę, żeby wszystko, jeśli w ogóle ma coś z tego być, było z Ducha. On wie najlepiej ile potrzebujemy. Teraz pójde na dół. Jeśli uznacie, że powinniście dać na ten cel jakąś sumę, chętnie się z wami spotkam.

Potem wymknąłem się tylnym wyjściem i zszedłem do podziemia. Usiadłem przy starej kazalnicy i czekałem. Nigdy nie zapomnę ogarniającego mnie w miarę upływających minut okropnego uczucia. Na ciele wystąpił mi zimny pot, co mnie doprawdy zaskoczyło: do tej chwili nawet nie zdawałem sobie sprawy, że naprawdę zależy mi na budynku przy Clinton Avenue 416. Minęła minuta, a na schodach nie słychać było żadnych kroków. Minęły dwie minuty. Pięć. Po dziesięciu minutach się poddałem: ucieszyłem się, że już po wszystkim. Wiedziałem przynajmniej, że wyłożenie runa tym razem nie zadziałało.

I wtedy lekko otworzyły się drzwi na końcu sali. Weszła bardzo stara kobieta. Podeszła do mnie ze łzami w oczach.

– Pastorze Wilkerson – powiedziała – od piętnastu lat modliłam się o to, żeby ktoś zaczął tutaj taką działalność. Oto dziesięć dolarów, tylko tyle mogę dać, wdowi grosz, ale wiem, że zostanie on pomnożony i przyniesie wielki pożytek.

Zanim jednak wyszła z pokoju, drzwi w końcu sali znów się otworzyły i ktoś przystawił do nich krzesło, żeby się już nie zamykały, potem zaś strumieniem zaczęli napływać ludzie. Kolejną osobą była kobieta około pięćdziesiątki, która podeszła do mnie i powiedziała:

– Pastorze Wilkerson, ostatnio dostałam trochę pieniędzy z opieki społecznej. Chcę je oddać dla pańskich chłopców.

To mnie prawie zważyło z nóg. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Następny był jakiś mężczyzna, który dał dwieście dolarów. Kolejny dał trzysta. Przyszedł też mały chłopiec, który miał tylko czternaście centów, ale powiedział:

– Jest w tym Bóg. Daję panu wszystko, co mam.

Wyglądało na to, że każda osoba ma ofiarować jakąś konkretną kwotę. Pat Rungi, nauczyciel, przyszedł i powiedział:

– Nie zarabiam zbyt dużo, ale pracuję z takimi samymi nastolatkami, jak pan. Wiem, z czym się pan zмага. Jeśli może pan przyjąć czek z odroczoną wypłatą, to chciałbym ofiarować dwadzieścia pięć dolarów.

Samo podejście i położenie przede mną swoich pieniędzy zajęło ustawionym w kolejce ludziom piętnaście minut. Ale każdy z nich przyniósł coś więcej niż tylko pieniądze: zachętę, a przede wszystkim prawdziwą radość dawania i ta radość udzieliła się także mnie. Kiedy w końcu wyszła ostatnia osoba, zabrałem stosik banknotów i czeków na górę, do gabinetu pani Brown. Tam też policzyliśmy pieniądze. Ile tego było? 4400 dolarów!

Powiedziałem wtedy pani Brown o runie, które wyłożyłem przed Panem. Była tym tak samo podekscytowana jak ja. Ciągłe powtarzała, że to cud i że to zgromadzenie jeszcze nigdy

niczego takiego nie widziało. I tym bardziej była pewna, że Bóg sprzyja temu przedsięwzięciu.

Jedyną rzeczą, z której nie zwierzyłem się pani Brown było moje zakłopotanie związane z dodatkowymi dwustoma dolarami. Prosiłiśmy o 4200 dolarów na zaliczkę, a dostaliśmy 4400. Pomyślałem, że było z mojej strony dziecinadą spodziewać się, że cud będzie tak dokładny: czemu jednak dostaliśmy tych dodatkowych dwieście dolarów? Czy miało to obrazować Bożą hojność, być symbolem jakiejś niebiańskiej obfitości? Czy pomyliliśmy się w dodawaniu, albo ktoś wypisał czek, którego nie będziemy mogli zrealizować?

Nic z tych rzeczy. Kiedy skończyliśmy wszelkie obliczenia, było jasne, że po prostu dostaliśmy o dwieście dolarów więcej niż prosiłiśmy.

Kilka dni później siedziałem w swoim biurze i omawiałem sprawę naszych ostatecznych kosztów związanych z zapłaceniem tych 4200 dolarów zaliczki z naszym adwokatem, Juliusem Friedem.

– Masz czek na cztery tysiące dwieście, prawda, Dawidzie?

Podąłem mu go z modlitwą wdzięczności.

Julius poruszył się na krześle z zakłopotaniem, jakby miał do powiedzenia coś nieprzyjemnego.

– Wiesz oczywiście, że nie biorę od Ośrodka żadnych opłat za moje usługi...

To mnie zdziwiło: Julius był członkiem naszego komitetu i wiedziałem, że czas, który nam poświęca, jest jego ofiarą na rzecz naszej działalności.

– Ale pozostali prawnicy muszą zostać opłaćeni, a do tego...

– Do czego zmierzasz, Julius?

– Będziemy potrzebowali pewnej dodatkowej sumy i musimy mieć na nią czek w momencie, kiedy będziemy wpłacać zaliczkę.

– Jaka to suma, Julius?

– Dwieście dolarów.

Reszta pieniędzy składających się na 12 tysięcy potrzebnych do zapłacenia pierwszej raty uzgodnionej z właścicielami trafiła w nasze ręce w równie dziwny sposób. W następną niedzielę, w Bethpage na Long Island, uczestnicy zgromadzenia, do którego zwróciliśmy się z prośbą o wsparcie, na koniec nabożeństwa tłumnie wyszli naprzód i wcisnęli mi do ręki 3 tysiące dolarów. W następnym tygodniu zadzwonił Arthur Graves, żeby powiadomić mnie o decyzji podjętej przez jego kongregację:

– Dawidzie – powiedział – moja rada parafialna przegłosowała pomysł, żeby wysłać mnie z czekiem in blanco i w ten sposób pomóc w zakończeniu transakcji. Żeby dobić targu, możesz go wypełnić na taką sumę, jakiej potrzebujesz.

W taki właśnie sposób Bóg dostarczył nam dokładnie tyle pieniędzy, ile potrzebowaliśmy, żeby stworzyć Ośrodek Teen Challenge. Wszystko było darem, co do centa. W dniu, kiedy oddano nam klucze do pięknej georgiańskiej posiadłości przy Clinton Avenue, powiedziałem mojej żonie:

– Gwen, miałaś rację. Trzeba było kobiety, żeby wskazała nam właściwą drogę. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że zaledwie w ciągu miesiąca od chwili, kiedy zainspirowałaś mnie do zrobienia kroku wiary, zebraliśmy 12 200 dolarów?

Gwen była równie szczęśliwa jak ja.

– Kiedy przypada termin następnej płatności?

– Dopiero na jesieni.

Wydawało się, że mamy jeszcze tyle czasu. Nie miałem pojęcia jak niesamowity czeka nas rok, rok w którym będziemy tak zajęci i tak zadziwieni, że nadejście jesieni, a wraz z nią terminu płatności drugiej raty w kwocie 15 tysięcy spadnie na nas przerażająco nagle.



# Krzyż i sztylet

## Rozdział 15

Nie do wiary ile śmieci może nagromadzić jeden staruszek. Odkryliśmy całe pokoje, o których istnieniu dotąd nie mieliśmy pojęcia, bo drzwi były zasłonięte sięgającymi sufitu stosami śmieci.

– Jak my się tego wszystkiego pozbędziemy – zastanawiała się Gwen pewnego ranka, kiedy przyjechała ze mną obejrzeć dom. I zaraz sama sobie odpowiedziała:

– Cemu by nie poprosić niektórych pastorów, żeby zorganizowali grupę nastolatków, którzy pomogą posprzątać?

Tak właśnie zrobiliśmy. Pewnego pochmurnego sobotniego poranka pod koniec stycznia podjechały trzy samochody, z których wysypała się grupa piętnaściora roztrajkotanych i rozwrzeszczanych chłopców i dziewcząt rozgłaszających wszem i wobec, że szybko rozprawią się z każdym śmieciem, jaki im tylko wskażemy. Twierdzili tak, bo jeszcze nie zapoznali się dokładnie ze swoim zadaniem. Kiedy już się znaleźli w środku i oprowadzaliśmy ich po domu od strychu po piwnice, widziałem jak ich entuzjazm stopniowo niknie. Przy każdym kroku trzeba było wysoko podnosić nogi, żeby w ogóle móc się gdzieś przedostać. Potykali się i ślizgali na stertach gazet i szkła, aż dech im zapierało na samą myśl o rozmiarach zadania, które ich czekało.

Jednak te dzieciaki spisały się naprawdę wspaniale. Zaczęły od wejścia do budynku i oczyściły sobie drogę, żeby następnie, pokój po pokoju, piętro po piętrze, wytrwale wynosić wszystko, aż do ostatniego grata, i składać to za domem.

Tutaj pałeczkę przejął Paul DiLena. Uprowadził już wcześniej Zakład Oczyszczania Miasta o czekającym go zadaniu.

– Myślę, że trzeba będzie wywieźć co najmniej cztery ciężarówki śmieci – powiedział.

Później opisał mi scenę, jaka rozegrała się z udziałem jego samego oraz szefa brygady, i która, jego zdaniem, wyraźniej świadczyła o duchu naszego przedsięwzięcia niż jakikolwiek wcześniejszy znak: pracownicy Zakładu Oczyszczania Miasta odmówili przyjęcia napiwku.

Paul opowiadał, że ciężarówki przyjechały na Clinton 416 o umówionej godzinie, ale nikt się nie brał do pracy. Sterty śmieci na chodniku i ulicy wciąż rosły, a śmieciarze stali sobie po prostu bezczynnie. Kiedy Paul zobaczył, co się dzieje, natychmiast się zorientował, o co chodzi.

– Dobra – powiedział – ile chcecie?

– Trzydzieści dolarów – padła szybka odpowiedź.

Paul, obyty z nowojorskimi obyczajami, wzruszył ramionami i przystał na to. Wolał zapłacić z własnej kieszeni, niż wstrzymywać całą akcję.

Kilka godzin później została załadowana ostatnia ciężarówka. Sześć przepełnionych śmieciami do granic możliwości ciężarówek odjechało z łoskotem. Szef brygady podszedł do Paula i zapytał, czy to już wszystko.

– Tak, świetnie – powiedział Paul – dobra robota. Pewnie chce pan teraz swoje pieniądze – rzekł sięgając po portfel.

– Jakie pieniądze? – odrzekł brygadzysta i roześmiał się, ale, jak twierdził Paul, był to śmiech, który miał ukryć wzruszenie.

– Widzi pan, te dzieciaki powiedziały mi, co tu robicie. Sam mam w domu nastolatka. Myśli pan, że wziąłbym pieniądze za pomoc takiej sprawie?  
Powiedziawszy to wsiadł do swojej ciężarówki, zapuścił silnik i z miną naprawdę twardego faceta szybko odjechał.

Po upływie trzech tygodni mogliśmy wreszcie przystąpić do remontu budynku. Z różnych wspólnot przyjechali malarze i pokój po pokoju zamalowywali „dzieła sztuki”, jakimi pokryli te ściany studenci pobliskiego koledżu. Potem przyjechali hydraulicy: musieli rozkuć ściany, bo stwierdziliśmy, że niektóre rury zamarzły i popękały. Wszystko to wymagało pieniędzy; żeby je zebrać, wziąłem wolne i jeździłem po całym kraju, apelując do kościołów o finansowe wsparcie. Prawdziwym ciosem była dla nas decyzja władz miejskich stwierdzająca, że przed otrzymaniem pozwolenia na zasiedlenie budynku, musimy zainstalować specjalny system przeciwpożarowy. Koszt: pięć tysięcy dolarów. Musiałem więc odłożyć pracę, którą naprawdę chciałem się zająć tylko po to, żeby znów latać po kraju i zbierać pieniądze. Nie byłem jednak w stanie sam zdobyć wszystkich potrzebnych funduszy. Cały komitet pomagał mi jak mógł. Na przykład pewien duchowny, Grady Finnin, jeździł po całym kraju i przedstawiał nasze potrzeby. Inny uczestniczący w tym dziele członek komitetu, Martin Karl, był odnoszącym duże sukcesy zawodowym piosenkarzem, występował kiedyś z Mariners’ Quartet w Arthur Godfrey Show. Możecie sobie wyobrazić jak spadły jego dochody, kiedy zaczął pracować jako nasz śpiewający ambasador. Marty jeździł dosłownie po całym kraju i wszędzie opowiadał o Ośrodku rozpoczynającym działalność w Nowym Jorku. Wreszcie ostatni malarz i ostatni hydraulik opuścili Ośrodek i w końcu mogliśmy spokojnie podziwiać to, co dokonało się na naszych oczach. Przy niecałych stu dolarach na koncie, Bóg podźwignął ten dom z ruiny. Teraz jednak trzeba było zacząć go użytkować. Chcieliśmy wypełnić go Jego dziećmi, ale do tego potrzebna była na przykład czegoś, na czym mogłyby one usiąść. Mielśmy piękny budynek, ale jego wnętrza były zupełnie puste.

Teraz właśnie zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo leżało to w Bożych planach, żeby w to dzieło zaangażowane było mnóstwo różnych osób. Zaczynaliśmy to wszystko z ramienia Kościoła Zielonoświątkowego (Assemblies of God), ale nim się zorientowaliśmy, w składzie komitetu znaleźli się członkowie Kościoła Episkopalnego, Prezbiteriańskiego, Baptystycznego i Holenderskiego Kościoła Reformowanego. Pozyskaliśmy też kilku naprawdę wpływowych biznesmenów.

Jednym z nich był na przykład Walter Hoving, prezes firmy Bonwit Teller oraz Tiffany’ego w Nowym Jorku. Państwo Hoving osobiście zajęli się przedstawianiem nas ludziom, których bez ich pomocy nigdy nie zdołalibyśmy spotkać. Któregoś popołudnia pani Hoving zorganizowała lunch w ekskluzywnym River Club, na który zaprosiła „tylko parę osób, które powinny się o was dowiedzieć”. Przyszło osób pięćdziesiąt. Nawrócony narkoman w bardzo prostych słowach opowiedział o tym, jak zmienione zostało jego życie. Na sali nie było nikogo, kto nie byłby tą opowieścią głęboko poruszony.

Walter Hoving został prezesem naszej Rady Nadzorczej.

– Skoro jest pan jednym z nas, panie Hoving – powiedział Paul DiLena – chcielibyśmy zrewanżować się panu za ten wspaniały posiłek w River Club. Czy lubi pan lasagnę?

Odpowiedzi udzieliła pani Hoving. Uwielbiała lasagnę, ale – jak powiedziała – tak trudno znaleźć rzeczywiście dobrą. Tym sposobem państwo Hovings zostali zaproszeni do domu państwa DiLena na domowej roboty włoskie przysmaki, na widok których aż ciekła człowiekowi ślinka. Kiedy tak siedzieliśmy wszyscy wokół stołu pani DiLena, nie mogłem powstrzymać się od tego, żeby po cichu nie podziękować Bogu za włączenie do tej pracy ludzi z tak różnych środowisk.

Innym sprzymierzeńcem Ośrodka Teen Challenge z kręgów biznesu był pan Grant Simmons Junior, prezes Simmons Bed Company. Dotarliśmy do niego za pośrednictwem Hovingsów i mieliśmy do przedstawienia pewną konkretną potrzebę. Chodziło o dwadzieścia łóżek. Przez godzinę siedzieliśmy w biurze pana Simmons'a przy Park Avenue i mówiliśmy o naszych nadziejach, jak również o tym, w jak dziwny sposób Bóg działa w tym mieście. Pan Simmons poświęcił nam nie tylko sporo czasu, ale udzielił również pomocy rzeczowej. Od tamtej pory wielu chłopców, którzy zwykle sypiali na ławkach stacji metra, spało w Ośrodku na łóżkach i materacach od Simmons'a.

Moim zdaniem, jedną z istotnych funkcji, które spełnia nasza misja jest budzenie zainteresowania działalnością zielonoświątkowców u takich ludzi, jak Walt Hoving, Grant Simmons, czy Clem Stone. Często słyszałem np. takie uwagi: »Muszę przyznać – powiedział to jeden z członków naszego komitetu należący do Kościoła Episkopalnego, który uczestniczył w nabożeństwie w naszej kaplicy – że byłem trochę zaszokowany, kiedy po raz pierwszy usłyszałem jak wasza młodzież chwali Pana i zobaczyłem jak podczas modlitwy podnoszą ręce. Muszę też jednak przyznać, że w naszych sercach naprawdę coś się wtedy działo. My, członkowie Kościoła Episkopalnego mówimy o „rzeczywistej obecności Chrystusa”. Tu, w tym domu, On rzeczywiście jest.«

Była to najlepsza pochwała pod adresem naszej pracy. To ta właśnie Obecność sprawia, że działalność Ośrodka może przynosić uzdrowienie. Poczucie tej Obecności wciąż wzrastało, ale najbardziej odczuwalna zaczęła być wtedy, gdy zaczęliśmy wprowadzać nasze wizje w czyn.

Zaplanowaliśmy, że wykorzystamy ten dom w następujący sposób:

Zdecydowaliśmy się w końcu na to, by Ośrodek miał dwudziestu pracowników. Każdego ranka ci młodzi ludzie mieli wstać, zjeść śniadanie, potem spędzić rano na modlitwie i czytaniu Biblii. To stanowiłoby sedno naszej działalności. Już dawno odkryłem, że zbędna krzątania pozbawiona podstawy w postaci cichej społeczności z Bogiem nie przynosi zbyt wiele pożytku.

Po lunchu wychodzilibyśmy na ulice. Nasza młodzież chodziłaby wyznaczoną trasą w dwu, trzysobowych grupach, czujnie wypatrując wszelkich oznak problemów. Nasi pracownicy byłiby przeszkoleni w rozpoznawaniu oznak narkomanii, rozglądaliby się za młodocianymi alkoholikami czy prostytutkami. Rozmawialiby z członkami gangów, zwłaszcza gangów walczących.

Ich celem nie byłoby nawracanie, tylko pomaganie w potrzebie. Nawrócenia przyjdą same. Jeśli rzeczywiście będziemy ludziom pomagać, świat sam wydepcze ścieżkę prowadzącą do naszych drzwi.

Większość nastolatków, których chcieliśmy w ten sposób spotkać, nigdy nie miała mieszkać w Ośrodku. Mieliśmy zamiar zostawiać ich pod opieką jakiegoś duchownego gdzieś w pobliżu ich miejsca zamieszkania i oddziaływać za jego pośrednictwem. Chcieliśmy prowadzić szczegółowe notatki i utrzymywać z podopiecznymi regularny kontakt tak długo, dopóki nie będziemy mieli pewności, że stanęli już na własnych nogach.

Jednakże niektórzy młodzi ludzie mogą być w tak trudnej sytuacji, że będą potrzebowali opieki szczególnej. Tych przyjmowałoby się do Ośrodka, gdzie chłopcy zamieszkaliby na ostatnim piętrze, razem z naszymi pracownikami mężczyznami, a z kolei dziewczęta – na pierwszym, z kobietami i małżeństwami wchodzącymi w skład naszego personelu. Spodziewaliśmy się prowadzić działalność niemal wyłącznie wśród chłopców, ale jeśli pomocy potrzebowałyby dziewczyna, nie chcieliśmy odsyłać jej z niczym.

Klucz do tego całego planu leżał we właściwym doborze personelu.

Gdzie miałem znaleźć dwadzieścioro bystrych i energicznych, ale jednocześnie współczujących i zdrowych mężczyzn i kobiet, którzy chcieliby pracować za dziesięć dolarów tygodniowo (bo na tyle tylko pozwalał nam budżet)?

Za tę zawrotną sumę mieli dosłownie ryzykować życie. Nawet wtedy, kiedy właśnie analizowałem problem doboru personelu, jeden z naszych chłopców został pchnięty na ulicy nożem. Miał na imię Carlos. Wcześniej był członkiem jednego z najgroźniejszych walczących gangów w Nowym Jorku – Samobójców. Kiedy jego życie uległo zmianie, Carlos chciał wrócić do swojego gangu, żeby opowiedzieć, co mu się przydarzyło. Któregoś dnia wyszedł właśnie z tym zamiarem. Kiedy trafił na członków swojego starego gangu, tamci natychmiast otoczyli go kołem.

– Słyszałem, że się zrobiłeś strasznie religijny – powiedział przywódca Samobójców.

– Zgadza się – powiedział Carlos.

– I podobno nie będziesz się więcej bić.

– To prawda – powiedział Carlos.

Tamten wyciągnął nóż.

– Jak cię dźgnę, to będziesz się bił – powiedział.

Lata praktyki nauczyły Carlosa, że takie wyzwanie to nie żarty. Odskokzył i odłamał samochodową antenę, która mogła się stać bardzo groźną bronią. Potem nagle zmienił zdanie. Złamał na kolanie antenę i ją wyrzucił.

– Nie, nie będę się bił – powiedział.

Wtedy przywódca Samobójców dźgnął Carlosa. Wbił mu nóż w żebra aż po rękkojeść. Chlusnęła krew i Carlos upadł na chodnik. Samobójcy uciekli i zostawili Carlosa wołającego o pomoc. Gdy w końcu dowieziono chłopca do szpitala Cumberland, jego życie wisiało już na włosku. Kiedy go stamtąd wypuszczano, lekarz dał mu przyjacielską radę, żeby na przyszłość nie głosił kazań chłopcom, którzy noszą noże.

Carlos go nie posłuchał, natychmiast wrócił do głoszenia ewangelii na ulicy. Może właśnie dzięki temu wypadkowi stał się jednym z naszych najskuteczniejszych pracowników.

Kto jednak zdecydowałby się na takie ryzyko? Ilu było takich chłopców jak Carlos?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, pewnego ranka, niedługo po tym jak doprowadziliśmy budynek do stanu jakiejś używalności, otrzymałem telegram z Central Bible College (szkoły biblijnej) w Springfield w stanie Missouri z pytaniem, czy nie przyjechałbym tam na wykłady. Przyjąłem zaproszenie, polecałem tam i przedstawiłem studentom przyczyny, które skłoniły nas do prowadzenia naszej działalności na ulicach. Było to wspaniałe nabożeństwo, wszyscy odczuwaliśmy to samo delikatne dotknięcie Ducha Świętego.

Potem wstał dyrektor szkoły i powiedział coś zadziwiającego; stwierdził mianowicie, że jego zdaniem, w porównaniu z tym wszystkim, co widział dotąd, nasza działalność najbardziej przypomina działalność Kościoła z czasów apostołów. Zaoferował finansową pomoc każdemu potrzebującemu jej studentowi, który zechce pojechać do Nowego Jorku i pracować z nami na ulicach. Zainteresowani mieli się ze mną spotkać w szkolnej bibliotece.

Kiedy dotarłem tam parę minut później, w kolejce czekało na mnie siedemdziesięciu studentów!

Wiedziałem, że z tych siedemdziesięciu trzeba wybrać dwudziestu. Wziąłem się zatem do roboty. Odmalowywałem przyszłe ich zadanie w jak najczarniejszych barwach. Nie obiecywałem im żadnych pieniędzy. Sami mieli opłacić nawet swoją podróż do Nowego Jorku. Byliśmy w stanie zaoferować im jedynie wikt i dach nad głową. Podkreślałem, że będą ryzykować życie. Opowiedziałem im o Carlosie i dwóch innych chłopcach, których pobito na ulicy. Potem powiedziałem jeszcze, że czeka ich również zmywanie naczyń, szorowanie podłóg i urządzenie całego domu. Ku mojemu zaskoczeniu, pomogło to w wyeliminowaniu zaledwie dwudziestu.

Musiałem więc pozostawić tę decyzję radzie pedagogicznej. Zanim opuściłem Springfield, wybraliśmy do pracy w Nowym Jorku szesnaście osób. Pozostałą czwórkę wybrano w Lee College w Tennessee. Kilka tygodni później nasi pracownicy zaczęli się zjeżdżać. Przybywali taszcząc ciężkie walizki i z ciekawością rozglądali się wokoło. Myślę, że wszyscy byli trochę przestraszeni obcymi im nowojorskimi widokami, a kiedy prowadziliśmy ich na górę do prawie pustych, przypominających baraki sal sypialnych, na pewno zastanawiali się, w co się właściwie wpakowali. Oto fragmenty listu napisanego krótko po przyjeździe przez jedną z naszych dziewcząt.

*Moi kochani:*

*Pozdrowienia z Nowego Jorku! Dojechałam do Wielkiego Miasta wczoraj wieczorem o 20.15. Były straszne tłumy, ale Bóg mi pomógł. T.A.E. nie było w książce telefonicznej, bo to nowa organizacja, ale jakoś znalazłam numer i ktoś mnie zabrał samochodem. Wszyscy inni przyjechali zaraz po mnie. Po drodze nie miałam żadnych kłopotów. Żaden autobus nie był spóźniony. W drodze z Chicago do Nowego Jorku zatrzymaliśmy się na trzy posiłki i dwa postoje, więc podróżowało mi się wygodnie.*

*Moje plany i obowiązki wyglądają następująco:*

*1. Zadanie ewangelizowania dziewcząt.*

*poniedziałek – mam wolne*

*wtorek – ewangelizacja uliczna*

*środa – odwiedziny u nastolatek w szpitalu*

*czwartek – odwiedziny u dziewcząt w więzieniach*

*piątek – ewangelizacja uliczna*

*sobota – zajęcia w ramach współpracy z innymi kościołami*

*niedziela – zajęcia w ramach współpracy ze wspólnotami zielonoświątkowymi.*

*2. Opieka nad pokojami dziewcząt. Dopilnować, żeby pokoje były wysprzątane, lekcje odrobione itd.*

*3. Odpowiedzialność za sprawy muzyczne.*

*Modlimy się o kogoś, kto mógłby mi pomóc w rozpoczęciu ewangelizowania dziewcząt. W zeszłym tygodniu w rejonie pracy Joego były trzy morderstwa. Muszę iść pomóc przygotować kolację. Nie zapominajcie chodzić na nabożeństwa. Kocham was.*

Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, kiedy w końcu mogłem powiedzieć Gwen:

– No, kochanie, zaczynamy.

Staliśmy w niewielkiej kaplicy Ośrodka. Dawniej pokój ten był salonem i przy jednej ze ścian znajdował się duży kominek. Bogato rzeźbiony gzyms kominka zabierał sporo miejsca i kiedy rozmawialiśmy z Gwen, oparłem się właśnie o ten gzyms.

Przypomniałem jej wieczór sprzed półtora roku, kiedy to stojąc w świetle księżyca za kaplicą w Philipsburghu, patrzyłem na zboże falujące w podmuchach wiatru. Teraz Pan postawił nas na polu gotowym do żniwa. Dał nam narzędzia: dwudziestu wspaniałych pracowników i wiarę w to, że Duch Święty ma moc zmieniać ludzkie życie.

– Kochanie – powiedziała Gwen – spójrz!

Odsunąłem się nieco i starałem się dojrzeć to, co mi chciała pokazać. I zobaczyłem. Na gzymsie kominka naszej kaplicy znajdowała się piękna płaskorzeźba przedstawiająca zżęte, zebrane i powiązane w snopy zboże.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 16

Kiedy tylko nasi pracownicy już się urządzili na nowym miejscu, wziąłem ich do kaplicy i, stojąc przed płaskorzeźbą zżętego zboża, w skrócie opowiedziałem im o nowojorskich walczących gangach.

– Kluczowym słowem, jeśli chodzi o gangi, jest przemoc – powiedziałem moim młodym współpracownikom. – Może się ona wyrażać bezpośrednio, poprzez wojnę gangów, w których giną chłopcy, lub przez gwałty, zabójstwa, czy uliczne rozboje. Przejawia się to także poprzez homoseksualizm, lesbijstwo, stosunki pozamałżeńskie, narkomanię, pijaństwo. Te obrzydliwe rzeczy są dla nowojorskich gangów walczących zasadą, nie wyjątkiem.

Uważałem, że ci młodzi ludzie powinni znać przyczyny tego oplakanego stanu rzeczy.

– My, kaznodzieje, często mamy tendencję używania niektórych słów jakby bez głębszego namysłu – powiedziałem – ale jeśli się sobie uświadomi ich prawdziwe znaczenie, to jest to słownictwo świetnie przemawiające do wyobraźni. Na przykład mówi się o zgubionych grzesznikach. W miarę jak poznawałem członków gangów, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że rzeczywiście zachowują się oni tak, jakby byli zgubieni. Włóczyli się bez celu przerażeniu, rzucając za siebie ukradkowe spojrzenia. Nosili ze sobą broń, żeby się obronić przed nieznanym niebezpieczeństwem, w każdej chwili gotowi do ucieczki albo walki o swoje życie. Te grupy zagubionych chłopców trzymają się razem dla bezpieczeństwa i w ten właśnie sposób powstaje gang.

Pracując wśród chłopców na ulicach zaobserwowałem jedną prawidłowość. Faktycznie wszyscy pozbawieni byli prawdziwego domu. Wyrazy, których używali na określenie swoich domów to „więzienie” lub „dom okropności”. Chciałem, żeby moi pracownicy sami się przekonali jak to wygląda, wziąłem więc kilkoro z nich do domu jednego z chłopców, którego poznałem na ulicy.

Kiedy tam przyjechaliśmy, drzwi były otwarte. W środku nie było nikogo.

– Od razu widać czemu nazywają to „domem okropności” – szepnęła młoda dziewczyna wychowana na farmie w Missouri. I miała rację. W jednym pokoju mieszkała pięcioosobowa rodzina. Nie było bieżącej wody, lodówki ani pieca, tylko kuchenka elektryczna z jedną płytką, której wytarty sznur leżał na komodzie. Nie było ubikacji. Na końcu korytarza, w cuchnącej komórce, z której korzystało osiem rodzin mieszkających na tym piętrze, był sedes i kran. Pokój miał kiepską wentylację i w powietrzu mocno czuć było gaz. Jedyne w pokoju okno wychodziło na ślepą ścianę z cegieł oddaloną od niego zaledwie o dwadzieścia centymetrów. Za całe oświetlenie służyła tej rodzinie pojedyncza czterdziestowatowa żarówka, która bez żadnej osłony zwisała pośrodku sufitu.

– Czy wiecie ile ci ludzie muszą płacić za ten swój „dom okropności”? – zapytałem. – Dwadzieścia dolarów na tydzień, osiemdziesiąt siedem na miesiąc. Kiedyś to sobie obliczyłem: właściciel ma dziewięćset dolarów miesięcznie za sam czynsz i jest to właściwie w całości jego zysk. Nierzadko się zdarza, że w ciągu jednego roku pieniądze zainwestowane w taką ruderę zwracają się właścicielowi w wysokości 20 procent netto.

– Czemu ta rodzina się po prostu nie przeprowadzi?

– Bo tak naprawdę czarni i Portorykańczycy nie mogą mieszkać tam, gdzie chcą – musiałem przyznać. – To jest miasto gett.

– Naprawdę nie mogą dostać się do jednego z tych nowo budowanych osiedli?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy milę dalej, do wielkiego kompleksu budynków mieszkalnych. Wielu ludzi sądziło, że te osiedla to rozwiązanie problemu nowojorskich slumsów. Buldożery wjeżdżały na takie przeludnione tereny jak ten, który właśnie zwiedziliśmy, burzyły stare domy czynszowe i budowały na ich miejscu potężne wieżowce. Teoretycznie mieli być tam lokowani zarówno lokatorzy tych starych budynków, jak też np. właściciel spożywczego sklepiu na rogu, prawnik z sąsiedztwa i rodzinny lekarz. W praktyce wyglądało to inaczej. Sklepiarz i ludzie wykonujący wolne zawody nie mogli czekać dwa lata na ukończenie nowego bloku, wyprowadzali się więc. Tak więc kiedy kończono budowę, kto znajdował się na pierwszych miejscach listy? Rzecz jasna ludzie znajdujący się w najtrudniejszym położeniu: ci żyjący z zasiłków.

Skutek był dwojaki. Po pierwsze, okolicę zamieszkiwali teraz wyłącznie ludzie wykorzenieni, z innych rejonów miasta. Wszyscy więc byli tu zagubieni. Nie ostawała się żadna z istniejących tu poprzednio instytucji, nie było ani śladu poprzednich struktur sąsiedzkich, w których mieli swe miejsce ludzie wolnych zawodów i biznesmeni. Po drugie, ludzie żyjący z zapomóg mieli tu pierwszeństwo, wskutek czego te nowe osiedla, niczym ogromny wir, wciągały tych mieszkańców Nowego Jorku, którzy z jakichś niefortunnnych przyczyn nie byli w stanie sami o siebie zadbać.

Osiedle, które odwiedziliśmy, zostało zbudowane zaledwie kilka lat wcześniej, ale już widać było oznaki zniszczenia. Przechodziliśmy obok zdewastowanych, dawno już pozostawionych swojemu losowi trawników. W kilku oknach na parterze szyby były wybite i nie wstawiono na ich miejsce nowych. Na ścianach widniały nieprzyzwoite słowa. Korytarze cuchnęły uryną i tanim winem.

Odwiedziliśmy tu też jedną znaną mi rodzinę. Matka znowu piła. Żadne łóżko w domu nie było pościelone, a na kuchennym stole stały naczynia po kilku posiłkach. Chłopak, którego przyszliśmy odwiedzić, siedział na poszarpanym pufie gapiąc się przed siebie bez słowa, najwyraźniej w ogóle nieświadomy naszej obecności.

– Widywałem tego chłopca w innym nastroju – powiedziałem, kiedy już stamtąd wyszliśmy.  
– Potrafi być tak samo nadpobudliwy, jak teraz jest otepiały. Zwykle jest na ulicy. Wyrzucają go z domu. Może wrócić dopiero wtedy, kiedy matka upije się do nieprzytomności.

To również, zaznaczyłem, sprzyja powstawaniu walczących gangów. Wystarczyło zgromadzić tysiąc takich udręczonych rodzin w jednej okolicy i już się miało całą gromadę osamotnionych, przestraszonych i pełnych wrogości nastolatków, którzy trzymają się razem w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa i przynależności. Tworzą sobie dom w ten sposób, że walczą o swoje "terytorium", na które żaden obcy nie ma wstępu. To jest ich twierdza. Jej granice wyznacza się z istic wojskową dokładnością. Północną granicą jest budynek straży pożarnej, południowa przebiega wzdłuż wielkiej autostrady, zachodnią wyznacza rzeka, a wschodnią – sklep ze słodyczami Flannigana.

Chłopcy ci nie mają zbyt wielu rozrywek. Większość z nich żyje w haniebnym ubóstwie. Spotkałem kiedyś czternastolatka, który od dwóch dni nie jadł porządnego posiłku. Babcia, która się nim opiekowała, każdego ranka dawała mu dwadzieścia pięć centów i wyganiała go z domu. Na śniadanie pił coca-colę za siedem centów, na lunch jadł hot-doga kupionego za piętnaście centów u ulicznego sprzedawcy, a w porze kolacji śmiał się i mówił, że przechodzi na dietę. Przez cały wieczór potrafił ssać najtańszego cukierka, jakiego mógł sobie kupić.

Co jednak najdziwniejsze, tym chłopcom nigdy nie wystarczało pieniędzy na jedzenie, ale zawsze mieli na butelkę wina.

– To przerażające, ile ta młodzież pije – powiedziałem swoim współpracownikom – Wielu z tych chłopców żyjących na ulicy całymi dniami pije wino. Rzadko są naprawdę pijani – na to

ich nie stać – ale nie są też całkiem trzeźwi. Zaczynają pić kiedy się tylko spotkają, o dziesiątej czy jedenastej rano, i piją póki im się nie skończą pieniądze.

Z rzadka, zwykle z kieszonkowych kradzieży albo wymuszania od młodszych dzieci pieniędzy przeznaczonych na lunch, udawało im się uezierać we wspólnej kasie wystarczająco dużą sumę, żeby mogli sobie kupić coś mocniejszego, a w takiej sytuacji nierzadko dochodziło w naszym sąsiedztwie do tragedii.

Kiedy wróciliśmy do Ośrodka, ponownie zebrałem nasz personel w kaplicy i opowiedziałem im o Martinie Ilenskim. Martin był w ostatniej klasie szkoły średniej, a jednocześnie pracował dorywczo, żeby pomóc niepełnosprawnej matce. Pewnego dnia, kiedy akurat nie pracował, poszedł na alkoholową imprezę w „domu okropności” swojego kolegi ze szkoły. Zebrało się tam dziesięcioro nastolatków, sześciu chłopców i cztery dziewczyny. Po godzinie spędzonej na piciu wódki i tańczeniu w rytm rock and rolla zabrakło trunku. Chłopcy zrobili zrzutkę na piwo, ale Martin odmówił. Wywiązała się bójka. Któryś z chłopaków wyciągnął zza paska dwunastocalowy niemiecki bagnet. Jedno szybkie pchnięcie i Martin Ilenski leżał martwy na podłodze w kuchni.

– No dobrze... – wiedziałem, że to, co zamierzam powiedzieć, zbulwersuje niektórych moich pracowników, świeżo upieczonych absolwentów seminarium. Odchyliłem się nieco na krześle z rękami splecionymi za głową. – Założmy, że mielibyście możliwość porozmawiać przez parę minut z Martinem Ilenskim gdzieś na ulicy. Pamiętajcie: jeśli pójdzie na tę imprezę, to jest mu pisana śmierć. Od czego zaczęlibyście tę rozmowę?

– Powiedziałbym mu, że Jezus zbawia – odezwał się piskliwie jeden z chłopców.

– Tego się właśnie obawiałem.

W oczach młodych ludzi pojawiło się zaskoczenie.

– Musimy bardzo uważać – powiedziałem – żebyśmy nie byli jak papugi. Ja zawsze staram się być wyczulony na takie religijne zwroty, terminy które już wcześniej gdzieś słyszałem. I kiedy jestem na ulicy, nie używam ich dopóty, dopóki najpierw nie pomodłę się o to, żeby i tym razem miały tę samą moc, co w chwili, kiedy wypowiedziano je po raz pierwszy.

– Co – zapytałem – macie na myśli, kiedy mówicie „Jezus zbawia”?

Oczywiście znali odpowiedź – i nie powtarzali odpowiedzi jedynie gdzieś zasłyszanych. Mówili o czymś, czego rzeczywiście doświadczyli.

– No, to znaczy, że rodzisz się na nowo – powiedziała jedna z dziewcząt.

Jednak nadal słowa te brzmiały jak wyuczone formułki. Nie pobrzmiewała w nich ta świeżość, której potrzebowaliśmy, żeby dotrzeć do serca Martina Ilenskiego, zanim zginie zakłuty dwunastocalowym niemieckim bagnetem.

– Co się stało, kiedy się narodziłaś na nowo? – zapytałem tę dziewczynę. Zanim mi odpowiedziała, na chwilę zamilkła. Potem zaczęła opowiadać o tym, jak pewnego dnia zmieniło się jej życie. Mówiła w taki sposób, który przyciągnął uwagę wszystkich znajdujących się w pokoju. Powiedziała, że była samotna, przestraszona, a życie wydawało się nie mieć sensu.

– Słyszałam wcześniej o Chrystusie – mówiła – ale to imię było dla mnie tylko słowem. Jednak któregoś dnia znajomy powiedział mi, że Chrystus może zabrać moją samotność i strach. Poszliśmy razem na nabożeństwo. Kaznodzieja zaprosił mnie do wyjścia naprzód i zrobiłam to. Ukłękłam przed wszystkimi i poprosiłam tego „Chrystusa”, który kiedyś był dla mnie tylko imieniem, żeby zmienił moje życie. I od tamtej pory nic już nie było takie samo. Naprawdę jestem teraz inną osobą, chyba dla tego właśnie mówi się o „narodzeniu na nowo”.

– Samotność zniknęła?

– Tak, całkowicie.

– A co ze strachem?



- Też zniknął.
- I teraz Chrystus jest dla ciebie czymś więcej niż tylko pustym słowem?
- Oczywiście. Samo słowo nic nie może zmienić.

W kaplicy zapadła cisza.

- Puste słowa nie mogły też nic zmienić w życiu Martina – powiedziałem. – Pamiętajcie o nim, kiedy jutro wyjdziecie na ulice.

Późną wiosną 1961 roku Ośrodek Teen Challenge działał już na pełnych obrotach. Codziennie – nawet w poniedziałki, które miały być wolne – nasi młodzi pracownicy wychodzili na ulice Brooklynu, Harlemu i Bronksu, szukając nastolatków potrzebujących ich pomocy. Chodzili do szpitali i więzień, do szkół i na podwórka. Prowadzili uliczne ewangelizacje w Greenwich Village, na Coney Island i w Central Parku. Dzięki ich działalności, liczba nastolatków przewijających się przez Ośrodek z małej stróżki zmieniła się w rzekę. W ciągu pierwszego miesiąca naszej akcji zostało zbawionych, jeśli mogę użyć tego słowa w jego najpełniejszym znaczeniu, ponad pięćset chłopców i dziewcząt. Ewangelia dotarła do serc pięciu setek chłopców i dziewcząt, a ich życie zostało całkowicie odmienione. Porzucili gangi, zaczęli rozglądać się za pracą i chodzić do kościoła.

Z tych pięciuset osób około setki przyszło do Ośrodka po konkretną poradę. Zaś z tych stu osób jedynie garstka była w tak poważnej sytuacji, że musiały one zamieszkać w Ośrodku, by przebywać w jego pełnej miłości atmosferze.

Jednym z pierwszych chłopców, którzy w naszym Ośrodku doznali uzdrowienia osobowości, był George. George był przystojnym dziewiętnastoletnim chłopakiem – prawdę mówiąc zbyt przystojnym, gdy chodzi o jego własne dobro. Nie miał domu. Rodzice wyrzucili go. Byli oburzeni jego postępowaniem wobec starszych kobiet: chłopak bez przerwy zawierał znajomości z kobietami dwa razy od siebie starszymi. Zawsze stosował tę samą taktykę: nawiązywał znajomość ze starszą od siebie samotną kobietą, wzbudzał jej zainteresowanie opowieścią o swoim ciężkim życiu, zdobywał sympatię i prosił o ponowne spotkanie „tylko żeby porozmawiać. To mi tak dobrze robi”.

Te rozmowy zwykle przeradzały się w bliższy związek i George miał już nową przyjaciółkę. Przeprowadzał się do jej mieszkania, zaś taka kobieta traktowała go jak syna. George był z zawodu jubilerem. Kiedy tylko udawało mu się dostać do domu, zaraz poruszał temat biżuterii i proponował, że ją naprawi. Zabierał biżuterię niby to do sklepu swojego znajomego, a tak naprawę szedł do najbliższego pasera.

Była to dość marna egzystencja jak na młodego, zdrowego mężczyznę w pełni sił. George natknął się na jedną z naszych ulicznych ewangelizacji. Chociaż nie chciał wtedy z nikim od nas rozmawiać, w kilka dni później pojawił się w Ośrodku. Przyszedł „tylko dla zgrywu”. Kiedy wszedł do środka, poczuł jakby dziwne ciepło. Jeden z naszych pracowników, Howard Culver, zobaczył go i nawiązał z nim rozmowę. Jeszcze przed południem George postanowił zacząć nowe życie. Modlił się o to, by nastąpiła w nim zmiana i ten właśnie cud, który nigdy nie przestanie nas zadziwiać, zdarzył się również jemu.

- Poczułem się zupełnie tak, jakby ktoś zdjął ze mnie nagle ogromny ciężar. – opowiadał mi później. Był niesamowicie podekscytowany tą zmianą, która w nim zaszła. Ciągłe o tym opowiadał; bez przerwy też to rozważał i analizował każdy szczegół.

Mijały dni i George odczuł, że powinien oddać wszystkie pieniądze, które ukradł. Dostał pracę, dobrą pracę, bo był to całkiem zdolny chłopak. Każdy grosz ponad to, co wydaje na życie, idzie na spłatę jego długów. Kiedy spłaci już wszystkie, chce zaangażować się w służbę Bogu.

W miarę jak mijały letnie miesiące i jak przez nasz Ośrodek przewijało się coraz więcej chłopców, stanęliśmy przed pewnym moralnym problemem. W którymś momencie swojego życia każdy z naszych chłopców złamał prawo. Co powinien z tym zrobić?

Nie jest to proste pytanie. Chłopcu, w którym nowe życie jest wystarczająco ugruntowane, byłoby względnie łatwo odbywać karę więzienia. Jednak to ugruntowanie zwykle wymaga czasu. Trzeba przejść wiele kryzysów i czasów posuchy, wystarczająco poznać sztukę bycia chrześcijaninem. Jeśli chłopak przyzna się policji zbyt wcześnie i pójdzie do więzienia, istnieje ryzyko, że go stracimy. Z drugiej jednak strony chłopak złamał przecież obowiązujące w społeczeństwie prawo, i jeśli będzie dusił w sobie winę, to będzie to również hamowało jego duchowy rozwój.

Doszedłem do wniosku, że nie ma jednej właściwej odpowiedzi, identycznej we wszystkich przypadkach. Często muszę się głowić, jakiej udzielić rady. Weźmy na przykład Pedra. Mieszkał w naszym Ośrodku już od paru dni i przyszedł mi się wyznać:

– Nie mogę jeść, nie mogę spać. W ogóle nie mogę spać.

– Czemu, Pedro?

– Czuję ciężar wszystkich moich przestępstw. Przygniatają mnie. Muszę iść na policję i się przyznać.

Wysłuchałem go i doszedłem do wniosku, że rzeczywiście będzie musiał wszystko wyznać policji... kiedyś. Pedro nie opowiadał mi szczegółowo o swoich przestępstwach, bo niezbyt dobrze sobie radził z angielskim, a ja mówiłem bardzo słabo po hiszpańsku. Jednak był niespokojny i rozstrojony, więc wyglądało na to, że przyznanie się do wszystkiego policji byłoby w tym przypadku właściwym wyjściem. Chodziło tylko o czas. Pedro tak niedawno zaczął nowe życie, że kara więzienia niemal na pewno zahamowałaby wszelki rozwój. Doradziłem mu, żeby rozważył wstrzymanie się na razie z tą decyzją.

On jednak ani myślał tak zrobić.

Poprosiłem więc mojego starego znajomego, Vincente Orteza, żeby posłużył nam za tłumacza i razem wzięliśmy Pedra na policję. Kiedy tam weszliśmy, dyżurny sierżant siedział za biurkiem i jadł kanapkę. Spojrzał na nas i zapytał:

– O co chodzi, proszę pana?

– Jestem pastor Wilkerson, dyrektor misji Teen Challenge – powiedziałem. – Mam tu ze sobą nastolatka, członka gangu Smoki. Chce się przyznać do paru rzeczy.

Sierżant patrzył na mnie z kamiennym wyrazem twarzy i poprosił o powtórzenie. Kiedy to zrobiłem, odłożył ołówek, przywołał mnie do siebie i zapytał:

– Pastorze, czy to jakiś czubek?

– Ależ skąd – powiedziałem.

– Ciągłe przychodzą do nas ludzie, żeby się przyznać do rzeczy, których nigdy nie zrobili. Ale jeśli pan uważa, że ten chłopak jest przy zdrowych zmysłach, to niech z nim pan pójdzie na górę, do biura naszego detektywa.

Poszliśmy więc na górę i czekaliśmy. Pedro był spokojny. Po chwili przyszedł detektyw i od razu zapytał, czy zmusiłem Pedra do tego, żeby tu przyszedł.

– Nie – odpowiedziałem – jest tu z własnej woli.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że on może pójść do więzienia.

Poprosiłem Vincente Orteza, żeby wyjaśnił to Pedrowi po hiszpańsku. Chłopiec skinął głową. Tak, rozumiał to.

Detektyw wziął kartkę żółtego papieru, poślinił koniec ołówka i usiadł wygodniej na krześle. Był bardzo uprzejmy, a poza tym cała ta sprawa zrobiła na nim duże wrażenie.

– Dobrze, Pedro, więc opowiedz mi o tym, do czego chcesz się przyznać.

– Więc – zaczął Pedro przy pomocy Vincente Orteza – czy pamięta pan tego ranionego nożem człowieka...? – i zaczął opisywać napad z nożem, który miał miejsce w Central Parku dwa miesiące wcześniej. Detektyw odłożył ołówek i zawołał innego oficera. Pamiętali tę

sprawę i ich zainteresowanie znacznie wzrosło. Pedro szczegółowo opisał wydarzenia, które doprowadziły do tego pchnięcia nożem. Był na prochach i potrzebował kolejnej działki. Był z dwoma innymi chłopakami. Namierzyli młodego człowieka siedzącego samotnie na ławce, otoczyli go, obrabowali, a potem wpakowali mu nóż w brzuch.

Potem Pedro przyznał się jeszcze do dwóch napadów. Detektywi trzymali go tam od szóstej do dwunastej; ciągle sprawdzali wszystkie fakty. Odnaleźli chłopaka, który został raniony nożem, ale on też miał kartotekę na komisariacie i nie chciał wносить oskarżenia: nie miał ochoty się w nic pakować. Sklep, który Pedro okradł dwa razy, również odmówił wniesienia oskarżenia.

– Znam to miejsce – powiedział Vincente Orteiz – myślę, że mają jakiś lewy interes, pewnie też wolą mieć spokój.

W końcu policja nie znalazła nikogo, kto chciałby wnieść oskarżenie. Chętnie wypuścili więc Pedra pod naszą opieką. Wróciliśmy do Ośrodka, a następnego ranka Pedro wstał najwcześniej ze wszystkich. Swoim śpiewem obudził cały dom. Śpiewał z całych sił i pozdrawiał każdego tak radośnie, że po prostu nie mogliśmy mieć mu tego za złe. Pedro był już innym chłopakiem. Jego serce wypełniała niesamowita radość.

Nie wszyscy nasi chłopcy mieli za sobą tak dramatyczne przejścia. Prawdę mówiąc większość z tych, którzy trafiają do Ośrodka i, w sensie uczuciowym, odnajdują tutaj dom, to po prostu zwyczajne, samotne dzieciaki. Niczego wielkiego w życiu nie dokonały. W swoich domach nie czuły się nigdy mile widziane, bo rzeczywiście nie były. Wpadały w tarapaty, ale były to raczej drobnostki, które zwykle stanowiły jedynie symptom. Jest na przykład pewien wspaniały chłopak, który naprawdę uważa Ośrodek za swój dom. To zwyczajny młody człowiek zwany Szczęściarzem.

Kiedyś Szczęściarz zupełnie nie mógł sobie poradzić ze swoim życiem. Ma szeroki uśmiech, błysk w oku i ciepły uścisk dłoni, ale w przeszłości nie umiał się dostosować do wymogów otoczenia i nie potrafił znaleźć swojego miejsca w życiu. Kiedy miał jedenaście lat, zaczął chodzić na wagary i rozbijać się po całym Bronksie z gangiem zwanym Korony. Jego ulubionym sportem było rozbijanie szyb w policyjnych wozach patrolowych, a potem ucieczka. Uciekał goniąc po dachach, a za nim pędzili zdyszani policjanci; lubił też ryzykowne skoki z jednego dachu na drugi, a kiedy skok mu się nie udawał i musiał się chwytać najbliższej drabinki pożarowej, żeby nie zginąć, tylko się śmiał.

Szczęściarz zaczął szaleć z innym gangiem, Smokami, i w wieku piętnastu lat został wybrany na ich szefa. Swoją pracę sprawował raczej krótko, bo pewnego dnia znalazł się w więzieniu za pobicie swojego wychowawcy.

Wypuszczono go sześć miesięcy później, ale wciąż nie mógł nigdzie zapuścić korzeni. Uczył się na piekarza, ale nie mógł się dogadać z nauczycielem. Chodził do szkoły kucharskiej, ale i tam nie znalazł z nauczycielem wspólnego języka. Uczył się na rzeźnika, a kiedy znów wdał się w kłótnię z nauczycielem, kazano mu opuścić szkołę.

Ośrodek Teen Challenge jest jedynym miejscem na ziemi, w którym Szczęściarz został na noc z własnej woli. W chwili, kiedy przestąpił nasz próg, poczuł się jak w domu.

– Co mi się tu szczególnie podoba – mówi nowo przybyłym, których wita tym swoim szerokim uśmiechem – to to, że nie obchodzi ich, jakiej człowiek jest rasy czy narodowości. Zobacz, mają tutaj chłopaków białych, kolorowych i Latynosów, i w Bogu wszyscy stanowią jedno.

Szczęściarz doznał niezwykle głębokiego duchowego przeobrażenia. To nowe ciepło i otwartość wobec ludzi tak bardzo kojarzy mu się z Ośrodkiem, że mamy trudności z namówieniem go do postawienia następnego kroku na drodze nowego życia. Nie pragnie niczego innego, jak tylko pozostania z nami i pomagania. Więc... pozwoliliśmy mu zostać. Szczęściarz jest odpowiedzialny za utrzymanie porządku i można na nim polegać. Pracuje

tak, że należałoby mu się wielokrotnie więcej, niż te jego dziesięć dolarów tygodniowo. Pewnego dnia, kiedy będzie już gotowy, Szczęściarz ruszy naprzód, tak jak to robią wszyscy nasi chłopcy.

Jednak zanim ten dzień nadejdzie, jest u nas zawsze mile widziany.

# *Krzyż i sztylet*

## *Rozdział 17*

Letnie upały sprawiały, że termometr na naszej werandzie wskazywał coraz wyższe temperatury, a życie Ośrodka ustabilizowało się już na tyle, że można było mówić o swego rodzaju rutynie. Naszych dwadzieścioro pracowników miało ręce pełne roboty od wczesnego rana aż do późnej nocy. Ich rozkład dnia wyglądał następująco:

Pobudka o 7.00

Śniadanie o 7.30

Zmywanie naczyń, sprzątanie po śniadaniu

Osobista modlitwa i czytanie Słowa do 9.30

Spotkanie w kaplicy od 9.30 do 11.30

Obiad o 12.00

Zmywanie

Modlitwa

Praca na ulicy od 14.00 do 18.00 (kolację zabieraliśmy ze sobą i jedliśmy razem na ulicy)

Dalsza praca na ulicy do 19.30

Powrót do Ośrodka na wieczorne nabożeństwo trwające do północy

Cisza nocna

Zadanie prowadzenia Ośrodka szybko przerosło możliwości jednego człowieka i w miarę upływu kolejnych miesięcy udało nam się zgromadzić kadrę złożoną z ekspertów, którzy zarządzali Ośrodkiem o wiele lepiej niż byłbym w stanie to robić sam. Na przykład Howard Culver został naszym administratorem. Dbał o utrzymanie dyscypliny, co nie zawsze było łatwe, jeśli wziąć pod uwagę dwudziestkę pełnych energii studentów i ciągle zmieniającą się liczbę młodych członków gangów, których miał pod swoją opieką. Żona Howarda, Barbara, to prawdziwe błogosławieństwo: jest dyplomowaną pielęgniarką. Jej obecność jest bezcenna, kiedy mamy w ośrodku do czynienia z niedożywną młodzieżą, a zwłaszcza z narkomanami, którzy w czasie odwyku cierpią prawdziwie piekielne męki.

Sądzę, że wszyscy mnie zrozumieją, gdy stwierdzę, że kolejny członek naszej kadry zajmuje w moim sercu miejsce szczególne.

To Nicky. Cóż to był dla mnie za dzień, kiedy Nicky nieśmiało wszedł w drzwi naszego Ośrodka z piękną dziewczyną u swego boku!

– Davie – powiedział cicho – Chciałbym, żebyś poznał moją żonę, Glorię.

Nicky i Gloria spotkali się na Zachodnim Wybrzeżu, oboje byli w tej samej szkole biblijnej. Natychmiast podbiegłem, żeby się z nimi przywitać. Uścisnąłem rękę Nicky’emu, poklepałem go po plecach, Glorię zaś przywitałem tak serdecznie, że obawiam się, iż była tym trochę zaskoczona.

Nicky, Gloria i ja usiedliśmy w biurze, żeby powspominać. Trudno mi było uwierzyć, że to ten sam chłopak, który zaledwie trzy lata wcześniej groził, że mnie zabije. Przy pierwszym z nim spotkaniu byłem pewien, że Nicky to beznadziejny przypadek. A teraz siedział przede mną jako ktoś zupełnie inny – ordynowany duchowny, pełen planów na przyszłość.

– Wiesz, Davie, chciałbym pracować nie tylko z młodzieżą, ale i z rodzicami – powiedział pochylając się ku mnie z przejęciem – Cóż to da, jeśli się pomaga chłopakowi, a ten wraca do domu, gdzie sytuacja rodzinna jest po prostu tragiczna?

Brzmiało to sensownie, wręcz rewelacyjnie. Pomysł Glorii był równie dobry. Ona również chciała pracować w Ośrodku. Uwielbiała dzieci i jej polem działania mieli być Mali Ludzie. Nicky opowiadał jej wcześniej o ośmio, dziewięcio i dziesięciolatkach, które kręcą się na obrzeżach gangów i Gloria zauważyła, że lepiej jest dotrzeć do tych maluchów zanim wpakują się w poważne kłopoty, niż je potem z tych kłopotów wyciągać.

Bardzo się cieszyłem, że nasza stała kadra się rozrasta. Zajmowaliśmy się wszystkimi aspektami problemów dzieci ulicy. Ja pracowałem z chłopcami. Nicky – z rodzicami, Gloria – z Małymi Ludźmi. Mieliśmy jednak pewną sporą lukę: nie było nikogo, kto by się zajmował przede wszystkim dziewczętami nazywanymi w młodzieżowym nowojorskim slangu deb.

Kto to taki deb i jaki jest jej związek z gangiem?

W ostatnich latach rola nastoletnich dziewcząt w skomplikowanej strukturze gangów coraz bardziej zyskiwała na znaczeniu. Ta, którą nazywa się deb, gromadzi wokół siebie jeszcze kilka innych dziewczyn i razem tworzą rodzaj gangu satelity dla gangu chłopców. Często przyjmują nazwę, która jest odpowiednikiem nazwy gangu męskiego, np. Kobry i Kobretki.

Dziewczyny, jak się szybko zorientowałem, często były powodem zamieszek na ulicy. Słyszałem o jednej bijatyce, która zaczęła się dlatego, że pewna deb poskarżyła się, że przystawiał się do niej chłopak z konkurencyjnego gangu. Potem ta dziewczyna przyznała, że to nie była prawda. Wymyśliła tę historyjkę, żeby spowodować bójkę. Zrobiła to dla zgrywu.

Rzadko się zdarza, żeby deb była dziewczą.

– Małżeństwo nie jest już w modzie, pastarze – mówiły mi te dziewczyny ze śmiechem. Moja rozmowa z nimi była bezcelowa: swoją niepewność maskowały cynizmem, czyniły mi niedwuznaczne propozycje. Potrzeba więc nam było dziewczyny wystarczająco atrakcyjnej, żeby zdobyła szacunek deb, a jednocześnie wystarczająco ugruntowanej w wierze, żeby nie mogły zbliżyć jej z tropu swoimi zniewagami i kpinami.

Wreszcie taką znaleźliśmy.

– Mamy odpowiednią dziewczynę do pracy wśród deb, kochanie – poinformowałem Gwen któregoś wieczoru.

– Wspaniale – powiedziała – Mam nadzieję, że jest ładna. Do tej pracy trzeba ładnej dziewczyny. Nigdy nie sądziłam, że będę zachęcać mojego męża, żeby znalazł sobie ładną współpracownicę.

– Rzeczywiście jest ładna – odpowiedziałem. – Nazywa się Linda Meisner. Pochodzi z jakiejś farmy w stanie Iowa. Mam tylko nadzieję, że te miastowe dziewczyny jej nie odstraszą.

Praca Lindy wśród deb nie była łatwa. Poznała się z nimi zaraz w pierwszą sobotę swojego pobytu w Ośrodku. Późnym popołudniem przyszło pięć dziewcząt. Zażądały, żeby je oprowadzić po domu. Linda była gotowa wyświadczyć im tę grzeczność, ale poczułem od dziewczyn alkohol i próbowałem przełożyć ich wizytę.

– Mamy tu nabożeństwo o 19.30, na które może przyjść każdy kto chce – powiedziałem – przyjdźcie wtedy, serdecznie zapraszamy.

Dziewczyny wróciły o 19.30 i przyprowadziły ze sobą grupę chłopców.

– Co zrobimy, Dawidzie? – spytała Linda – Te dziewczyny są raczej nietrzeźwe.

– Zaczniemy od rozdzielenia ich – powiedziałem – Chłopcy na jedną stronę, dziewczyny na drugą.

Nie na wiele się to zdało. Dziewczyny chichotały, naśmiewały się, robiły duże balony z gumy do żucia, wstawały, wychodziły i wchodziły. Kilka z nich wyjęło noże i zaczęło obcinać nimi swoje sznurówki. W samym środku mojego kazania zaczęły się ze mną wyklócać.

Przekazałem spotkanie żeńskiemu trio (Linda też w nim śpiewała), ale dziewczęta nie mogły się przebić przez hałas, jaki panował.

W końcu zrezygnowaliśmy z dalszego prowadzenia nabożeństwa i staraliśmy się podjąć indywidualne rozmowy. Większość dziewczyn natychmiast zerwała się ze swoich miejsc i wyszła trzaskając drzwiami, i to nie raz, a dwa razy. Jedyna, która została, podchodziła kolejno do chłopaków, obejmowała ich i mówiła:

– Nie wiercie w to! To nieprawda.

Tamtego wieczoru dziewczyny wygrały. Spotkanie zakończyło się wcześniej i bez żadnych widocznych rezultatów. W ten sposób Linda zetknęła się ze swoimi przyszłymi znajomymi. Na domiar złego dowiedzieliśmy się później, że właśnie tego wieczoru na South Second popełniono morderstwo.

– To beznadziejna sprawa, Dawidzie – powiedziała Linda następnego ranka – Nie wiem jak mam pracować z tak trudną młodzieżą.

– Zaczekaj z podjęciem decyzji, aż zobaczysz, co może zdziałać Duch Święty, Lindo.

I już we wtorek Linda po raz pierwszy przekonała się o tym na własne oczy. Później pokazała mi list, który napisała do rodziców:

*...każda chwila przynosi coś nowego. We wtorek wrócił cały gang chłopców i dziewcząt. Chcieliśmy, żeby przyszedli w inny wieczór, ale dziewczyny błagały nas, żebyśmy pozwolili im przyjść z chłopcami na nabożeństwo. Obiecały się nie śmiać i dobrze zachowywać, więc wpuściliśmy wszystkich. W czasie nabożeństwa śpiewaliśmy „Dziś rozrywa Bóg kajdany”. Dave zapytał, czy w życiu kogoś z nich jest coś, co dana osoba chciałaby, żeby Bóg złamał. Czternastoletnia dziewczyna powiedziała, że chciałaby zostać uwolniona od upijania się co wieczór. Inna podciągnęła rękaw i zapytała, czy Bóg wybaczyłby to – pokazała nakłucia po wstrzykiwanej heroinie. Dziewczyny zachowywały się poprawnie, tak jak normalne dziewczyny.*

Od tamtego czasu dziewczyny z gangów przychodziły do Lindy po pomoc. Na przykład Elaine, jedna z członkiń miejscowego gangu, przyszła do niej z bardzo powszechnym wśród deb problemem: powiedziała, że jej życie jest zatrute jadem nienawiści. Znałem Elaine. To była twarda dziewczyna, po prostu zionęło od niej nienawiścią. Sprawiała kłopoty w szkole i w domu. Kiedy się jej mówiło, żeby usiadła, wstawała, jeśli kazało się jej wstać, siedziała. Kiedy mówiono, że ma zostać w domu, wymykała się z niego, a jeśli kazano jej się z domu wynosić, nic nie mogło jej zmusić do opuszczenia swego pokoju. Rodzice Elaine poddali się i starali się namówić różnych swoich krewnych, żeby co roku na jakiś czas zabierali dziewczynę do siebie.

Któregoś popołudnia Elaine przyszła porozmawiać z Lindą. Potem Linda opowiadała mi, że siedziały w kuchni, piły jakiś napój i rozmawiały. Zaraz na początku Elaine przyznała, że dużo pije. Potem powiedziała, że ostatnio chodzi na szalone imprezy, które się ostro zaczynają, a potem jest jeszcze gorzej. Powiedziała, że jakiś czas temu straciła dziewictwo i teraz seks jest już dla niej tylko nudną rutyną.

Ni stąd ni zowąd Elaine zaczęła płakać.

– Linda – powiedziała w końcu podnosząc głowę – czy wiesz, że nigdy się nie łudziłam? Nigdy, ani razu nie szłam do łóżka z facetem nie czując tutaj – wskazała na serce – że to jest złe. Lindo, nie chcę już więcej siebie nienawidzić. Czy możesz mi pomóc?

Wkrótce Elaine zaczęła regularnie przychodzić na nasze nabożeństwa dla członków gangów, które odbywały się w każdą środę wieczorem. Zgodziła się opowiedzieć tam wszystkim o tym, co się stało z jej nienawiścią. Na jej twarzy malował się wyraz takiej samej otwartości, świeżości i wolności, jak na twarzy Lindy. Cały czas śpiewała i śmiała się. Zaczęła przyprowadzać swoich kuzynów i znajomych. Przestała pić i chodzić na szalone imprezy.

– Wiesz, Dave, czemu przestała? – powiedziała mi Linda – Powiedziała po prostu, że nie chce sobie tym zawracać głowy, bo ma ciekawsze zajęcia.

Elaine nie była odosobnionym przypadkiem. Dzień po dniu docieraliśmy do kolejnych dziewcząt takich jak Elaine z tym szczególnym rodzajem miłości. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym Elaine wskazała to, co sprawia, że ta miłość daje odkupienie.

– W końcu do tego doszłam, pastorce Wilkerson – powiedziała – Miłość Chrystusa to miłość bezwarunkowa.

Elaine miała rację. Miłość Chrystusa to miłość nie stawiająca warunków, miłość, która nie oczekuje niczego w zamian. To miłość, która chce tego co najlepsze dla tych chłopców i dziewcząt. I właśnie dlatego jest zdolna odkupić.

W jednym z listów do domu Linda napisała, że żyje w nieustannym zagrożeniu.

Nie było w tym żadnej przesady. Robimy co możemy, żeby chronić naszych pracowników. Mamy na przykład taką zasadę, że na ulicę wychodzi się zawsze w dwu lub trzyosobowych grupach. Ustaliliśmy, że dziewczynom nie wolno na ulicy nawiązywać kontaktu z chłopakami i odwrotnie. Mamy też zasadę, że pracownicy muszą się ze sobą kontaktować w regularnych odstępach czasu, zwłaszcza jeśli pracują wieczorem.

Jest to jednak fakt, że nasi młodzi studenci chodzą po okolicach, w których, ze względu na bezpieczeństwo, nawet uzbrojeni stróże prawa chodzą dwójkami. Spory odsetek nastolatków w najniebezpieczniejszych dzielnicach miasta nosi przy sobie ukrytą broń. Kiedy chłopak jest na haju, łatwo o to, żeby ciął nożem, ot tak, tylko dla zgrywu. Jednak znacznie poważniejszym problemem jest zazdrość, z którą mamy do czynienia wtedy, kiedy pojawienie się naszych pracowników grozi zerwaniem jakichś dotychczasowych powiązań.

Któregoś wieczoru Linda i jej partnerka, Kay Ware, były na ulicy o późniejszej niż zwykle porze, około północy. Była letnia, upalna noc. Wieczorne nabożeństwa już się skończyły i dziewczęta powinny były iść spać, ale tak bardzo chciały podzielić się tym, co odnalazły w Chrystusie, że wyruszyły w noc, modląc się, żeby Duch Święty zaprowadził je do jakichś dziewczyn znajdujących się w potrzebie.

Trafiły na sklep ze słodyczami, zajrzały do środka i zobaczyły cztery nastolatki, które popijając coca-colę słuchały rock and rolla. Linda i Kay weszły do środka i zaczęły z nimi rozmawiać. Przyzwyczailiśmy się już do tych niewiarygodnie szybko następujących zmian: cztery dziewczyny stawiały się tylko krótką chwilę, potem jedna zaczęła płakać.

– Chodźcie – powiedziała inna. – Wyjdziemy na ulicę. Nie chcę, żeby ten palant – wskazała właściciela – tego słuchał.

Wyszły więc wszystkie na zewnątrz w parną noc. Ledwie znowu zaczęły rozmawiać, kiedy rozpląkały się jak dzieci wszystkie cztery dziewczyny.

Podeszło do nich dwóch chłopaków.

– Co jest grane? – spytali.

Nastolatki odpowiedziały, żeby spadali. Nie miały ochoty z nimi rozmawiać.

To zaintrygowało chłopców jeszcze bardziej niż łyzy i tym bardziej zaczęli domagać się odpowiedzi.

– O co wam chodzi? – zapytali Lindę – Chcecie nam zabrać nasze dziewczyny?

Jeden z nich zmienił ton i zaczął Lindę zaczepiać.

– Chodź do parku, ślicznotko, to ci coś pokażę.

Drugi chłopak również uderzył w tę nutę i Linda i Kay usłyszały propozycje, które wprawiły je w wielkie zakłopotanie. Dysponowały jednak dobrym sposobem obrony.

Linda nagle się odwróciła i, spojrzawszy chłopakowi, który przewodził zaczepkom prosto w oczy, dobitnie powiedziała: „Niech Bóg cię błogosławi”.

Chłopakowi opadła szczeka. Wtedy Linda znowu zwróciła się do czterech dziewczyn i podjęła rozmowę, a chłopcy jeszcze przez chwilę coś tam bąkali, po czym jeden powiedział:



– Do diabła z nią! Zostawmy tą świruskę w spokoju.

Linda i Kay wróciły do rozmowy z nastolatkami. Po chwili jednakże zorientowały się, że z różnych stron powoli nadciąga cała grupa chłopców.

– Lepiej uważajcie – szepnęła jedna z nastolatek.

Linda i Kay przysunęły się bliżej siebie, ale nadal spokojnie rozmawiały. Nagle rozległ się głośny śmiech i krzyki. Dziewczęta zostały otoczone przez grupę wrzeszczących nastolatków. Chłopcy wpełnęli się między dziewczyny i oddzielili Lindę i Kay od reszty.

– Słuchaj, mała, wkurzasz mnie – powiedział ich przywódca. – Wciskasz naszym dziewczynom te religijne gadki? Chcesz je nam zabrać?

Potem znowu zaczęły się nieprzyzwoite teksty. Linda i Kay usłyszały język, z którym nigdy wcześniej się nie zetknęły. Chłopcy popychali je i wyśmiewali się z nich.

Nagle coś błysnęło w ciemności. Linda spojrzała w tamtą stronę – jeden z chłopców trzymał w ręku nóż w kształcie sierpa, który świecił w mroku niczym księżyc.

Bez ostrzeżenia zamierzył się na Lindę. Ona uskoczyła w bok. Nóż odciął skrawek jej sukienki, ale nie tknął ciała.

Linda odwróciła się do chłopaka, zanim jeszcze tamten zdążył złapać równowagę. Jeszcze raz wypowiedziała słowa, które pomogły jej poprzednio. Głos miała niski i starała się przekazać pełnię znaczenia słów, które wypowiedziała:

– Niech Bóg cię błogosławi.

Potem wzięła Kay za ramię.

– Przyjdźcie jutro do Ośrodka, Clinton Avenue 416 – powiedziała. – Będziemy na was czekać.

Potem razem z Kay wolnym krokiem poszły ulicą.

Z początku chłopcy szli za nimi wykrzykując swoje sprośności. Potem, z powodów których Linda i Kay dotąd nie potrafią pojąć, przywódca krzyknął reszcie, żeby przestali.

– Słuchajcie – powiedział – dajmy spokój. Nie mam ochoty dziś się z nimi wygłupiać.

Kiedy Linda i Kay wróciły do Ośrodka, całe się trzęsły. Ale następnego dnia znów podjęły rozmowę z czterema dziewczynami i następnego wieczoru znów wyszły na ulice miasta.

„Cieszę się, że z Twoją stopą jest coraz lepiej, Larry – pisała Linda w całkiem zwyczajnym liście do domu – chciałabym powiedzieć Ci, co mam na sercu. Naprawdę czuć tutaj obecność zła. Wiem, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Mam tylko jedno pragnienie... wypalić się dla Boga”.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 18

W naszych pracownikach nieustannie zadziwiało mnie to, że pragnęli „wypalić się dla Boga”, a jednocześnie intensywny tryb życia i stres nie miały negatywnego wpływu na ich osobowość.

Zastanawiałem się nad tym, co jest tego przyczyną i myślę, że chodzi o to, że Ośrodek stał się tym, czym chcieliśmy żeby był: domem. Domem przepełnionym miłością, domem w którym panuje duchowa dyscyplina, wszyscy zmierzają do tego samego, wspólnego celu, ale są w tym wolni.

Taka właśnie atmosfera stwarza możliwość swego rodzaju ucieczki. Dzięki temu nie grzęźniemy w problemach i potrafimy się też śmiać.

Cieszę się z tego. Nie wydaje mi się możliwe, żeby jakikolwiek prawdziwy dom Boży mógł być miejscem monotonnym i ponurym. Zwłaszcza w Ośrodku nie ma miejsca na markotną minę. Jeśli to nie bitwa na poduszki w sali dziewcząt lub w pokoju chłopców, to cukier w solniczce. Wszystkie stare numery.

Oczywiście, że muszę na to reagować groźnym zmarszczeniem brwi, ale nikt na mnie za bardzo nie zwraca uwagi. Kiedy wpadam na górę drąc się jak przystało na dyrektora, że „światła mają być już zgaszone!”, słysząc tylko anielskie chrapanie, które trwa do chwili, kiedy z powrotem zejść na dół. Martwiłbym się tym brakiem szacunku dla autorytetów, gdyby nie to, że dyscyplina przychodzi sama: ci młodzi ludzie są tak zajęci, że nie zostaje im za dużo siły na rozrabianie. Po kilku minutach zabawa ustaje i zaczyna się rozlegać tym razem już prawdziwe chrapanie.

Te dzikie wybryki, ze szkodą dla dobrych obyczajów, nie ograniczają się niestety wyłącznie do studentów i nastolatków. Krótco po przyjeździe Nicky'ego i Glorii rozpoczęliśmy akcję o nazwie „operacja uzdrawiania gangów”. Kościół Gład Tidings miał ośrodek w północnej części stanu Nowy Jork, farmę Hidden Valley. W czasie najgorętszych tygodni lata poprosiliśmy o pozwolenie na zabranie tam kilku chłopców z gangów, żeby pooddychali prawdziwym powietrzem. Nicky i jego żona jechali z nami, podobnie jak Szczęściarz oraz dziesięć chłopców z Ośrodka.

W któryś piątek wieczorem Nicky i Gloria postanowili pójść przed snem na przechadzkę. Szczęściarz wraz z kilkoma innymi chłopcami zawołał mnie na stronę i spytał, czy nie wziąłbym udziału w figlu, który zamierzają wyplatać Nicky'emu.

– Wiesz, że Nicky nigdy nie był na wsi – powiedział Szczęściarz, stary wyjadacz, bo wcześniej był na wsi raz. – Wziąłbyś jedną z tych świec i poszedł z nami?

– Co chcecie zrobić?

– Nic groźnego. Zapolujemy na niedźwiedzia.

Wzięliśmy więc świece, zapaliliśmy je i ruszyliśmy tą samą ścieżką, którą poszli Nicky i Gloria. Dość szybko trafiliśmy na tę parę, która już zmierzała w stronę domu.

– Co robicie? – zapytał Nicky.

– Polujemy – odpowiedział Szczęściarz. – Szukamy niedźwiedzi. Chcecie zobaczyć ich ślady?

Ukląkł na ścieżce i przybliżył świeczkę do ziemi. W miękkim podłożu widać było dużo śladów krów. Nicky przyjrzał im się i na pewno stwierdził, że są to ślady tajemnicze i nieznane. Niemal było widać jak mu się jeży włos. Objął żonę i poprosił o świeczkę.

Nagle Szczęściarz przystanął.

– Co to takiego? – zapytał bardzo cichym i przestraszonym głosem. Wskazał na ścieżce coś, co w świetle księżyca ledwie mogliśmy dojrzeć. Oczywiście wyglądało to jak przyczajony w mroku niedźwiedź. Gdybym nie wiedział, że w tym niesamowitym świetle oglądamy właśnie stary szkolny dzwon, sam bym się przestraszył.

Gdy znowu odszukaliśmy spojrzeniem Nicky’ego, ukrył się już wraz z żoną za pobliskim jaworem. Pozostali chłopcy podnieśli z ziemi kamienie i rzucali nimi w niedźwiedzia wołając do Nicky’ego, żeby nie był tchórzem i im pomógł.

Wtedy nagle Nicky się roześmiał. Razem z żoną wyszedł zza drzewa.

– Co tam! – powiedział głośno i odważnie. – Mam wiarę. Będę ufał Bogu. Wierzę, że On pomoże mi uciec! Po czym wraz z żoną ruszył biegiem w stronę domu, a my dostaliśmy ataku śmiechu. Kiedy wróciliśmy, zajęliśmy się przygotowaniem Nicky’emu i Glorii gorącej czekolady. Trzeba było aż sześciu kubków, żeby wypłoszyć z nich strach.

Tego lata ze zdziwieniem odkryłem jak bardzo kuchnia przy Clinton Avenue 416 wpływała na nasze życie.

Może to Bóg zadbał o to, żebyśmy przez pierwsze długie miesiące naszej pracy w Ośrodku nie mieli kucharza. Wypróbowaliśmy wszystkie możliwe sposoby żywienia się, ale ten jeden, posiadanie na pełnym etacie kucharza, który wziąłby w swe władanie spiżarnię, nie został nam dany. Tak już jest, że kuchnia stanowi zwykle serce domu, a prawdziwy kucharz zawsze z niej wszystkich przepędza, żeby móc zrobić to, co ma do zrobienia. Zostajesz więc wypędzony z serca domu.

W przypadku Ośrodka tak się nie stało, bo nigdy nie mogliśmy znaleźć kucharza.

Tym samym panował tam radosny nieład. I żeby to zrozumieć, trzeba najpierw wiedzieć, skąd brało się jedzenie. Jak wszystko inne w Ośrodku, zdobywamy jedzenie w ten sposób, że się o nie modlimy. To jeden z tych punktów programu, w których mieszkający z nami członkowie gangów biorą najaktywniejszy udział. Każdego dnia modlimy się o jedzenie, a to, jak się ono pojawia, pozwala tym chłopakom nauczyć się czegoś na temat wiary w bardzo praktyczny sposób. Ludzie przysyłają szynkę, frytki, owoce, warzywa. Albo też przysyłają pieniądze nie podając konkretnego celu.

Jednakże któregoś dnia dzieciaki wstały, umyły się i zeszły na dół na śniadanie, ale na stole nie było nic. Kiedy dojechałem z domu do biura, w całym Ośrodku aż wrzało z powodu braku jedzenia.

– Chyba tym razem twoja modlitwa nie zadziałała, co Dave? – powiedział jeden chłopak z gangu.

– Panie – powiedziałem sam do siebie – daj nam lekcję wiary, którą zapamiętamy na zawsze.

Głośno zaś powiedziałem:

– Zróbmy eksperyment. Nie mamy na dzisiaj nic od jedzenia, prawda?

Chłopcy skinęli głowami.

– A Biblia mówi: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, prawda?

– Skoro tak twierdzisz...

Zaśmiałem się i spojrzałem na pastora Culvera, który wzruszył ramionami i skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że nauczy chłopaka Modlitwy Pańskiej.

– Więc może pójdziemy teraz wszyscy do kaplicy i pomodlimy się, żebyśmy dostali albo jedzenie, albo pieniądze, żeby je kupić.

– Jeszcze przed lunchem, co Dave? – powiedział chłopak. – Jestem coraz bardziej głodny.

– Przed lunchem. Ile tu mamy osób? – rozejrzałem się wokół. Liczba mieszkańców Ośrodka nieustannie się zmieniała. Tego dnia trzeba było nakarmić dwadzieścia pięć osób.

Wyliczyłem, że na obiad i kolację dla tylu osób potrzeba by trzydziestu, trzydziestu pięciu dolarów. Pozostali zgodzili się ze mną. Poszliśmy więc do kaplicy, zamknęliśmy drzwi i zaczęliśmy się wszyscy modlić.

– Skoro tu jesteś, Panie – mówił chłopiec z gangu – to czy mógłbyś zadbać o to, żebyśmy nie chodzili głodni przez resztę lata?

Spojrzałem na niego, odrobinę poirytowany. Wydało mi się, że to już chyba lekka przesada. Musiałem jednak przyznać, że gdybyśmy nie musieli się ciągle martwić o tak podstawowe potrzeby jak jedzenie, to moglibyśmy popracować również nad innymi rodzajami modlitwy.

Jedną z cech modlitwy w Ośrodku jest to, że bywa dość głośna. Często modlimy się na głos i panuje wśród nas wolność w Duchu, która czasem przeraża tych, którzy spotykają się z tym po raz pierwszy. Mogą myśleć, że to jakieś dziwne zwyczaje, bo nie zdają sobie sprawy z tego, że w ten sposób po prostu wyrażamy przed Bogiem to, co naprawdę czujemy. Jeśli się modlimy o coś, na czym nam zależy, wypowiadamy to nie tylko ustami, ale daje się to również odczuć w tonie modlitwy.

A tego ranka bardzo nam zależało. Właśnie kiedy nasz ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do naszych uczuć, zjawiał się ktoś obcy.

Nawet nie usłyszeliśmy pukania do drzwi kaplicy. Kiedy w końcu ta osoba otworzyła drzwi i zobaczyła dwadzieścia pięć osób na kolanach dziękujących Bogu za jedzenie, które dał w przeszłości i dziękujących Mu również za to, które dopiero w jakiś sposób da w związku z tą nagłą potrzebą, jestem pewien, że pożałowała, że w ogóle przyszła.

– Przepraszam – powiedziała łagodnie.

– Przepraszam! – powtórzyła nieco głośniej.

Byłem blisko, więc ją usłyszałem i natychmiast wstałem. Reszta pracowników i członków gangu dalej trwała w modlitwie.

Zanim wyjawiała nam powód swojej wizyty, kobieta ta trochę się wahała. Wciąż zadawała pytania, ale zauważyłem, że im więcej się dowiadywała na temat naszej działalności, tym większy okazywała entuzjazm. W końcu zapytała o tę sesję modlitewną, której właśnie była świadkiem. Opowiedziałem jej o tym, jak dziś rano po przyjeździe dowiedziałem się, że w domu nie ma już żadnej żywności, jak również o celu modlitwy.

– Kiedy zaczęliście się modlić? – zapytała.

Zastanowiłem się chwilę.

– Jakąś godzinę temu.

– Wie pan – powiedziała – to naprawdę nadzwyczajne. Bardzo mało wiedziałam o tym, co tu robicie, ale jakąś godzinę temu poczułam nagle potrzebę zrobienia czegoś, co jest zupełnie do mnie niepodobne. Poczułam, że powinnam wybrać moje oszczędności i przynieść je wam. Teraz już znam przyczynę.

Wreszcie wyjawiała powód swojej wizyty.

Położyła na moim biurku białą kopertę, wyrażając przy tym nadzieję, że na coś się przyda. Podziękowała mi za pokazanie jej naszego Ośrodka i poszła. Koperta zawierała trochę ponad trzydzieści dwa dolary, czyli dokładnie taką sumę, jakiej potrzebowaliśmy, żeby się wyżywić przez resztę dnia.

I wiecie co, modlitwa tego nastolatka również została wysłuchana! Do końca lata nigdy już nie brakowało nam jedzenia.

Jeszcze trudniej było znaleźć pieniądze na funkcjonowanie całego Ośrodka. Gdy zbliżał się czas, kiedy to nasi młodzi pracownicy musieli wracać do szkoły, obliczyliśmy, ile kosztowało nas prowadzenie Ośrodka na pełnych obrotach przez całe lato. Zdziwiło nas jak wiele na to poszło pieniędzy.

Mieliśmy do zapłacenia comiesięczne raty hipotecznego kredytu, rachunki za prąd i jedzenie, druk i transport. Kupowaliśmy też odzież dla naszych chłopców z ulicy, których ubrania

często trzeba było po prostu wyrzucać, były też rachunki za różnego rodzaju naprawy oraz podatki. Do tego pensje: nawet te niskie wynagrodzenia, które wypłacaliśmy naszym pracownikom, razem stanowiły sumę dwustu dolarów. Ogółem wszystkie nasze stałe wydatki pochłaniały ponad tysiąc dolarów tygodniowo.

A nigdy nie mieliśmy w banku więcej niż tylko parę dolarów. Zwykle stan naszego konta wynosił mniej niż sto dolarów. Jak tylko wpływały pieniądze, natychmiast pojawiała się jakaś nagła potrzeba. Często tęskniłem za tym, żeby nasza sytuacja finansowa pozwoliła nam odetchnąć nieco swobodniej. Jednak równie często wracam do przekonania, że Pan chce, żebyśmy żyli właśnie w ten sposób. Jednym z najtrudniejszych wyzwań, jakie rzuca nam wiara jest to, abyśmy całkowicie ufali Bogu, że zaopatrzy nas we wszystko, czego potrzebujemy, by wykonać Jego pracę. A kiedy tylko będziemy mieli pokaźne saldo w banku, przestaniemy polegać na Nim w taki sposób, jak to robimy teraz, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, nie tylko w potrzebach duchowych, ale również materialnych.

Skąd bierze się te tysiąc dolarów tygodniowo?

Sporą część tej sumy zbierają same nastolatki. Młodzi ludzie w całym kraju odpowiedzieli na nasz apel dotyczący tego przedsięwzięcia i pomagają je nam finansować. Pilnują odpłatnie dzieci, koszą trawniki i myją samochody. Setki z nich zobowiązały się przysyłać pięćdziesiąt centów tygodniowo, żeby pomóc takim jak oni nastolatkom. Dostajemy niewielkie sumy, ale błogosławimy i doceniamy każdy grosz.

Są też pojedyncze kongregacje w całym kraju, które wciągnęły nas na listę wspieranych przez siebie misji. Któregoś dnia przyjechała do nas pewna pani z Florydy. Przeczytała o Ośrodku Teen Challenge, ale nie zdawała sobie w pełni sprawy z ogromu problemów, z jakimi boryka się młodzież tego miasta, dopóki nie oprowadziliśmy jej po okolicy wyjaśniając, co ogląda na własne oczy. Tu młoda alkoholiczka, tam piętnastoletnia męska prostytutka, tu chłopak, który nie może zerwać z braniem heroiny, tam chłopiec, który po prostu czuje się samotny. Kiedy wróciła do swojej wspólnoty, stanęła przed całym zgromadzeniem i opowiedziała, co widziała.

– My tu żyjemy w komforcie, podczas gdy tamte dzieci łakną duchowej pomocy. Jeśli chodzi o mnie, wzięłam sobie potrzeby tego Ośrodka do serca i zamierzam go wspierać. Mam nadzieję, że do mnie dołączycie. Oni potrzebują dosłownie każdego centa.

Wszystkie te źródła nie mogły jednakże zaspokoić specjalnych potrzeb Ośrodka, takich jak sfinansowanie do końca kupna budynku. Należało to potraktować jako sprawę wyjątkową i jako taką oddać Bogu.

Właśnie teraz, kiedy w końcu wszystko zaczęło się układać, wiedziałem, że czeka nas kolejny krytyczny punkt. Za dwa tygodnie mieliśmy zapłacić drugą ratę hipotecznego kredytu: piętnaście tysięcy dolarów!

Mówiąc szczerze, po prostu starałem się nie myśleć o nadchodzącym terminie kolejnej raty. Oczywiście nie odkładałem żadnych pieniędzy z myślą o tej potrzebie. I tak ledwie wiązaaliśmy koniec z końcem.

Nasz termin upływał 28 sierpnia 1961 roku. Aż za dobrze wiedziałem, że tego dnia staniemy twarzą w twarz z twardą rzeczywistością.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 19

Im bardziej zbliżał się termin kolejnej raty, tym bardziej byłem zdecydowany w jakikolwiek sposób znaleźć pieniądze, bo czekało nas jeszcze jedno wyzwanie, inne niż wszystkie, z jakimi mieliśmy do czynienia dotąd.

Któregoś dnia późnym popołudniem zadzwoniła do mnie Maria i powiedziała, że chciałaby się ze mną spotkać.

– Oczywiście Mario, masz nasz nowy adres.

Poprosiłem do siebie Lindę i pokrótce opowiedziałem jej o Marii.

– Powinnaś ją poznać. Ma ogromne możliwości, mogłaby wiele osiągnąć, jeśli tylko zostałaby właściwie ukierunkowana. Jest odważna, ale tak, jak się jest odważnym będąc członkiem gangu. Kiedy miała zostać szefową swojego gangu, musiała stanąć pod ścianą i pozwolić, żeby wszyscy inni bili ją tak mocno jak tylko dali radę. Jest świetną organizatorką, ale marnuje te zdolności w gangu: udało jej się stworzyć grupę złożoną z ponad trzystu dziewcząt.

Nie sądzę jednak, żeby jej zamiar odwiedzenia mnie miał związek z gangiem. Myślę, że chce przyjść dlatego, bo znów wróciła do heroiny.

Opowiedziałem Lindzie w skrócie o walce Marii z nałogiem. O tym, że kiedy spotkałem ją po raz pierwszy ponad cztery lata temu, wstrzykiwała sobie narkotyk do żyły, ale starała się rzucić ten nałóg po tym, jak w hali St. Nicholas wyszła naprzód. Potem wyszła za mąż i przez jakiś czas wszystko wydawało się układać dobrze. Maria opuściła gang, Johnny dostał pracę, pojawiły się dzieci.

Ale któregoś dnia Maria i Johnny pokłócili się. Maria natychmiast skontaktowała się z dilerem. Znowu zaczęła brać. Potem ponownie na krótko z tym zerwała, a teraz, byłem tego niemal pewien, zadzwoniła, by powiedzieć, że znowu bierze.

Podczas kiedy rozmawiałem z Lindą, weszła sekretarka i powiedziała, że Maria już przyszła. Jak strasznie zmieniła się ta dziewczyna od czasu, kiedy ją ostatnio widziałem! Kiedy weszła, oboje z Lindą powstaliśmy. Zachowaliśmy się trochę dziwnie, jakbyśmy po prostu czuli, że należy powstać na widok śmierci.

Oczy Marii były szkliste, ciekło jej z nosa. Miała ziemistą cerę, matowe i potargane włosy. Obcaszki jej butów były zdarte, była bez pończoch i widać było czarne owłosienie jej nóg.

Jednak najbardziej rzuciły mi się w oczy jej ręce. Zamiast luźno spoczywać u boków, były lekko uniesione. Co chwilę jej dłonie zaciskały się w pięści, po czym je rozluźniała, jakby przy najmniejszej prowokacji gotowa była się bić.

– Pastorze Wilkerson – powiedziała – nie muszę chyba mówić, że potrzebuję pomocy.

– Wejdz, Mario – powiedziałem, podając jej krzesło.

– Usiądź – powiedziała Linda – Zrobię ci herbaty.

Biedna Linda, nie wiedziała, że w slangu narkomanów spotkanie przy herbatce (tea party) oznacza wspólne wstrzykiwanie narkotyku.

Musiała ją zaskoczyć gwałtowna reakcja Marii.

– Nie! – powiedziała – Niczego nie chcę!

Usiadła.

– Jak dzieci?

- Skąd mam wiedzieć?
- Zostawiłaś Johnny'ego?
- Klócimy się.

Spojrzałem na Lindę.

– Mówiłem Lindzie o tobie. Wszystko, dobre i złe. Jak już porozmawiamy, chciałbym, żebyś się z nią lepiej poznała. Sporo robi wśród dziewcząt w mieście. Wybrałem ją, bo umie człowieka zrozumieć. Dogadacie się.

Maria i Linda porozmawiały ze sobą. Później Linda przyszła do mojego biura, zmartwiona, że nie udało jej się dotrzeć do Marii.

– To te narkotyki, Dave – powiedziała – Co za diabelska trucizna! To śmierć na raty!

Kilka dni później sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Maria zadzwoniła do Lindy. Błagała o pomoc. Mówiła, że właśnie pakuje się w poważne kłopoty i nie wie jak się od tego powstrzymać. Wzięła właśnie trzecią działkę heroiny i wypila całą butelkę whisky, a teraz razem ze swoim starym gangiem idzie się bić z gangiem wrogów.

– Zamierzamy zabić dziewczynę o imieniu Dixie – powiedziała – musisz przyjechać i nas powstrzymać.

Linda i jej dwie partnerki natychmiast pojechały na 134 ulicę na Manhattanie. Wpadły do głównej siedziby żeńskiego gangu. Spędziły tam ponad godzinę, ale zanim wyszły, walkę odwołano.

– Dave – powiedziała Linda po powrocie – sytuacja jest rozpaczliwa. Po prostu musimy coś zrobić dla tych dziewczyn.

Co to jest narkomania?

Cztery lata zajęło mi stworzenie sobie pełnego obrazu tego skomplikowanego i groźnego zjawiska, jakie kryje się za prostym słowem narkotyki. Ale obraz, który się w końcu wyłonił, jest wstrząsający.

Zgodnie z ostatnimi oficjalnymi danymi, w samym mieście Nowy Jork jest ponad 30 tysięcy narkomanów, a te statystyki bazują jedynie na rejestrach tych, którzy trafiają do szpitali, więzień lub szpitali psychiatrycznych. Tysiące innych heroinę wdychało albo wstrzykiwało sobie narkotyk podskórnie: tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci skazanych na to, co Linda obrazowo określiła jako „śmierć na raty”.

Wśród narkomanów jest tylu nastolatków, że mogliby zaludnić małe miasteczko: co najmniej cztery tysiące! Jednak bardziej znaczące i bardziej przerażające jest to, że odsetek nastoletnich narkomanów stale rośnie. A jeszcze należy wziąć po uwagę fakt, że co roku setki narkomanów opuszczają szeregi nastolatków po prostu dlatego, że dorastają.

Aby zrozumieć zagrożenie i wyzwanie, jakie rzuca zjawisko narkomanii wśród nastolatków, najpierw musiałem pojąć, jak ogromne zyski czerpią z tego procederu handlarze narkotyków.

Bez wątpienia najpowszechniej używanym uzależniającym narkotykiem w Nowym Jorku jest heroina, pochodna opium. Kilogram heroiny można kupić w Bejrucie, w Libanie, za trzy tysiące dolarów. Po przebyciu drogi z Bejrutu, ten sam kilogram, wielokrotnie przemycany, kupowany i sprzedawany, na ulicach Nowego Jorku osiąga cenę trzysta tysięcy dolarów. W okresach ograniczonych dostaw te same zainwestowane trzy tysiące dolarów może przynieść w zamian milion! Każdy interes, który może zmienić trzy tysiące dolarów w milion (wolny od podatku), będzie kwitł.

Jeśli oprócz zysku uwzględnimy fakt, że uniemożliwienie przemytu jest praktycznie niemożliwe, to zrozumiemy w pełni dlaczego handel narkotykami w Nowym Jorku ma się dobrze. Żeby dwunastu celników przeszukało zaledwie jeden statek, potrzeba dobrych kilku godzin. Każdego roku do portów Nowego Jorku przybija z zagranicy dwanaście tysięcy pięćset statków, a do tego trzeba dołożyć osiemnaście tysięcy samolotów. Do przeszukiwania tych trzydziestu tysięcy przewoźników Urząd Celny Departamentu Skarbu Państwa Stanów

Zjednoczonych dysponuje marną liczbą 265 ludzi. Efekt jest taki, że ktoś dotąd nie notowany jako przemytnik może dostać się do miasta praktycznie bez żadnego ryzyka, niosąc wartą milion dolarów heroinę zaszytą w małych jedwabnych woreczkach poukrywanych w różnych częściach ubrania.

Ale jakim sposobem sprzedawcy znajdują nabywców? Oto wyjaśnienie:

Ostatnio w gazetach głośno było o tym, że dealerzy kręcili się w pobliżu jednej ze szkół w mieście. Dla władz szkolnych nie było to nic nowego. Wiedziały, że większość narkomanów dostaje pierwszą próbkę narkotyku w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły. Uczniom Junior High School nr 44 na Brooklynie zabroniono ostatnio opuszczać budynek podczas przerwy na lunch. Władze uznały to posunięcie za konieczne dla ochrony dzieci. Tak powszechne było w najbliższej okolicy namawianie do brania narkotyków! Dilerzy zuchwale wyczekiwali tuż obok szkolnego podwórka, a czasami po prostu na nie wchodzili.

Handlarze oferują darmowe próbki towaru. Pewien chłopiec (imieniem Joseph), którego miałem okazję bardzo dobrze poznać, opowiadał mi, jaki jest ich sposób działania.

– Taki diler zabiera cię do samochodu, w którym być może siedzi już ktoś z twojej klasy i pali trawkę. „Marihuana ci nie zaszkodzi” – mówi. Potem powiada, że to nie uzależnia. I rzeczywiście tak jest, ale marihuana prowadzi do cięższych narkotyków. Diler stara się przekonać cię, żebyś zapalił, a jeśli się wahasz, inni chłopcy zaczynają się śmiać i nazywają cię tchórzem, aż w końcu się poddajesz i bierzesz jednego skręta. Tak właśnie było ze mną.

Historia Josepha jest typowa. Taki nastolatek zaczyna palić na tylnym siedzeniu samochodu jakiegoś handlarza. Dowiaduje się, że marihuaną nie należy się zaciągać tak jak papierosami. Trzeba ją wdychać, aż od dymu zacznie ci się kręcić w głowie. Wróciwszy tego pierwszego dnia do szkoły chłopak stwierdza, że przestają dla niego istnieć jakiekolwiek problemy. Większość narkomanów to ludzie samotni, sfrustrowani, pełni złości i zwykle pochodzący z rozbitych domów. Jedna próbka cudownego zioła i chłopak odkrywa, jak to jest być nieustannie szczęśliwym. Zapomina o ojcu alkoholiku i matce, która włóczy się nie wiadomo gdzie, przestaje go wzruszać brak miłości w jego życiu, czy ubóstwo, które sprawia, że musi gnieść się w tym samym łóżku ze swoimi dwiema siostrami i w tym samym pokoju, co rodzice. Zapomina o tym wszystkim. Jest wolny, a to znaczy bardzo wiele.

Następnego dnia usłużny handlarz tylko czeka, żeby zaproponować kolejną dawkę nieba. Kiedy chłopak jest gotowy, zapoznaje się go z czymś mocniejszym: z heroiną. Tutaj również stosuje się tę samą taktykę: darmowa dawka narkotyku za pierwszym razem, czy za pierwszymi dwoma razami. Diler z chęcią godzi się na taką inwestycję, bo wie, że zaledwie piętnaście dni nieprzerwanego zażywania heroiny prowadzi do uzależnienia!

A teraz iście szatański podstęp tego całego biznesu:

Heroina kosztuje od trzech do piętnastu dolarów za „działkę” – działka to dawka heroiny w małym celofanowym pojemniczku, wystarczająca na jedną szprycę, czyli dożylny zastrzyk narkotyku.

– Davie – powiedziała mi pewna dwudziestoletnia dziewczyna na głodzie – mój nałóg kosztuje mnie sześćdziesiąt dolarów dziennie. Słyszałam o takich, którzy dziennie potrzebują stu dolarów.

Stwierdziłem jednak, że w większości przypadków nałóg wymaga wydania dwudziestu pięciu lub trzydziestu dolarów dziennie. Skąd nastolatek, który dostaje dwadzieścia pięć centów na lunch ma wziąć dwadzieścia pięć dolarów?

Może wejść na drogę przestępstwa. Rozboje, kradzieże kieszonkowe, kradzieże w sklepach, włamania do mieszkań, napady z bronią w rękę i włamania do samochodów dokonywane przez nastolatków stały się w Nowym Jorku jednym z poważniejszych problemów, i policja twierdzi, że ich przyczyną jest narkomania. Jednak chłopak dostaje od pasera tylko jedną trzecią wartości skradzionych rzeczy. Tak więc, aby znaleźć na narkotyki te dwadzieścia pięć dolarów dziennie, musi ukraść rzeczy warte siedemdziesiąt pięć dolarów. Szef



Nowojorskiego Biura ds. Narkotyków, inspektor Edward Carey szacuje, że właśnie z powodu narkomanii, w samym tylko mieście, popełniane są kradzieże na sumę 200 milionów dolarów rocznie.

Kradzież nie jest jednak rozwiązaniem dla chłopaka, który wpadł w nałóg. Wymaga to zbyt wiele pomysłowości i zachodu, poza tym zawsze wiąże się z ryzykiem. O wiele łatwiej samemu zostać sprzedawcą.

Któregoś wieczoru na ciemnym rogu ulicy pewien nastolatek opowiedział mi, jak to było w jego przypadku. Karl ma osiemnaście lat. Od trzech lat bierze dożylnie. Kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego nałóg kosztuje go piętnaście, potem dwadzieścia, a jeszcze potem dwadzieścia pięć dolarów dziennie, poszedł do swojego dostawcy i zaproponował, że pomoże mu sprzedawać.

– O nie, kochasiu. Jeśli chcesz sprzedawać, musisz sobie znaleźć własnych klientów.

I to właśnie zdanie wyjaśnia, dlaczego narkomania rozprzestrzenia się tak szybko.

Żeby opłacić narkotyki dla siebie, Karl wciskał je młodszemu chłopcom. Używał tej samej techniki, której użyto wobec niego. Mówił, że nałóg „wart jest tych paru dolców”. Wybierał co wrażliwszych, bardziej pokrzywdzonych i zamkniętych w sobie chłopców i wywierał na nich presję. Jeśli nie chcieli palić marihuany, nazywał ich tchórzami. W końcu Karlowi udało się rozwinąć własny interes. W łańcuchu wciąż rozprzestrzeniającego się uzależnienia znalazł się nie jeden, ale dziesięciu nowych chłopców.

Zawsze zadawałem tym chłopakom, obok innych pytań, również to: „Czemu po prostu tego nie zaniechasz?”

Załóżmy, że chłopak rzeczywiście chce przestać. Oto co go czeka. Jakies dwie godziny po tym jak przestaje działać ostatnia szpryca, zaczynają się objawy narkotykowego głodu. Najpierw całe ciało, wszystkimi swoimi porami, zaczyna błagać o porcję narkotyku. Potem chłopak zaczyna się pocić. Wstrząsają nim dreszcze, dostaje coraz wyższej gorączki. Zaczyna wymiotować. Całymi godzinami ma nudności. Nerwy w całym ciele od stóp do czubka głowy napinają się jak struny, powodując rozdzierający ból. Zaczyna mieć halucynacje i koszmary okropniejsze niż mógłby sobie wyobrazić jakikolwiek alkoholik.

Trwa to całe trzy dni. Jeśli nie udzieli mu się pomocy, po prostu nie da sobie rady. Ale nawet w przypadku udzielenia pomocy, zaledwie jeden na dziesięciu ma szansę uwolnienia się od nałogu. Każdego roku do szpitala United States Public Health Service w Lexington przyjmuje się trzy i pół tysiąca narkomanów. Ponad sześćset osób – lekarzy i pomocniczego personelu medycznego – stara się im pomóc wyrwać ze szponów nałogu. Jednakże dwadzieścia lat trwające badania przeprowadzone w latach 1935–1955 wykazały, że 64 procent narkomanów wraca do nałogu! O wiele więcej wróciło do narkotyków, ale nie pojawiło się więcej w szpitalu. Dr Murray Diamond, ordynator tego szpitala twierdzi, że 85 do 90 procent narkomanów w końcu wraca do nałogu.

– Kiedy już się w to wpadnie – powiedział mi chłopak, który był w Lexington – to na dobre. Skołowałem sobie działkę w pięć minut po tym, jak stamtąd wyszedłem.

Co się dzieje z tymi dziewięcioma na dziesięciu narkomanów, którzy nie mogą zerwać z nałogiem? Następuje fizyczne wyniszczenie, bolesne i odrażające. Karl, nawet wtedy, kiedy wciskał młodszemu chłopcom narkotyki, miał przy sobie broszurę z nowojorskiego departamentu policji opisującą fizyczne skutki ciągłego zażywania narkotyków:

„Człowiek uzależniony od narkotyków to po prostu żywy trup. Wiele jest objawów zdradzających uzależnienie – czasami mogą występować tylko niektóre z nich:

Psucie się i wypadanie zębów, utrata apetytu, nieprawidłowe funkcjonowanie żołądka i jelit, zapalenie pęcherzyka żółciowego, żółtawy kolor oczu i skóry. W niektórych przypadkach występuje mocne zaczerwienienie błon śluzowych nosa, zanika przegroda nosowa, co

utrudnia oddychanie. Zmniejsza się poziom tlenu we krwi, rozwija się bronchit i gruźlica. Zanikają dobre cechy charakteru, górę biorą złe. Zostają również zaatakowane organy płciowe. Żyły zapadają się pozostawiając sinawe blizny. Na skórze pojawiają się czyraki i wrzody, ciałem targa rozdzierający ból. Zawodzą nerwy, pojawiają się różne nerwowe tiki. Wyimaginowane lęki niszczą umysł i czasami prowadzą do obłądu. Często też przychodzi śmierć – o wiele za wcześnie. Według pewnego specjalisty cytowanego w broszurze Departamentu Skarbu Państwa, w porównaniu z osobami zdrowymi, narkomani umierają na gruźlicę cztery razy częściej; na zapalenie płuc – dwa razy częściej; przedwczesna starość osiąga ich pięć razy częściej; bronchit – cztery razy; wylew krwi do mózgu – trzy razy częściej oraz ponad dwa razy częściej umierają z powodu wielu innych chorób. Taka męka staje się udziałem narkomana; takie cierpienie jest udziałem chodzącego trupa.

Karl wiedział, co go czeka. Wcale go to jednak nie powstrzymało. Nie pomogło to też Krótkiemu. Krótki przyszedł do mnie z prośbą o pomoc i w trakcie naszych kontaktów udzielił mi tragicznej lekcji.

Miał dziewiętnaście lat i był uzależniony od heroiny. Brał narkotyki od piętnastego roku życia. Jego dziewczyną była śliczna siedemnastolatka Tammy. Jej rodzice coś znaczyli w świecie. Obracali się w kręgach nowojorskiego biznesu i tzw. wyższych sfer, chodzili też do kościoła, w którym ludziom z ich pozycją wypadało się pokazywać.

Krótki poprosił, żebym wyrwał z tego Tammy. Zgodziłem się z nią spotkać. Kiedy razem zapukaliśmy do drzwi ciemnego, zaszczurzonego pokoju w suterenie na tyłach czynszowego domu na Brooklynie, ze środka dobiegł odgłos pospiesznego szurania. Staliśmy pod drzwiami, a zniecierpliwiony Krótki mruczał coś pod nosem. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, stanęła w nich bardzo zaskoczona naszą niespodziewaną wizytą Tammy.

W kiepsko oświetlonym pokoju było oprócz niej dwóch młodzieńców. Mieli podwiniete rękawy na lewej ręce. Na stole przed nimi leżały „przybory” składające się z igły, zakrętki od butelki („kuchenki”), szklanki wody i małej celofanowej paczuszki zawierającej biały proszek – heroiny.

– A to co za jeden! – zapytała Tammy wskazując mnie ruchem głowy.

– On jest w porządku – powiedział Krótki. – To kaznodzieja. Zaprosiłem go.

– No to będzie musiał poczekać, jeśli chce ze mną gadać – Tammy odwróciła się do nas tyłem i wróciła do procesu podgrzewania, który przerwaliśmy swoim wejściem. Krótki chyba czytał w moich myślach, bo odwrócił się do mnie i bardzo cicho wyszeptał:

– Nie próbuj ich powstrzymać, pastorze. Jeśli zmarnujesz im działkę, to cię zabiją. Mówię serio. Jeśli wyjdiesz, żeby sprowadzić gliny, to zanim wrócisz już nas tu nie będzie. Siedź cicho. Sporo się dowiesz.

Więc siedziałem cicho i dowiedziałem się jak to jest być nastoletnim narkomanem.

W czasie tych przygotowań do zastrzyku, Krótki opowiedział mi o Tammy. Ona również zaczęła brać heroinę w wieku piętnastu lat. Jej rodzice nie wiedzieli nic o podwójnym życiu, jakie prowadziła, ani o spędzanych z mężczyznami nocach. Wiedzieli tylko, że Tammy wyniosła się z domu i mieszka w Village. Widywali ją w weekendy i chociaż byli nieco zaszokowani jej swobodnym stylem życia, uznali, że każda dziewczyna musi przejść okres buntu. Zostawili ją w spokoju. W przypadku Tammy ten czas buntu polegał na pogłębiającym się uzależnieniu od heroiny i coraz większym prostytuowaniu się.

– Musi to robić, żeby mieć na prochy – powiedział Krótki. – Jest dziewczyną na telefon. Ma listę stałych klientów, większość z nich to biznesmeni z Madison Avenue z żonami w Westchester – tu Krótki zniżył głos – ale wkurza mnie to, że ona tyle czasu spędza z pedałami. Robi się z niej coraz większa lesbijka. To ją rajcuje.

Nie miałem serca pytać Krótkiego, jaka jest w tym wszystkim jego rola. Miał mniej niż pięć stóp wzrostu i ciemne włosy. Tammy była szczupłą, wysoką blondynką. Nie poruszyłem tego tematu. Krótki niecierpliwił się.

Nigdy już nie zapomnę sceny, której się stałem następnie świadkiem. Przygotowanie działek dobiegało końca. Teraz wszystkie nastolatki, łącznie z Krótkim, pchały się jeden przez drugiego, żeby wziąć szprycę przed pozostałymi. Pierwszeństwo dawano temu, kto czuł się najgorzej, i Krótki nagle zaczął się trząść, wić z bólu i jęczeć. Pewnie po to, żeby być pierwszy. Czwórka nastolatków chciwym wzrokiem wpatrywała się w chłopaka, który z celofanowej paczuszki wsypywał heroinę do nakrętki kuchenki. Nie zmarnował się ani pyłek.

– Szybciej – jęczeli mu prosto do ucha.

Trzęsącymi się rękami chłopak zapalił pod „kuchenką” dwie zapalki i zagotował zawartość. Inny narkoman zdjął pasek i zacisnął go na ramieniu Krótkiego. Pozostali stawali się coraz bardziej nerwowi. Stali w pełnej gotowości zaciskając zęby i pięści, żeby nie wyrwać naładowanej strzykawki z ręki Krótkiego. Łzy płynęły im po policzkach, klęli pod nosem i zagryzali wargi. A potem, jeden po drugim wbijali sobie w żyłę to upragnione ich szczęście.

Nigdy nie czułem się tak bliski piekła. Dzieciaki popadły w swego rodzaju euforię. Bardzo długo słuchałem ich głupiej i bezładnej gadaniny. Krótki opowiedział mi o śnie, w którym stał przed górą białej heroiny, napęczniałych strzykawek i wiecznego ognia do podgrzewania towaru. Dla niego to było właśnie niebo, miejsce, gdzie mógłby sobie wstrzykiwać w żyły całe góry śnieżnobiałej heroiny.

– No i co, pastor? Wyciągniesz z tego Tammy? – zapytał, przypominając sobie w końcu, po co mnie tu przyprowadził.

Powiedziałem mu, że na pewno chciałbym spróbować. I rzeczywiście próbowałem wtedy porozmawiać z Tammy, ale spojrzała na mnie szklistym wzrokiem i powiedziała, żebym się wynosił do diabła. Była w niebie. Jej zdaniem po prostu nie wiedziałem, co to jest niebo. Świetnie sobie poradzi bez jakiegoś rąbniętego kaznodziei.

Kiedy już dostał swoją działkę, Krótki zaczął się zastanawiać, po co mnie właściwie tutaj zaprosił. Kiedy powiedziałem mu, że nie mam na to żadnego cudownego lekarstwa i że mogę mu tylko obiecać pomoc, kiedy pójdzie na odwyk, spojrzał na mnie, podrapał się po głowie i powiedział:

– To po coś tu w ogóle przylazł?

Przegrałem.

Przegrałem. Tak jak w przypadku Marii. Wyszedłem z mieszkania. Kiedy zjawiłem się tam jeszcze raz, żeby spróbować im pomóc, Tammy i Krótkiego już nie było. Znikły wszystkie ich przybory. Nikt nie wiedział, gdzie są. I nikogo to chyba nie obchodziło.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 20

Strasliwej władzy, jaką narkotyki mają nad ludzkim ciałem nie sposób wyjaśnić biorąc pod uwagę jedynie fizyczny aspekt tego zjawiska. Mój dziadek powiedziałby, że to diabeł trzyma tych chłopców w swoich szponach i myślę, że miałby rację. Mówili o tym sami chłopcy, tylko wyrażali to trochę inaczej:

– Davie – słyszałem raz po raz – kiedy wpadniesz w nałóg, masz do czynienia z dwoma uzależnieniami: uzależnieniem ciała i uzależnieniem umysłu. Uzależnienie ciała nie jest aż takim problemem – po prostu trzy dni spędzisz w prawdziwym piekle, potem przez miesiąc będziesz znosił trochę mniejsze tortury i w końcu jesteś wolny.

Ale uzależnienie umysłu, David... to coś okropnego! Jest w tobie coś takiego, co każe ci wracać. Coś, jakby duch, który ci to podszeptuje. Różnie nazywamy tego faceta: jest albo małpą, która ci siedzi na plecach, albo sępem w żyłach.

Nie można się go pozbyć, Davie. Ale jesteś pastorem. Może ten Duch Święty, o którym mówisz, może On coś może na to poradzić?

Nie wiem czemu tyle czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że właśnie w tę stronę powinniśmy pójść. Uświadamiałem to sobie stopniowo, zaczynając od porażki, a kończąc na wspańiałym odkryciu.

Porażka to chłopak o imieniu Joe. Nigdy nie zapomnę tych czterech bolesnych dni, które z nim spędziłem, próbując mu pomóc przetrzymać bolesny odwyk.

Joe był bardzo sympatycznym facetem. Wysoki, o jasnych włosach, był niegdyś w szkole niezłym sportowcem. Wpadł w nałóg inaczej niż większość narkomanów.

– Wydaje mi się, że te środki przeciwbólowe były rzeczywiście konieczne – powiedział mi Joe w moim biurze w Ośrodku. – Wiem, że kiedy ich rzeczywiście potrzebowałem, byłem zadowolony z ulgi, jaką przynosiły. Ale widzi pan, co się ze mną stało? Nie mogę się od tego uwolnić.

Joe opowiedział mi wszystko od początku do końca. Pracował kiedyś w przedsiębiorstwie węglowym. Któregoś dnia poślizgnął się i spadł z pochylni. Wskutek wypadku trafił na wiele miesięcy do szpitala i przez większość tego czasu cierpiał okropne bóle. Żeby ulżyć jego cierpieniom, lekarz przepisał mu narkotyk. Zanim Joe opuścił szpital, był już uzależniony.

– Nie mogłem już dostawać tego lekarstwa – mówił – ale odkryłem, że jest taki syrop na kaszel, który ma w sobie narkotyk i zacząłem chodzić po całym mieście kupując go, gdzie się dało. Za każdym razem musiałem wybierać inną aptekę i podawać fałszywe nazwisko, ale nie miałem żadnego problemu z kupieniem tego, co chciałem. Wchodziłem do najbliższej toalety i jednym haustem wypijałem całą ośmiuncjową butelkę.

Po jakimś czasie nie mogło to już zaspokoić jego rosnącego głodu narkotyku. Wiedział, że niektórzy z jego byłych kumpli ze szkoły brali heroinę i nawiązał z nimi kontakt. Od tego momentu wszystko potoczyło się klasycznie. Najpierw wahał, potem zaczął wstrzykiwać sobie podskórną, wreszcie dożylną. Kiedy zjawił się u nas, brał heroinę od ośmiu miesięcy. Był już głęboko uzależniony.

– Czy mógłbyś zostać tu, w Ośrodku, na jakieś trzy, cztery dni? – zapytałem.

– Nigdzie indziej mnie nie chcą.

– Możesz mieszkać na gorze z personelem.

Joe wzruszył ramionami.

– Wiesz, że to nie będzie łatwe. Będziesz musiał przejść odwyk.

Joe znowu wzruszył ramionami.

Odwyk – natychmiastowe odstawienie narkotyku – to metoda zwykle używana w więzieniach, żeby odzwyczaić chłopaka od brania. Zastosowaliśmy ją częściowo dlatego, że nie mieliśmy wyboru: nie mogliśmy podać leków, które zwykle w takich przypadkach podaje się w szpitalach. Woleliśmy też odwyk, bo miał swoje zalety. Jest znacznie krótszy: trzy dni zamiast trzech tygodni. Ból jest większy, ale szybciej się kończy.

Przyjęliśmy więc Joego do Ośrodka i umieściliśmy go w pokoju na górze, razem z pracownikami płci męskiej. Jakież byłem wtedy zadowolony, że mieszka z nami również dyplomowana pielęgniarka. Pokój Barbary Culver był pod pokojem Joego. Miała mieć na niego oko przez cały czas jego pobytu u nas. Uprzedziliśmy też lekarza, że może nam być potrzebny.

– Joe – powiedziałem, kiedy tylko ulokowaliśmy go w pokoju – od tej chwili zaczyna się odwyk. Obiecuję, że ani przez chwilę nie będziesz sam. Jeśli nie będzie nas przy tobie osobiście, będziemy z tobą w modlitwie.

Nie zamierzaliśmy odstawić po prostu chłopaka od narkotyków i zostawić go samotnie cierpiącego. Przez całe cztery dni miała temu towarzyszyć intensywna modlitwa wstawienicza. Modlitwa miała być zanoszona przez całą dobę. Dzień i noc chłopcy i dziewczęta mieli się o niego modlić w kaplicy. Inni mieli wtedy siedzieć przy nim na górze i czytać mu Pismo.

Najpierw musieliśmy uwolnić Joego od lęku przed bólem. Natychmiastowe odstawienie narkotyku już samo w sobie jest wystarczająco nieprzyjemne, bez dodatkowej zawady w postaci przeświadczenia, że czeka go piekło. Zapytałem Joego skąd wie, że odwyk będzie taki ciężki do zniesienia.

– No...wiesz...wszyscy to mówią...

– No właśnie. Wszyscy mówią, że to bardzo trudne, więc pocisz się na samą myśl o tym, co cię czeka. Przecież właściwie nie musi tak być.

I opowiedziałem Joemu o pewnym znanym mi chłopaku, który palił marihuanę i brał heroinę, a został z tego uwolniony w jednej chwili, bez żadnych reakcji towarzyszących zwykle odwykowi. Przyznałem, że to się zdarza rzadko i Joe powinien być przygotowany na trudne chwile. Jednak po co to jeszcze pogarszać? Namęczyliśmy się sporo, żeby pomóc Joemu oddzielić prawdziwe objawy od objawów mających swe źródło w psychice, biorących się ze zwyczajnego lęku.

Potem nauczyliśmy go Psalmu 31.

To wspaniały psalm. Nazywamy go „Pieśnią narkomana”. Zwłaszcza pewne jego wersety pasują jak ulał do ich sytuacji:

*Uwolnij mnie z sieci zastawionej na mnie,*

*bo Ty jesteś moją ucieczką.*

*Zmiłuj się, Panie, nade mną, bo jestem uciśniony.*

*Ze zgryzoty osłabły moje oczy, moja dusza i wnętrzości,*

*Bo życie moje w bólu upływa, a lata moje na ciągłym wzdychaniach.*

*Moje winy pozbawiły mnie siły i moje kości osłabły.*

*Stałem się pośmiewiskiem dla wszystkich moich wrogów,*

*A jeszcze bardziej dla moich sąsiadów, postrachem dla moich znajomych.*

*Ktokolwiek widzi mnie na ulicy – uciekają.*

*Jestem zapomniany jak zmarły, jestem jak rozbite naczynie.*

Kiedy już rzeczywiście zaczął się odwyk i cały związany z tym ból, Joe pozostawał w swoim pokoju. Barbara regularnie do niego zaglądała. Po prostu nie cierpiałem wchodzenia do tego pokoju. Joe leżał na łóżku trzymając się za brzuch, bo raz po raz chwytały go skurcze. Całe jego ciało było jasnoczerwonego koloru. Pot ciekł z niego strużkami, tak że całe łóżko, łącznie z materacem, było mokre. Krzyczał z bólu i bił się rękami po głowie. Najpierw chciał wody, potem nią wymiotował. Błagał, żebym mu pomógł, a ja mogłem tylko trzymać go za rękę i obiecywać, że będziemy się nim opiekować.

Na noc stawialiśmy przy jego łóżku magnetofon i puszczaaliśmy mu nagrania ze Słowem Bożym. Na czas tej próby przeniosłem się do Ośrodka. Często w środku nocy cichutko zaglądałem do kaplicy, żeby się upewnić, że ktoś tam jest, a potem szedłem na górę sprawdzić jak się czuje Joe. Z magnetofonu cicho płynęły czytane fragmenty Biblii, a nasz podopieczny cicho przewracał się na łóżku w niespokojnym śnie. Podczas tych trzech dni i nocy jego męki nie zelżały ani na chwilę. Aż strach było na to patrzeć.

Nagle czwartego dnia Joe poczuł się dużo lepiej.

Chodził po całym Ośrodku blade się uśmiechając i mówił, że być może najgorsze ma już za sobą. Wszyscy cieszyliśmy się razem z nim. Kiedy powiedział, że chciałby pójść do domu zobaczyć się z rodzicami, trochę się wahałem, ale nie mogliśmy go zatrzymywać.

I tak, z uśmiechem na ustach i wyrazami wdzięczności, Joe wyszedł frontowymi drzwiami Ośrodka i ruszył ulicą Clinton Avenue.

Nadszedł czas, kiedy powinien był już wrócić, a tu Joego ani śladu.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się, że został aresztowany za napad i posiadanie narkotyków.

Ponieśliśmy porażkę.

– W czym tkwił błąd? – pytałem w czasie spotkania naszego personelu. – Chłopak przeszedł przez najgorsze. Przetrzymał te trzy najtrudniejsze dni. Miał już za sobą ogromne osiągnięcie, którego warto było bronić. I wszystko to odrzucił.

– Może warto porozmawiać o tym z chłopcami, którzy wychodzą z tego zwycięsko? – powiedział Howard Culver. – Może w ten sposób znajdziemy odpowiedź.

Było kilku takich chłopców, z którymi postanowiłem porozmawiać. Dzwoniłem do nich kolejno i słuchałem opowieści o ich wyzwoleniu z nałogu. Wszyscy powiedzieli mi to samo. Rozmawiałem z Nickym, który zażywał barbituraty i palił marihuanę. Zapytałem go, kiedy poczuł, że odniósł zwycięstwo nad starym sposobem życia. Powiedział, że w czasie swojego nawrócenia doświadczył czegoś wspaniałego – wtedy poznał Bożą miłość. Ale dopiero później doznał całkowitego zwycięstwa.

– A kiedy to się stało, Nicky?

– Kiedy zostałem ochrzczony w Duchu Świętym.

Zadzwoiłem do Davida i zapytałem go o to samo. Kiedy odczuł, że już nad sobą panuje?

– Nie mam wątpliwości – powiedział. – Wtedy, kiedy zostałem ochrzczony w Duchu Świętym.

Raz po raz odpowiadano mi w ten sam sposób. Wprost trudno opisać jaki byłem tym podekscytowany. Coraz wyraźniejsza stawała się dla mnie pewna reguła. Czułem, że jestem o krok od odkrycia czegoś wspaniałego.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 21

Co to jest chrzest w Duchu Świętym?

Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy się interesować tym, w jaki sposób Duch Święty pomaga chłopcom w zerwaniu z narkomanią, nasz Ośrodek odwiedził pewien jezuita. On również chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego przeżycia. Słyszał naszą młodzież w czasie którejś z ulicznych akcji i był pod takim wrażeniem, że pragnął poznać ich tajemnicę.

Spędziliśmy w Ośrodku z księdzem Garym jedno popołudnie, studiując wraz z nim znaczenie tego chrztu dla życia chrześcijanina. Najpierw pokazaliśmy mu fragmenty odnoszące się do tego przeżycia w rzymskokatolickim przekładzie Biblii.

– Chrzest w Duchu Świętym nie jest przeżyciem zarezerwowanym dla jednego wyznania – powiedziałem. – Pracują z nami członkowie Kościoła Episkopalnego, luteranie, baptyści i metodyści, i wszyscy oni zostali napełnieni Duchem Świętym.

Powiedzieliśmy księdzu Gary’emu, że chrzest w Duchu Świętym jest duchowym przeżyciem, które przede wszystkim obdarza mocą. „Ale gdy Duch Święty zstąpi na was, weźmiecie Jego moc” – powiedział Jezus, kiedy po zmartwychwstaniu ukazał się swoim apostołom.

Siedzieliśmy wraz z księdzem Garym w moim gabinecie, pochyleni nad Biblią.

– Po raz pierwszy przeżycie to wspomniane jest zaraz na początku Ewangelii. Jak pan pamięta, Żydzi zastanawiali się nad tym, czy Jan Chrzciiciel jest Mesjaszem. Jednak Jan powiedział im: „Idzie za mną potężniejszy ode mnie, przed którym nie jestem godny schylić się i rozwiązać rzemyk Jego sandałów. Ja ochrzciłem was wodą, On zaś będzie was chrzcił Duchem Świętym” (Ewangelia Marka 1,7-8).

Tak więc od zarania chrześcijaństwa chrzest w Duchu Świętym ma znaczenie szczególne, wyznacza różnicę między służbą zwykłych ludzi, bez względu na to, jak sobie dzielnie i skutecznie z nią radzą, a misją Chrystusa: to Jezus miał chrzcić swoich naśladowców Duchem Świętym. W czasie swoich ostatnich godzin na ziemi Jezus dużo mówił swoim uczniom o Duchu Świętym, który miał zstąpić po Jego śmierci, by im towarzyszyć, pocieszać ich, prowadzić i udzielać mocy, która pozwoli im wypełniać Jego misję.

Potem Jezus ukazał się im po ukrzyżowaniu i nakazał, żeby nie opuszczali Jerozolimy: „oczekujcie obietnicy Ojca, o której usłyszeliście ode Mnie; Jan chrzcił wodą, ale wy wkrótce zostaniecie ochrzczeni Duchem Świętym. (...) Ale gdy Duch Święty zstąpi na was, weźmiecie Jego moc” (Dz 1,4–8).

Następnie otworzyliśmy drugi rozdział Dziejów Apostolskich.

– Zaraz potem – przypomniałem księdzu Garemu – wszyscy uczniowie zebrali się w Jerozolimie, żeby obchodzić Pięćdziesiątnicę. „Kiedy nadszedł dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle powstał z nieba szum, jakby wiejącego silnego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły i na każdym z nich spoczął jeden. Wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym i zaczęli mówić innymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić” (Dz 2,1–4).

– To od tych wydarzeń w Zielone Święta biorą swoją nazwę zielonoświątkowcy. Chrzest w Duchu Świętym, zapowiadany przez Jana, obiecany przez Ojca i przeżyty w dzień

Pięćdziesiątnicy, ma dla nas naprawdę wielką wagę. Na pewno zauważył ksiądz, że to przeżycie spowodowało w apostołach ogromną zmianę. Przedtem byli nieśmiały i bezradnymi ludźmi. Potem jednak dana im była moc, o której mówił Chrystus. Uzdrawiali chorych, wypędzali demony, wzbudzali umarłych. Ci sami ludzie, którzy po Jego ukrzyżowaniu się ukryli, po tym przeżyciu śmiało nieśli swe przesłanie wrogom im świata. Potem opowiedziałem księdzu Gary’emu o fali potężnych przebudzeń, która przeszła przez Stany Zjednoczone, Kanadę, Anglię i Południową Amerykę w początkach dwudziestego wieku. Głównym punktem tego przebudzenia była nauka, że moc udzielona Kościołowi w dzień Pięćdziesiątnicy została w znacznej części zaprzepaszczona, ale może zostać przywrócona przez chrzest w Duchu Świętym.

– Księga Dziejów Apostolskich opisuje pięć przypadków tego przeżycia – powiedziałem – i pierwsi zielonoświątkowcy zwrócili uwagę na to, że w czterech z tych pięciu przypadków, ludzie którzy zostali ochrzczeni w Duchu Świętym „mówili innymi językami”.

Ksiądz Gary chciał wiedzieć, jak to jest mówić innymi językami.

– To zupełnie tak, jakby się mówiło w obcym języku. W języku, którego się nie rozumie.

Kolejno wskazywałem księdzu Gary’emu miejsca w Biblii, gdzie chrztowi w Duchu Świętym towarzyszy mówienie językami. Językami mówili uczniowie w dzień Zielonych Świąt, Duchem Świętym został napełniony Saul po swym nawróceniu na drodze do Damaszku i później pisze: „Dziękuję Bogu, że mówię językami więcej od was wszystkich” (1 Kor 14,18). W Duchu Świętym zostali ochrzczeni domownicy Korneliusza i zaczęto tam mówić językami; podobnie i świeżo nawróceni chrześcijanie w Efezie zostali ochrzczeni w Duchu Świętym i zaczęli mówić językami.

– Nawet w trzecim opisanym przypadku chrztu w Duchu, w Samarii, Szymon Czarnoksiężnik zobaczył coś tak nadzwyczajnego, że sam zapragnął takiej mocy i proponował za nią pieniądze, żeby „ten, na kogo nałożę ręce, otrzymał Ducha Świętego” (Dz 8,19). Czy nie wydaje się więc logiczne, że musiał być świadkiem mówienia językami?

– Jeśli miało to miejsce w przypadku pozostałych chrztów, to powinno tak być i tym razem. Kiedy sam tego doświadczyłeś?

– W naszej rodzinie jest to tradycja sięgająca trzech pokoleń.

Potem przez jakiś czas rozmawialiśmy o moim wspomniałym, pełnym ognia dziadku. Wieść o tym przeżyciu dotarła do niego po raz pierwszy w roku 1925. Występował przeciwko niemu w swoich kazaniach przy każdej nadarzającej się okazji.

– Jednak któregoś dnia – opowiadałem – kiedy stał za kazalnica i krytykował nauki zielonoświątkowców, sam zaczął nagle drzeć, co zdarza się często, kiedy ta moc spłynie na człowieka po raz pierwszy. To co się wtedy czuje, przypomina trochę porażenie prądem, tylko że nie jest ani trochę nieprzyjemne. W każdym razie dziadek, kiedy mu się to przytrafiło, sam był najbardziej tym zaskoczony. Oto otrzymał chrzest w Duchu Świętym i zaczął mówić językami. Od tego dnia głosił o chrzcie w Duchu Świętym wszędzie i zawsze, bo osobiście doświadczył mocy, jaką niesie ze sobą to przeżycie. Mój ojciec doświadczył go, kiedy miał lat dwadzieścia pięć, ja zaś kiedy miałem zaledwie trzynaście. Wszyscy przedstawiciele tych trzech pokoleń do dziś to głoszą.

Ksiądz Gary chciał wiedzieć, co się w takim momencie przeżywa.

– Proszę o to spytać naszą młodzież – powiedziałem. Zaprosiliśmy go, by zjadł z nami lunch i, przy kurczaku z sałatką, kilku młodych ludzi opowiedziało mu jak to było z nimi.

Najpierw słuchał dwunastolatki imieniem Neda. Znaleźliśmy ją włóczącą się bez celu na Coney Island. Linda Meisner dowiedziała się od niej, że poprzez seks i nadużywanie alkoholu wyraża swój bunt wobec rodziców.

Kiedyś dużo piłam – mówiła teraz – i szalałam z każdym chłopakiem, który tylko na mnie znacząco spojrzał. Nienawidziłam moich rodziców, zwłaszcza matki. Linda przyprowadziła mnie do Ośrodka. Usiadłam w kaplicy i słuchałam jak inni mówią o tym, że Jezus pomaga im



wtedy, kiedy przychodzi pokusa. Nie mogłam sobie z samą sobą poradzić; na przykład kiedy przespałam się z chłopakiem, czułam do siebie obrzydzenie, ale ci narkomani też mieli swoje problemy, i to gorsze od moich. „Nadal odczuwamy pokusy – mówili – ale teraz od razu idziemy do kaplicy i się modlimy”. Kiedy się modlili, robili to w jakimś innym języku, ale wyglądali przy tym na szczęśliwych i pewnych siebie. A kiedy wstawali z kolan, pokusa odchodziła.

Więc zachęcili mnie i ja zapragnęłam tego samego. Któregoś dnia poszłam do kaplicy, żeby się pomodlić w samotności. Powiedziałam Bogu o wszystkich moich problemach i poprosiłam Go, żeby wszedł w moje życie, tak jak przyszedł do tych narkomanów. Jezus wszedł wtedy do mojego serca jak oślepiające światło. Coś opanowało mój język. Czułam się jakbym siedziała nad rzeką, która przepływając przeze mnie i bulgocząc wypływa w postaci melodyjnego języka. Dopiero potem jeden z pracowników Ośrodka pokazał mi w Księdze Dziejów Apostolskich, o co chodzi. To było najpiękniejsze przeżycie w moim życiu.

Ksiądz Gary siedział i słuchał od czasu do czasu kiwając głową i potakując.

Następny chłopiec zrobił na nim szczególne wrażenie.

– Po pierwsze – powiedział John – wiem, że to było autentyczne. A wie pan skąd? Bo potem Jezus Chrystus jakby wyszedł prosto z Biblii. Stał się żywą osobą, która chce być przy mnie i pomóc mi przetrwać wszystkie kłopoty.

– Tak – powiedział ksiądz Gary – to wspomniałem.

– Mnie – powiedział chłopak o imieniu Joseph – pomógł zerwać z narkotykami. Zążywałem pigułki i paliłem marihuanę, zaczynałem też wstrzykiwać sobie podskórną heroinę. Byłem już uzależniony psychicznie i po prostu musiałem to robić. Kiedy usłyszałem o Jezusie, byłem zaszokowany tym, że On kocha ludzi pomimo ich grzechów. Byłem bardzo poruszony, kiedy usłyszałem, że Jego obietnice to nie puste słowa i że rzeczywiście je wypełnia przychodząc do nas przez chrzest w Duchu Świętym. Powiedzieli mi, że Duch Święty nazwany jest Pocieszycielem. Dla mnie pocieszeniem była butelka wina i pół tuzina pigułek, ale ci ludzie mówili o pocieszeniu, które przychodzi z nieba i sprawia, że mogę czuć się czysty.

Więc zapragnęłam tego, tak jak Neda. W kaplicy – spojrzał w stronę drzwi prowadzących do kaplicy – zawołałem do Boga o pomoc i wtedy właśnie do mnie przyszedł. Opanował mój język i wargi, i zacząłem mówić w nowym języku. Najpierw sądziłem, że wariuję, ale nagle pomyślałem, że to niemożliwe, bo działo się we mnie coś więcej. Już nie czułem się samotny. Nie potrzebowałem już narkotyków. Kochałem wszystkich ludzi. Po raz pierwszy w moim życiu poczułem się czysty.

I tak kolejno opowiadali, co przeżyli, i każdy chciał się podzielić tym, czego doświadczył. Trzeba było ustalać kolejność, w jakiej mieli to robić. Kiedy ksiądz Gary godzinę później wychodził, nadal powtarzał sobie: „tak, tak”. Powiedział, że chce o tym porozmawiać z niektórymi swoimi znajomymi na Uniwersytecie Fordham. Szkoda, że nie mógł zostać trochę dłużej, bo tego samego wieczoru kolejny chłopiec przeżył chrzest w Duchu Świętym, więc mógłby być naocznym świadkiem tego przeżycia.

Był to Roberto. Miał szesnaście lat i od wielu lat brał heroinę, a wcześniej palił marihuanę. Cztery razy był w więzieniu, raz za zranienie nożem w ulicznej walce członka innego gangu. Tamten przeżył, ale Roberto bał się o samego siebie, że któregoś dnia mógłby kogoś zabić. W przeciwieństwie do wielu chłopców, którzy przychodzili do Ośrodka, Roberto miał rodziców, którzy go wspierali. Próbowali mu pomóc na wszelkie sposoby, ale Roberto staczał się coraz bardziej.

Tamtego popołudnia spotkałem Roberta w kaplicy. Z tego jak się wiercił i nie mógł sobie znaleźć miejsca domyśliłem się, że niedługo nie wytrzyma i będzie musiał wziąć.

– Mam kłopoty, Davie – powiedział splatając i rozplatając palce. Kiedy narkoman mówi, że ma kłopoty, to znaczy, że musi skądś wziąć i wstrzyknąć sobie działkę narkotyku – i to szybko.

Znowu więc zacząłem mu mówić o chrzcie w Duchu Świętym.

– Nicky będzie o tym dzisiaj mówił na wieczornym nabożeństwie. Przyjdź i pozwól, żeby zstąpił na ciebie Duch Święty.

– No, nie wiem, Davie. Muszę złapać trochę świeżego powietrza. Nie najlepiej się czuję.

Musiałem pozwolić mu odejść i szczerze mówiąc nie sądziłem, że go jeszcze zobaczę. Jednak kiedy przyjechałem wieczorem, był już w kaplicy. Po tym jak się męczył widziałem, że dziś jakoś przeżył bez działości. Usiadłem przy nim i uważnie go obserwowałem, kiedy kilku z naszych podopiecznych, byłych członków gangów i narkomanów, kolejno wstawało i w dość prostych słowach opowiadało o wspaniałościach, których doświadczyli. Nicky powiedział w kazaniu o tym, że każdy narkoman potrzebuje chrztu w Duchu Świętym.

– Jeśli pragniesz tej mocy w swoim życiu... jeśli jesteś uzależniony od igły i naprawdę chcesz się zmienić, to posłuchaj: potrzebujesz Ducha Świętego. A kiedy Go przyjmiesz, otrzymasz również szczególne dary, które dadzą ci oparcie. Opowiem ci teraz o nich. Jeśli masz kartkę papieru i coś do pisania, możesz zapisać wersety biblijne, które o tym mówią.

Przede wszystkim masz moc. Możesz przeczytać o tym w Dziejach Apostolskich 1,8. „Ale gdy Duch Święty zstąpi na was, weźmiecie Jego moc”.

Będziesz też miał Pocieszyciela. Ewangelia wg Jana 14,26. Słowo *pocieszyciel* nie oznacza kogoś, kto sprawi, że będziesz się dobrze czuł, oznacza kogoś, kto będzie przy tobie i doda ci sił w trudnej sytuacji.

Będziesz też miał ochronę. W Dziejach Apostolskich 16,6 możesz przeczytać o tym, jak Duch Święty zabrania apostołom zrobić coś, co byłoby tragiczne w skutkach. Ciebie również będzie tak prowadził.

A teraz coś ważnego: nie będzie już tobą rządziła cielesność – będziesz prowadził swoje życie w zgodzie z wartościami duchowymi. Przeczytaj sobie o tym w Liście do Efezjan 2,3–6.

Będziesz miał życie. Teraz zmierzasz ku śmierci, ale z Duchem Świętym, jak mówi Drugi List do Koryntian 3,5–6, będziesz miał nowe życie.

Będziesz żył w Duchu Prawdy. Igła daje ci obietnicę, która się nigdy nie spełni. Szpryca nie przynosi ulgi, tylko pogarsza sytuację. Ewangelia Jana 16,13 mówi, że będziesz miał Prawdę.

Będziesz miał przystęp do Ojca. Przeczytaj Efezjan 2,18. I jeszcze trzy rzeczy: będziesz miał Nadzieję. Ilu z was teraz ją ma? Niewielu. Rzymian 15,13 mówi, że będziecie mieli nadzieję.

W Drugim Koryntian 3,17 znajdziecie sedno tego wszystkiego. Wy, właśnie wy, będziecie mieli wolność!

A jak to się może stać? Poprzez nagłe, dramatyczne, wszechogarniające przeżycie. Przeczytajcie o nim sami w Dziejach Apostolskich 10,44.

Na tym Nicky zakończył. Zniżył głos i powiedział prawie szeptem:

– To wszystko czeka was w tym nowym życiu. Ale nie sądzę, żebyście dzisiaj chcieli tylko o tym czytać. Nie chcemy też o tym mówić. Chcemy to zrobić!

Jeśli pragniesz tej zmiany, mocy, nadziei i wolności w swoim życiu, wstań i wyjdź naprzód. Połóż ręce na twojej głowie, tak jak to robił apostoł Paweł, i doświadczysz tego samego, czego doświadczali chrześcijanie w jego czasach. Otrzymasz Ducha Świętego!

Roberto spojrzał na mnie i zerwał się z miejsca. Moje serce też podskoczyło z radości.

– Chcę tego wszystkiego, co Bóg ma dla mnie – powiedział. – Chcę przez to przejść i nigdy nie wracać.

Roberto niemal wybiegł naprzód. Złapał Nicky'ego za rękę i położył ją na swojej głowie. Prawie natychmiast zaczęło się z nim dziać to samo, co z moim dziadkiem. Zaczął się trząść jakby przepływał przez niego prąd. Upadł na kolana, a pozostali chłopcy stali wokół niego i się modlili. Wyglądało to zupełnie tak, jakbym oglądał scenę wyjętą z Dziejów Apostolskich. Nim upłynęły dwie minuty, z ust Roberto popłynęły słowa w nowym języku. Płynęły jak

strumień po suchej ziemi. Oczywiście wszyscy się bardzo cieszyli. Pozostali narkomani skupili się wokół Nicky'ego i Roberto, i mówili:

– Uda mu się, wszystko będzie dobrze.

Nicky powtarzał:

– Dziękuję Ci, Panie. Dziękuję, że pomagasz tym chłopakom.

Potem podchwycili to pozostali.

– Dziękujemy Ci, Panie. Dziękujemy za to, że pomagasz tym chłopakom. Dziękujemy Ci. Dziękujemy Ci, Panie.

# Krzyż i sztylet

## Rozdział 22

Chrzest w Duchu Świętym nie zawsze przynosił chłopcu uwolnienie. Prawdę mówiąc skutek był przeciwny: chwycił go w pułapkę.

Był to jednocześnie jeden z najbardziej zniechęcających i zachęcających rezultatów naszej działalności. Najpierw spodziewaliśmy się, że chrzest za każdym razem i trwale uwolni chłopców ze zniewolenia heroiną.

Mieliśmy dobre powody po temu, żeby taką mieć nadzieję. Kiedy tylko zaczęliśmy podejrzewać, że istnieje związek między chrztem a możliwością uwolnienia chłopaka od nałogu, staraliśmy się tym bardziej doprowadzać narkomanów do tego przeżycia.

Najpierw przeprowadziliśmy ostrożny eksperyment na chłopaku palącym marihuanę. Był to Luis, jeden z naszych chłopców, który kiedyś palił to ziele uzależniające raczej umysł niż ciało. Otrzymał chrzest w Duchu Świętym i psychiczne uzależnienie zniknęło całkowicie.

Zachęceni tym doświadczeniem przeszliśmy do trudniejszych zadań. Co na przykład z takim chłopakiem jak Roberto, biorącym heroinę, która uzależnia zarówno psychicznie jak i fizycznie? Co się z nim teraz stanie? Uważnie obserwowaliśmy Roberta, żeby natychmiast dostrzec symptomy, jeśliby znów zaczął brać narkotyki, ale dzień w dzień przychodził do Ośrodka z jaśniejącymi oczami i pełen wielkich nadziei.

– Wiesz, Dawidzie, myślę, że panuję nad tym. Mam narzędzie, którego mogę używać. Będę tu przychodził z innymi chłopakami, żeby się modlić.

Raz za razem rezultat był ten sam. Harvey został do nas skierowany przez sąd. Od trzech lat był głęboko uzależniony od heroiny, ale po chrzcie powiedział, że odeszła od niego nawet sama pokusa. Johnny brał heroinę od czterech lat i wyszedł z tego po chrzcie. Lefty szprycował się od dwóch lat, a po chrzcie nie tylko przestał brać narkotyki, ale zdecydował się nawet zaangażować w służbę. Vincent brał heroinę przez dwa lata, do momentu chrztu, kiedy tego zaniechał w jednej chwili. Ruben miał za sobą czteroletnie uzależnienie. Kiedy przyjął chrzest, otrzymał też siłę, by z tym zerwać. Eddie zaczął brać heroinę kiedy miał dwanaście lat. Piętnaście lat później nadal ją regularnie zażywał, co niemal doprowadziło go do śmierci. Chrzest w Duchu Świętym uwolnił go z nałogu.

Tak byłem tym zafascynowany, że postanowiłem zapytać lekarzy specjalistów, jakie mamy podstawy, by twierdzić, że to jest naprawdę skuteczne.

– Żadnych – powiedziano mi szczerze – W Lexington uznaje się chłopaka za wyleczonego dopiero wtedy, jeśli nie bierze przez pięć lat. Jak długo czyści są pana chłopcy?

– Niedługo.

– Zaledwie parę dni?

– Nie, raczej miesiący. W kilku przypadkach – ponad rok.

– Cóż, to zachęcające. Proszę opowiedzieć mi o tym coś więcej. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tym pana chrzcie.

Pod koniec naszej rozmowy lekarz ostrzegł mnie, że narkomanowi właściwie nie można pomóc i że powinienem spodziewać się porażki.

– Najsmutniejsze jest to – powiedziano mi – że kiedy chłopak wraca do nałogu, zwykle wpada w to głębiej niż wcześniej. Jeśli dotąd szprycował się dwa razy dziennie, dojdzie do trzech. Jeśli trzy, to podskoczy do pięciu. Po porażce pograża się jeszcze szybciej.

I wtedy jednemu z chłopaków rzeczywiście powinęła się noga. Nawet po chrzcie w Duchu Świętym. Nie nauczył się jeszcze tego, że dalsze życie w Duchu jest niezbędne tak samo, jak przyjęcie Go.

Ralph palił marihuanę od dwóch lat, heroinę brał od trzech. Był bardzo pogrążony w nałogu. Próbował z nim zerwać setki razy. Próbował zerwać z gangiem, w którym jego kumple dawali w żyłę razem z nim. Za każdym razem ponosił klęskę. Pomyślał, że jest tylko jedno wyjście: sam musi odebrać sobie życie, zanim którejś nocy, kiedy rozpaczliwie będzie potrzebował działki, odbierze je komuś innemu. Pewnej nocy, dwa lata temu, Ralph wszedł na dach. Stał przy jego krawędzi gotów skoczyć głową w dół. Czekał tylko aż chodnik opustoszeje.

W tym momencie usłyszał śpiew.

Dochodził z jednej z naszych kaplic dla członków gangów, którzy zbierali się w budynku znajdującym się dokładnie naprzeciwko tego, na którym stał Ralph. Podniósł głowę i usłyszał: „Tam na wzgórzu stał stary szorstki krzyż...”.

Odsunął się od krawędzi. Dosłuchał pieśni do końca, zszedł po schodach na dół i przeszedł na drugą stronę ulicy. Napis na zewnątrz zachęcał go, by wszedł do środka i posłuchał o tym, jak na ulicach Brooklynu działa Bóg, pomagając chłopcom uzależnionym od narkotyków i związanym z gangami.

Wszedł tam. Od tej chwili stał się innym człowiekiem. Oddał życie Chrystusowi, potem przeżył chrzest w Duchu Świętym.

Bardzo się z tego cieszyliśmy i nadal się cieszymy. Nie tknął igły przez prawie rok. Opuścił Nowy Jork i zamieszkał w Kalifornii. Przez cały ten czas był czysty. Potem wrócił i złożył nam wizytę. Przez kilka dni wszystko było dobrze, ale zauważyłem, że kiedy tylko wraca na stare śmieci, popada w przygnębienie. Dowiedziałem się, że jego starzy znajomi wyśmiewają się z niego, bo rzucił nałóg. Znowu przyszła pokusa. Staraliśmy się utrzymywać z nim bliski kontakt, ale Ralph nas unikał.

Potem powinęła mu się noga. Zdobył działkę i poszedł do swojego pokoju, żeby wbić sobie igłę w żyłę.

Przed przeżyciem chrztu w Duchu Świętym Ralph pięć razy próbował zerwać z nałogiem. Za każdym razem kiedy ponosił porażkę czuł do siebie takie obrzydzenie, że zaczynał brać jeszcze więcej niż poprzednio. Teraz, kiedy nie brał już od ponad roku, znów wziął szprycę.

Jednak tym razem zdarzyło się coś dziwnego. Zastrzyk nie zadziałał tak jak zwykle. Następnego dnia Ralph przyszedł cichaczem do Ośrodka i chciał się ze mną widzieć. Kiedy wszedł do biura i zamknął drzwi, domyśliłem się, że znowu się szprycował.

– Wiesz, zdarzyło się coś dziwnego – powiedział, kiedy już zebrał się na odwagę, żeby o tym opowiedzieć. – Kiedy już wstrzyknąłem heroinę, było tak, jakbym w ogóle tego nie zrobił. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Za to poczułem coś innego. Poczułem nagłą potrzebę, żeby pobiec do najbliższego kościoła i się pomodlić. I to właśnie zrobiłem. Davie, tym razem mi wybaczone i nie czułem do siebie takiego obrzydzenia jak wcześniej. Zamiast znaleźć się w kompletnym dole, nie czułem już po prostu pokusy.

Kiedy wypowiadał następne słowa, jego oczy jaśniały:

– Wiesz, co myślę? Dobra, myślę, że zostałem schwytany w pułapkę. Ale nie przez heroinę. To Duch Święty mnie schwytał. Jest we mnie i nie pozwoli mi uciec.

Ralph wrócił do nas upokorzony i w pełni świadomy tego, że dzięki temu chrztowi należy do Chrystusa w sposób szczególny. Nie może od niego uciec nawet gdyby chciał. Tak samo było w przypadku Roberta (innego Roberta, który był narkomanem przez piętnaście lat), któremu zdarzyła się chwila słabości, ale wtedy sam stwierdził, że nie jest w stanie do tego wrócić. Podobnie też niejaki Sonny. Po tym jak raz powinęła mu się noga, wrócił z takim zapalem i przekonaniem, że chce iść teraz do szkoły biblijnej.

Jaki więc z tego wniosek?

Na pewno nie możemy twierdzić, że jesteśmy w posiadaniu magicznego środka skutecznego w przypadku narkomanii. Diabeł, który kryje się w igle ma tak ogromną śmiertelnościową siłę, że podobne twierdzenie byłoby głupotą. Możemy mówić jedynie, że znaleźliśmy moc, która może zaważać chłopakiem potężniejszą niż narkotyki. Jednak ta moc to sam Duch Święty, który, w przeciwieństwie do narkotyków, wpływa na życie naszych chłopców w dość dziwny sposób: bierze ich w niewolę po to, żeby ich wyzwolić.

Jeśli chodzi o to, co uważamy za śmiały eksperyment, to nadal jesteśmy w powijakach. Musimy się jeszcze wiele dowiedzieć o tym, czego to duchowe przeżycie może, a czego nie może dokonać w nieszczęśliwym życiu tych nastolatków. Każdego dnia dokonujemy nowych odkryć. Każdego dnia uczymy się jak mamy działać, żeby lepiej pomagać, i co robić, żeby procent trwałych wyleczeń był większy.

Chrystus obiecał między innymi, że Jego Duch wprowadzi nas we wszelką prawdę. Opierając się na tej obietnicy spodziewamy się, że pewnego dnia On wskaże nam zasady, które będą użyteczne nie tylko tutaj, przy Clinton Avenue, ale w całych Stanach Zjednoczonych, gdziekolwiek samotność i rozpacz doprowadza chłopców i dziewczęta do szukania ucieczki od problemów w strzykawce, brudnej igle i „kuchence” z zakrętki od butelki.

Któregoś dnia siedzieliśmy z Lindą w moim gabinecie rozmawiając o tym wszystkim i zastanawiając się, do czego nas to zaprowadzi. Cały czas miałem jednak w pamięci imię, którego nie wymieniali żadne z nas: Maria.

– Jak myślisz, czy Maria przeżyje kiedykolwiek chrzest w Duchu Świętym? – zapytałem nagle. W oczach Lindy wyczytałem, że zastanawiała się nad tym samym. Oboje zgodziliśmy się co do tego, że Maria ma naprawdę olbrzymi problem. Brała heroinę od lat. Ostatnim razem, kiedy do nas przysłała, oboje z Lindą uznaliśmy, że niewiele już zostało jej życia. Nawet teraz widywałem czasami w snach te głęboko zapadnięte oczy, zaciśnięte pięści, trzęsące się wargi.

Jednak oboje postanowiliśmy modlić się o to, by w jej życiu zdarzył się cud. Oboje pielęgowaliśmy w sobie marzenie o tym, żeby ją dowieść do chrztu, tu, w Ośrodku. Jednak miało się to stać inaczej. Pewnego dnia pod koniec lata zadzwonił telefon. To była Maria. Dzwoniła z kaplicy pastora Orteza.

– Pastorze Wilkerson! – niemal krzyczała do słuchawki – Mam wspaniałą wiadomość! Wczoraj wieczorem zostałam ochrzczona w Duchu Świętym!

Była tak podniecona, że ledwie mogła mówić, więc poprosiłem, żeby podała słuchawkę pastorowi Ortezowi. Kiedy mi to wszystko opisywał, wyobrażałem sobie tę scenę: Maria wchodzi do niegdyś prywatnego mieszkania wciśniętego między inne, takie w których często odbywają się głośne imprezy; Maria przeciska się wśród innych ludzi latynoskiego pochodzenia, żeby znaleźć wolne miejsce; słucha kazania i słyszy wezwanie do wyjścia do przodu; wychodzi naprzód. Niemal słyszałem jej głos, ochrypły głos, jakim rozmawiała z nami ostatnio, teraz błagający Pana, by zamieszkał w niej Jego Duch.

Widziałem niemal jak pada na kolana i czuje, że jej serce wypełnia nadzieja, zupełnie jakby ktoś położył na nim swoje ciepłe ręce. A potem miły, melodyjny język, którego nie rozumiem, zaczyna płynąć z jej gardła – pieczęć i znak, że jej modlitwa została wysłuchana. Pastor Orteza cały promieniał.

– Czekaliśmy na to wszyscy od bardzo dawna, prawda? – powiedział.

– Tak, to prawda. Mamy kolejne zwycięstwo.

Jednak gdzieś w głębi ducha czaiła się we mnie obawa. Wiedziałem, że Maria ma jedną wielką słabość. Kiedy wpada w złość, wraca do igły. Wielu narkomanów działało według tego samego schematu, ale u Marii widziałem to tak wiele razy. Czuję, że gdyby choć raz

udało się jej zwalczyć gniew, miałyby to za sobą. I niedługo później Maria przeszła wielką próbę.

Któregoś dnia późnym wieczorem wysiadła z autobusu na Manhattanie, w pobliżu terytorium jej dawnego gangu. Ulica była pusta. Z cienia wyłoniły się trzy dziewczyny.

– Cześć, Maria.

Maria odwróciła się. Rozpoznała w dziewczynach członkinie swojego dawnego gangu. Serdecznie się z nimi przywitała. Za ich plecami dostrzegła też w ciemności sylwetkę chłopaka.

– Słuchaj, Mario – powiedziała jedna z dziewczyn – słyszałyśmy, że już nie ćpasz. Podobno zrobiłaś się religijna.

– To prawda – odpowiedziała Maria.

– Patrz, jak to cudownie, co nie? Jeśli już nie musisz wydawać tyle kasy na prochy, to pewnie ci się nieźle powodzi. Może pożyczylabyś starym znajomym dolca albo dwa?

Maria wiedziała na co poszłyby te pieniądze. Wiele razy siedziała z tymi właśnie dziewczynami w ciemnym pokoju zaciskając pasek wokół ramienia i pakując sobie w żyłę strzykawkę pełną heroiny.

– Przykro mi – powiedziała – ale nie dam wam pieniędzy na to, na co chcecie je wydać. Wiecie...

Nie spodziewała się ciosu. Któraś z dziewczyn z całej siły uderzyła ją pięścią w brzuch. Maria zgięła się wpół. W pierwszej chwili instynktownie chciała oddać, a znana była w tej okolicy jako bardzo groźny przeciwnik w walce. Jednak stała po prostu z opuszczonymi rękami. Tak jak w dniu, kiedy przechodziła próbę na szefową gangu, bez oporu i bez słowa zniosła bicie.

Jak ogromna była jednak różnica między tamtym wydarzeniem a tym, co się działo teraz. Tym razem Maria się modliła.

Modliła się też wtedy, kiedy wbito jej w bok nóż. Jak również i wtedy, kiedy leżała na ulicy twarzą do ziemi, a trzy dziewczyny chwyciły jej torebkę i ze śmiechem uciekły.

Po chwili powoli wstała i opustoszałą ulicą jakoś dotarła do domu, gdzie Johnny pomógł jej zdjąć zakrwawione ubranie. Razem obejrzelili ranę. Nóż zostawił ślad w okolicy żeber, rana nie była jednak głęboka i Johnny nie sądził, żeby była poważna.

Martwił się zaś o to, jak Maria zareaguje na to wydarzenie. Co z nią teraz będzie? Zbyt często widział jak jego żona, zaszedłszy już wcale daleko na drodze do całkowitego wyzdrowienia, kiedy coś ją zdenerwowało, wracała do prochów.

Jednak tamtej nocy, kiedy już się wykapała i zabandażowała ranę, Maria zasnęła spokojnie jak dziecko.

Ta historia zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Maria złożyła nam wizytę w kilka dni po tym pobiciu. Widać było jeszcze siniaki.

– Trochę mnie poturbowali, pastarze Wilkerson. Ale po prostu się modliłam i wszystko było w porządku. Duch Święty był ze mną.

Spojrzałem na Lindę, która tak samo jak ja była zadziwiona tą zmianą.

– Tylko tyle chcieliśmy wiedzieć – powiedziałem na głos.

Kiedy widziałem Marię po raz ostatni, wyjeżdżała razem ze swoją rodziną do Puerto Rico. Johnny stał dumnie przy jej boku. Trójka dzieci trzymała się nieśmiało jej świeżo wykrochmalonej spódnicy. Trzymały się swojej matki tak, jakby czuły, że wreszcie mogą jej zaufać. Świeżo umyte i ułożone włosy Marii lśniły w słońcu. Na nogach miała nowe buty, a jej nogi (choć może duchowny nie powinien tego zauważać) były dokładnie wydepilowane. Jej ręce (co jest może odpowiedniejszym dla duchownego spostrzeżeniem) były spokojne i wdzięcznie opuszczone.

Maria powiedziała mi, że z całą swoją rodziną wyjeżdża do Puerto Rico, gdzie oboje z Johnnym będą mogli uczęszczać do hiszpańskojęzycznej szkoły mającej ich przygotować do

pełnoetatowej służby w Kościele. Po ukończeniu szkolenia zamierzali wrócić do Nowego Jorku, w nadziei, że będą mogli pracować w naszym Ośrodku.

Kiedy patrzyłem za znikającą mi z oczu rodziną, zdałem sobie sprawę, że powtarzam w kółko słowa Jezusa: „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”.



# Krzyż i sztylet

## Rozdział 23

Dla większości ludzi w Brooklynie ranek 28 sierpnia 1961 roku zapowiadał po prostu kolejny piękny, gorący dzień lata. Jednak dla wszystkich nas w Ośrodku Teen Challenge był to dzień ponury.

W południe mieliśmy wręczyć naszym wierzycielom potwierdzony czek mający pokryć drugą ratę hipotecznego kredytu. Chodziło o kwotę piętnaście tysięcy dolarów.

– Ile pieniędzy mamy w banku? – zapytał Paula DiLenę.

– Szkoda gadać.

– Ile?

– Czternaście dolarów.

Tak bardzo liczyłem na kolejny cud. Miałem jakąś zdumiewającą pewność, że nie stracimy Ośrodka, tymczasem mijał właśnie termin, a pieniędzy nie było.

Minęło już południe, a cud nadal się nie wydarzył.

Musiałem się poważnie zastanowić nad tym, skąd brało się to moje przeświadczenie o cudzie. Czyżbym tylko sam siebie zwodził? Czy zbyt wiele żądałem od Boga, sam wystarczająco się o to nie starając?

– Przynajmniej – powiedziałem do naszego prawnika, Juliusa Frieda – nie poddam się bez walki. Czy mógłbyś spróbować załatwić przesunięcie terminu płatności?

Julius śleczął nad wszystkimi dokumentami i umowami całe popołudnie, a kiedy skończył swą pracę, oznajmił że udało mu się przesunąć termin.

– Zgodzili się poczekać do dziesiątego września, Dawidzie – powiedział – Ale jeśli do tego czasu nie otrzymają pieniędzy, rozpoczną starania o zajęcie hipoteki. Masz jakiś pomysł?

– Tak – powiedziałem. Twarz Juliusa się rozjaśniła, jednak zaraz mina zrzedła mu znowu, bo się dowiedział, na czym mój pomysł polega. – Zamierzam się o to modlić – powiedziałem. Julius był do tego przyzwyczajony, że w Ośrodku o wszystko się modliliśmy, ale w tamtej chwili zamarzył mu się chyba nieco bardziej życiowy dyrektor.

Tamtego popołudnia ważyłem się na coś zuchwałego. Zwołałem całą młodzież: członków gangów, narkomanów, studentów, personel i powiedziałem im, że Ośrodkowi nic nie grozi. Zapanowała ogólna radość.

– Myślę, że powinniśmy pójść do kaplicy i podziękować za to Bogu – powiedziałem.

Tak też zrobiliśmy. Poszliśmy do kaplicy, zamknęliśmy drzwi i zaczęliśmy wielbić Pana za to, że ocalił ten dom, żeby mógł mu służyć. W końcu ktoś odwrócił się do mnie i zapytał:

– Słuchaj, Dawidzie, a skąd przyszły pieniądze?

– No, jeszcze nie przyszły.

Dwadzieścia pięć osób spojrzało na mnie z zaskoczeniem. Na dwudziestu pięciu twarzach zamarł uśmiech.

– Jeszcze nie przyszły – ciągnąłem – ale przed dziesiątym września będziemy mieli te pieniądze w kieszeni, jestem tego pewien. Przed tą datą będę mógł wam pokazać czek na piętnaście tysięcy dolarów. Pomyślałem po prostu, że warto byłoby Bogu za to podziękować już teraz.

I zaraz wyszedłem.

Nadszedł pierwszy wrzesnia. Potem drugi, trzeci, czwarty. Większość czasu spędzałem przy telefonie, starając się znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Lato było dość udane. Według naszych danych dwa i pół tysiąca młodych ludzi z całego miasta poznało prawdziwą Miłość – oddało życie Chrystusowi. Setki chłopców i dziewcząt przewinęło się przez Ośrodek, zanim mogli ruszyć dalej – do nowej pracy, mając nową perspektywę, nowe możliwości tworzenia. Dwanaście osób przygotowywało się do służby.

– A wszystko zaczęło się od tego obrazka w *Lifie* – powiedziałem do Gwen któregoś wieczoru, kiedy rozmawialiśmy o tym, co nam się udało osiągnąć w minionym roku.

– Czy to nie dziwne, że w końcu nigdy nie udało ci się spotkać z tymi chłopakami z procesu?  
– powiedziała Gwen.

To rzeczywiście było dziwne. Przez prawie cztery lata pisałem, dzwoniłem i pukałem do wszystkich możliwych drzwi. Ale, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, nigdy nie dane mi było zająć się tymi właśnie chłopakami, których tragedia spowodowała mnie do Nowego Jorku. Zarówno ich los jak i los Izraela (byłego szefa Mau Mau) nadal pozostawał w rękach państwa. Być może później, kiedy chłopcy wyjdą z więzienia, będę miał możliwość powiedzieć im o tym, jak bardzo nadal obchodzi mnie ich przyszłość.

Był jednak chłopak, którego poznałem na samym początku moich wyjazdów do Nowego Jorku i z którym nadal pozostawałem w bliskim kontakcie: Angelo Morales.

Pewnego ranka Angelo nas odwiedził. Razem wspominaliśmy tamten dzień, kiedy to wpadliśmy na siebie na klatce schodowej, gdzie mieszkał ojciec Luisa Alvareza. Teraz Angelo właśnie ukończył szkołę biblijną. On także miał pracować ze mną w Ośrodku.

– Jeśli w ogóle będzie jeszcze istniał jakiś Ośrodek, Angelo – powiedziałem, wyjaśniając mu naszą trudną sytuację finansową.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytał Angelo.

– Tak. Idźcie wszyscy do kaplicy i módlcie się. W tym czasie, gdy wy będziecie się modlić, my będziemy dzwonić.

Tak więc wszyscy członkowie naszego komitetu wydzwaniali do ludzi, którzy kiedykolwiek wspierali w jakiś sposób Ośrodek. I pomoc napływała, ale do potrzebnej nam na dziesiątego wrzesnia sumy piętnastu tysięcy dolarów ciągle było bardzo daleko. Zadzwoniliśmy między innymi do biura Clema Stone’a w Chicago. Rozmawiał z nim Harald Bredesen. Przyznał otwarcie, że jest mu trochę niezręcznie. Clem i tak bardzo hojnie wspierał Ośrodek. Dbaliśmy o to, żeby zawsze był na bieżąco informowany o naszej pracy, nie tylko wtedy, kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy; podejrzewam jednak, że wówczas, kiedy Clem usłyszał, że dzwonią do niego z Ośrodka Teen Challenge, odruchowo złapał się za portfel.

W tym dniu, było to ósmego wrzesnia, Harald rozmawiał z synem Clema. Była to długa rozmowa. Harald opowiedział o pracy, którą wykonaliśmy dotychczas i podziękował rodzinie Stone’ów za jej wkład. Potem, z ociąganiem, przeszedł wreszcie do sedna sprawy.

– Musimy mieć na pojutrze piętnaście tysięcy dolarów – powiedział i wyjaśnił przyczynę. – Nie mam pojęcia, jakie jest w tej chwili wasze położenie. I z całą pewnością nie proszę o natychmiastowe podjęcie decyzji. Proszę jedynie, aby przedyskutował to pan z ojcem. Niech mu pan przekaże wyrazy naszej wdzięczności za jego dotychczasową pomoc. No i będzie co będzie.

Nadszedł dziesiąty wrzesnia.

Przyniesiono poranną pocztę. Otwieraliśmy ją niecierpliwie. Były tam drobniaki przysłane przez nastolatków.

– Dzięki Ci, Panie – powiedziałem. – Bez tych drobniaków nie dalibyśmy sobie rady.

I to było już wszystko.

W kaplicy zaczęło się poranne nabożeństwo. Zebrali się tam wszyscy; wszyscy się modlili i śpiewali. Tu i ówdzie słychać było jak młodzi ludzie nadal dziękują Bogu za przysłanie nam czeku na piętnaście tysięcy dolarów.

W środku nabożeństwa poproszono mnie do drzwi.

Przyszła przesyłka specjalna. Spojrzałem na znaczek: Chicago w stanie Illinois.

Otworzyłem kopertę i w środku znalazłem potwierdzony czek opiewający dokładnie na potrzebną nam kwotę piętnaście tysięcy dolarów.

Kiedy wróciłem z tym kawałkiem papieru do kaplicy, nie byłem w stanie mówić. Stałem przed kominkiem, na którego gzymsie widniały snopy skoszonego zboża. Nie mogłem wydobyć słowa, więc tylko podniosłem rękę na znak, żeby się wszyscy uciszyli, a kiedy już umilkli, Paul DiLena podał czek najbliższemu mnie stojącemu chłopcu.

– Podaj to dalej, dobrze? – powiedział niemal szeptem.

Teraz ten zrealizowany już, więc nieważny czek, Clem Stone przechowuje w Chicago, w swoich dokumentach. Jest dowodem na cudowne Boże prowadzenie, które się dokonało wśród młodzieży Nowego Jorku. Został poprawnie wystawiony i zrealizowany. Jednak jest to coś więcej niż tylko czek. Jeśli mu się przyjrzeć uważniej, można zauważyć, że jest przybrudzony: właściwie jest dość sfatygowany. Wszak z rąk do rąk podawało go sobie dwadzieścioro pięcioro młodych ludzi, którzy nauczyli się wierzyć. Być może dałoby się też na nim znaleźć ślady łez. Łez wdzięczności Bogu, który czyni cuda w swój tajemniczy sposób.

## *Epilog*

Oczywiście nasza opowieść się na tym nie kończy.

Każdego dnia dopisywane są nowe rozdziały odmienionych losów młodzieży z Nowego Jorku.

Jednak powstaje też inna opowieść. Mówi ona o Chicago, nie o Nowym Jorku. Bowiem działa już w tym mieście całkiem nowy Ośrodek Teen Challenge. Ucząc się na błędach i sukcesach swojego nowojorskiego pierwowzoru, Ośrodek w Chicago dynamicznie się rozwija.

Podobnie jak ten w Nowym Jorku, już w pierwszym roku swojej działalności będzie miał budżet blisko pięćdziesięciu tysięcy dolarów. I podobnie jak nasz dom, będzie działał przy bieżącym saldzie czternastu, piętnastu czy szesnastu dolarów. Kiedy leciałem do Chicago, żeby pomóc w rozruchu nowego Ośrodka, słyszałem nieomal Paula DiLenę: „Gdzie są pieniądze, gdzie są książki i kto tu rządzi?”

Tutaj rządzi Duch Święty.

I dopóki on pozostanie u steru, działalność będzie kwitła. Gdy tylko spróbujemy coś zrobić o własnych siłach, poniesiemy klęskę.

Taka właśnie jest naczelna zasada działania naszego Ośrodka w Nowym Jorku; ona również wyznacza kierunek Ośrodkowi w Chicago, jak również temu, który powstaje w Filadelfii, w Bostonie, w Los Angeles i w Toronto.

Tutaj rządzi Duch Święty.

Powinniśmy wypisać to zdanie nad nadprożu każdego nowego domu, który stawiamy. Ponieważ jednak może się to wydawać tylko wytartym frazesem, lepiej będzie, jeśli zapiszemy te słowa w naszym życiu. A także w życiu tych wszystkich, do których dotrzemy, których poruszymy i których zainspirujemy Duchem żyjącego Boga.

## *Od wydawcy polskiego*

Książkę w wersji drukowanej można zamówić, korzystając ze strony internetowej Instytutu Wydawniczego AGAPE - <http://www.agape.kz.pl/>

Tytuł: Krzyż i sztylet

Autor: David Wilkerson

Stron 237,

Oprawa miękka,

Format 125x195

Cena 27,00 zł.